- Niezwykłe spotkania w Pieredielkinie — str. 10
- Jak żyją polscy wyznawcy Kriszny? — str. 12
- Czy Matka Boska objawia się w Hercegowinie? — str. 13
- Nie znane w Polsce opowiadanie de Sade'a — str. 14

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 41 (1489) ROK XXIX 11 PAŹDZIERNIKA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

Kiedy woda na kartki?

EUGENIUSZ IWANICKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

W minionych wiekach nie zastanawiano się nad tym, że być może przyjdzie taki czas, kiedy nagle na ziemi zabraknie czystego powietrza i czystej wody. Dopiero nasze pokolenie będzie zmuszone wkrótce zapłacić wysoką cenę za rozwój cywilizacji. Jednym słowem stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że na statystycznego mieszkańca naszej planety przypada coraz mniej tych życiodajnych darów natury. Przypomina mi się opowieść, w której współczesny czarnoksiężnik przywołał z przeszłości jednego z królów z dynastii piastowskiej. Niestety, na nic się zdały osiągnięcia współczesnej nauki, gdyż ów król nie mógł oddychać mieszaniną gazów, którą dziś nazywamy powietrzem. Szkoda, że autor nie napisał jak zareagował nasz praszczur na

SMAK WODY Z KRANU.

Piszę o tym wszystkim dlatego, że dzwonek alarmowy już przebrzmiał od dawna i znaleźliśmy się w sytuacji szekspirowskiego bohatera zadającego sobie pytanie: być albo nie być?

Nie tak dawno odbyło się posiedzenie Państwowej Rady Ochrony Środowiska, na którym to posiedzeniu wnikliwie i z uwagą badano materiał dostarczony przez Państwową Inspekcję Ochrony Środowiska. Nie będę zajmować się wszystkimi zagadnieniami, jakim było poświęcone posiedzenie. Ograniczę się jedynie do spraw związanych z wodą, bogactwem, o jakie nie dbamy, choć od niego zależy nasze dziś i najbliższe jutro.

Dla przypomnienia podaję, że Polska nie należy do potentatów, jeśli chodzi o wodę. W Europie plasujemy się gdzieś na końcu, bo zajmujemy dopiero 26 miejsce. I mimo tego, że wody nie mamy za dużo, jej zużycie wzrasta w tempie zastraszającym. W ostatnich latach tylko w przemyśle ten wskaźnik podskoczył aż o 25 procent. Tak więc z jednej strony szafujemy wodą do woli, z drugiej robimy wszystko, by jej jakość była coraz gorsza. Już teraz 48 procent wód rzecznych to wody tzw. pozaklasowe, a 26 proc., to wody III klasy. Dodajmy do tego jeziora i sztuczne zbiorniki, a wówczas się okaże, że pytanie postawione przeze mnie w tytule: *Kiedy woda na kartki?* — wcale nie jest pozbawione sensu.

Czystej wody mamy coraz mniej, a mimo to co roku jesteśmy świadkami kolejnych zatruć rzek. Dwa lata temu do polskich wód wpuszczono ponad 18 mld m. sześć. ścieków. Rok temu było ich jeszcze więcej. Ile odnotujemy w roku bieżącym?

Łódź — drugie miasto w kraju pod względem ilości mieszkańców (zbliżamy się do miliona) nie ma specjalnego powodu by narzekać na jakość i ilość wody. Tak przynajmniej twierdzi dyrektor Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego. Opinię tę potwierdza dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Ale — zastrzegają się obaj — jest to stan na dziś, no, może na najbliższe dziesięć, piętnaście lat. Bo jeśli chodzi o wodę niczego nie można prorokować ani twierdzić na pewno, jej zużycie i jej jakość są zdeterminowane przez przemysł i gospodarkę komunalną. I oczywiście nie można zapominać o trzecim czynniku, jakim jest samo źródło wody. W przypadku Łodzi jest nią rzeka Pilica, a dokładniej Zalew Sulejowski.

DO CZEGO SŁUŻY ZBIORNIK WODNY?

Dzięki informacjom przekazanym mi przez dyrektora WOSiR w Łodzi Krzysztofa Zajączkowskiego oraz uprzejmości zarządzającego ośrodkiem wypoczynkowym w Borkach nad Zalewem Sulejowskim Hieronima Nawrockiego miałem możność przekonać się naocznie do czego służy i jak jest wykorzystywany ów — pierwszy w historii Polski — zbiornik nizinny przeznaczony na wodę pitną dla wielkomiejskiej aglomeracji.

Łódź odziedziczyła w spadku po II Rzeczypospolitej sporo miejscowych ujęć wodnych, które jakoś tam wystarczały dla ówczesnej manufaktury i dla potrzeb ludności. Jednakże po wojnie, kiedy zaczął intensywnie rozwijać się przemysł, okazało się, że to za mało. Już w latach 50-tych powołano specjalną komisję *„dla ratowania Łodzi"*. Wtedy to właśnie zapadła ostateczna decyzja: wodę trzeba brać z Pilicy. W tamtych latach była to jeszcze rzeka czysta, mająca wodę klasy I, a więc jakby specjalnie przeznaczona dla zasilenia półmilionowego miasta. Jednakże Pilica jest *„kapryśna"*, raz tej wody jest więcej, innym razem poziom nagle opada i, jak mówią w tamtych stronach *„nie sięga nawet do pięt żonatemu wróblowi"*. Ale ten problem w 1953 roku — kiedy to pociągnięto pierwszą nitkę, tzw. tomaszowską — nie był żadną przeszkodą.

Po dwudziestu latach przed Łodzią stanął ponownie problem wody. Miasto rozrosło się, przybyło domów, ludzi, nowych zakładów. Nie zwiększyła się jedynie ilość życiodajnego płynu. Studnie głębinowe pracowały ze wszystkich swoich mocy, nitką płynęła woda z Pilicy, a mimo to miasto zaczynało odczuwać deficyt tego niezbędnego do życia składnika. Zapada więc kolejna decyzja: należy pociągnąć drugą nitkę wodną z Pilicy. Tylko — pamiętając o kaprysach rzeki — trzeba koniecznie zbudować zalew, który stanie się rezerwuarem, i z którego można będzie czerpać bez obawy, że zabraknie. Jednocześnie zadbano także o to, by zakłady leżące w zasięgu wód Pilicy — Koniecpolskie Zakłady Płyt Pilśniowych, Wolskie Zakłady Przemysłu Barwników w Woli Krzysztoporskiej, PGR Niechcice oraz miasto Piotrków Trybunalski — wybudowały oczyszczalnie ścieków.

I tak powstał Zalew Sulejowski o powierzchni około 26 km kw., długi na 17 km i szeroki na 2,5 km. Ponieważ jest to zbiornik nizinny, od razu zrodził się problem czy nad jego brzegiem ma być prowadzona działalność rekreacyjna. To znaczy, czy pozwolić na to, by wokół zaczęto budować ośrodki wypoczynkowe a sam zbiornik był wykorzystywany do sportów wodnych, do kąpieli, łowienia ryb itp. Zdecydowano więc, że wokół zalewu wytyczy się 400-metrowy pas tzw. strefy ochronnej, w której będą obowiązywać odpowiednie zakazy i nakazy. Z grubsza rzecz biorąc w tej strefie nie wolno niczego budować, nie wolno do niej wjeżdżać samochodami, nie wolno rozbijać namiotów ani biwakować w inny sposób. Wolno natomiast ją przekroczyć, by dojść do wody. Natomiast na wodach zalewu można łowić ryby, uprawiać sporty wodne (kajaki, łodzie żaglowe itp.), ale nie wolno używać motorówek. Nie wspomnę już o takich oczywistych zakazach, jak: zakaz palenia ognisk, śmiecenia, niszczenia lasu i runa leśnego, zanieczyszczania plaży itp. Jak dotąd przepisów tych przestrzega jedynie placówka łódzkiego

Dziura w całym

JOLANTA WROŃSKA

Najbardziej zdumiewają równo i starannie położone kafelki i płytki podłogowe. Tak równo, że aż wydaje się to podejrzane i człowiek zaczyna uważnie oglądać mniej reprezentacyjne kąty, żeby przyłapać panów majstrów na zwyczajowym partactwie. Z trudem mieszczą się w głowie nienagannie równe i gładkie ściany, porządnie osadzone w ościeżnicach okna i drzwi, w dodatku domykające się jak należy. Z trudem opanowuje się osłupienie na widok umywalek, które nie chwieją się w uchwytach, olśniewających łazienek i kontaktów umieszczonych tam gdzie należy.

Człowiek oglądający takie dziwowisko zaczyna się zachowywać jak bohaterka słynnego eksperymentu psychologicznego, której w żaden żywy sposób nie chciało się zmieścić w głowie, że może istnieć tak absurdalne zwierzę, jak żyrafa.

Bliższe oględziny każą jednak uwierzyć w żyrafę. Nie, żeby nic nie było do zarzucenia, tak dobrze to jeszcze nie ma, ale robota naprawdę wykonana jest na medal.

A jeszcze trzy miesiące temu urodzenie dziecka w Gliwicach było zajęciem niebezpieczniejszym od szybownictwa.

SYPIĄCY SIĘ SZPITAL MIEJSKI

od lat łatany pobieżnymi remontami i przeróbkami trzeszczał w szwach. Kobiety, którym przyszło urodzić swe dzieci na tamtejszym oddziale ginekologiczno-położniczym opowiadały między sobą historie krew w żyłach mrożące. O robactwie wizytującym oddział, o karaluchach, z którymi można się było jedynie zaprzyjaźnić, bo wytępić nie było sposobu, o tragicznym stanie urządzeń sanitarnych i wiecznych awariach wszystkiego po kolei. Pani Basia pięć lat temu czekała na poród siedząc na brzeżku łóżka porodowego, na którym inna położnica właśnie rodziła, a w niecałe dwie doby po porodzie wypisywano pacjentki do domu. Strach, wstyd i straszliwy pośpiech, bo telefon z izby przyjęć dzwoni bez przerwy.

Tragiczna sytuacja ginekologii i położnictwa od lat nęka wszystkie większe miasta i Gliwice nie były tu wyjątkiem. 250-tysięczne miasto plus okoliczne miejscowości i gminy miało 76 łóżek ginekologicznych licząc w to dostawki na korytarzu i piwnice przystosowane na sale zabiegowe. Według norm ministra zdrowia, takie miasto winno dysponować 200 łóżkami. Widoków na poprawę sytuacji nie było. Jak wszędzie, tak i w Gliwicach temat poprawy warunków służby zdrowia stał murem na wszystkich naradach, kolegiach i plenach, a sprawa leżała. Już to z powodu braku pieniędzy, albo znowu materiałów, lub też „mocy przerobowych". A przeważnie ze wszystkich tych powodów jednocześnie.

Niedawno miniona epoka błędów i wypaczeń miała to do siebie, że lubiła dać reprezentacyjny wyraz sile hasła, że kraj rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatniej. Postanowiono tedy z końcem lat siedemdziesiątych wesprzeć hasło wystawną siedzibą dla władz politycznych miasta.

ROZPOCZĘTO BUDOWĘ

gmachu usytuowanego w pobliżu starego Komitetu Miejskiego partii niepolitycznie dotychczas sąsiadującego przez ulicę z kościołem. Gmach miał być na miarę aspiracji, toteż użyto do budowy materiałów, jakich w życiu nie oglądała zwykła mieszkaniówka. W 1979 roku stała już skorupa stanu surowego, za 50 milionów złotych w tamtoczesnych cenach.

Kiedy w osiemdziesiątym pierwszym nastały czasy rozliczeń, wiele gmachów i rozpoczętych inwestycji zmieniło swe przeznaczenie. Tak też było w Gliwicach, gdzie „Solidarność", Rada Miejska i tzw. opinia publiczna przyjrzały się budowie przy ulicy Kościuszki. Propozycje obejmowały projekt przeznaczenia budynku dla szkoły muzycznej gnieżdżącej się w krytycznym ubóstwie, dla miejskiego centrum kultury lub właśnie dla szpitala ginekologiczno-położniczego.

Ten ostatni pomysł napotkał liczne sprzeciwy. Owszem, byli i tacy, co bronili splendoru dawnych czasów argumentując, że nie jest obojętne w jakim gmachu pracuje władza. Przeważali jednak sceptycy wyliczający ogromne koszty readaptacji rozpoczętej budowy dla potrzeb szpitala. Kto miał się podjąć tak ciężkiego zadania, kto miał dać na to pieniądze, nie mówiąc już o kosztach wyposażenia. Mimo jednak wszelkie zastrzeżenia, postanowiono oddać budynek na potrzeby szpitala ze względu na zupełnie tragiczną sytuację w tej dziedzinie w mieście.

Trzeba było pruć bardzo porządnie wykonane roboty montażowe, niszczyć solidne materiały, rozebrać szkielet sali konferencyjnej i dobudować całe zaplecze techniczne szpitala wraz z przewidywanymi oddziałami ginekologii, położnictwa septycznego i bloków operacyjnych.

Rada w radę postanowiono sfinansować szpital z budżetu miasta, robocizny, darów i składek gliwickich przedsiębiorstw. Ministerstwo zdrowia i wszelkiej pomyślności nie dołożyło do interesu ani jednej złotówki. Projekt wykonała katowicka firma budownictwa służby zdrowia przy współpracy lekarzy pracujących w starym szpitalu miejskim. Ci ostatni wzięli zresztą na siebie rozliczne obowiązki pozazawodowe pełniąc funkcje inspektorów nadzoru budowy, organizując stałe konsultacje z projektantami, agentów werbujących przyszłą kadrę i zaopatrzeniowców pilnujących wyposażenia szpitala.

Prac budowlanych podjęło się bynajmniej nie specjalistyczne przedsiębiorstwo, lecz Gliwickie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego. Być może szukanie dziury w całym nie jest zajęciem chwalebnym, ale jak się nie dziwić, jeśli specjalistyczny projektant masowo produkujący szpitale, przychodnie i tym podobne, w paru istotnych miejscach fuszeruje projekt rozplanowania wnętrz szpitala, a całkiem nie mająca nic wspólnego ze służbą zdrowia firma

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznv, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch"; 3. prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139 11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc., dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3026. B-2.

Przegląd prasy

Mogłoby się wydawać, że wampiry, czarodzieje, czarownice i duchy dawno już zniknęły z naszego życia, pozostały gdzieś w mrokach dalekiej przeszłości, żeby nie powiedzieć w mrokach średniowiecza. A tu tymczasem z Jarocina nadeszła wieść, że polscy czciciele Szatana mieli tam swoje „nabożeństwo", czyli odprawiali po nocy „czarną mszę". I oto poznański tygodnik „WPROST" w nr 40 z 5 października wydrukował wiadomość o tym, że

UJĘTO POLSKIEGO KAPŁANA CZCICIELI SZATANA

który odprawił „czarną mszę" w Jarocinie. *„Został zatrzymany w Szczecinie w ostatnim tygodniu sierpnia"*. Ma 17 lat, *„jasne włosy i miłą twarz"*. Niczym szczególnym się nie wyróżnia. *„Ubiorem nie zdradza przynależności do jakiejkolwiek subkultury młodzieżowej"*. Pochodzi — jak sam mówi — z porządnej rodziny robotniczo-urzędniczej. Chce zostać archeologiem. Próbował niegdyś coś wąchać, stał się senny i otępiały. Przeraziło go to i za radą matki udał się do psychologa. Ten mu pomógł i odeszły mu wszelkie skłonności do narkotyzowania się. Był uczniem technikum, ale miał kłopoty z rysunkiem technicznym, chemią i fizyką. Przeniósł się do liceum ogólnokształcącego, ale i tu mu nauka najlepiej nie szła, dostał dwóje z geografii i języka polskiego. *„Właśnie szedł załatwić sobie pracę i naukę w liceum wieczorowym* — donosi na łamach „Wprost" Dariusz Bart — *gdy zabrali go milicjanci"*.

Odpowiadał będzie — podobnie, jak i jego pomocnik, którego zatrzymano zaraz po zakończeniu festiwalu w Jarocinie — za naruszenie artykułu 197 par. 1 Kodeksu Karnego, który głosi: *„Kto złośliwie przeszkadza pogrzebowi, uroczystościom lub obrzędom żałobnym, albo znieważa zwłoki, prochy ludzkie lub miejsce spoczynku zmarłego, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3"*. Dariusz Bart dodaje, że *„za swój czyn odpowie także zabójca psa — ofiary czarnej mszy"*.

Z danych zamieszczonych w tymże numerze „Wprost" wynika, że współcześnie — w drugiej połowie XX wieku — na świecie działa około

100 TYSIĘCY CZAROWNIKÓW I CZAROWNIC

Na przykład w USA w 1966 roku Anton La Vey ustanowił Kościół Szatana i opracował „Czarną Biblię". Ocenia się, że w USA praktykuje około 10 tysięcy wiedźm i czarnoksiężników, a astrologów jest trzy razy więcej niż chemików i fizyków. W 1350 dziennikach ukazują się tam rubryki astrologiczne. Czy to wszystko ma związek z Szatanem — trudno powiedzieć, ale autor opracowania (ziel) sugeruje, że tak. Podaje jako przykład braci Lucasa i Otisa Elwood Toole, którzy zamordowali do 300 osób i powoływali się na swoje związki z satanizmem, jako przyczynę tych zabójstw.

We Włoszech Turyn jest siedzibą papieża i papieżycy satanistów. W mieście tym aż 1350 razy wzywano egzorcystów do wypędzania złego ducha, a kardynał Anastasio Ballestrero w lutym 1985 roku mianował 6 nowych egzorcystów.

W RFN jest około 800 ośrodków świadczących usługi tajemnej wiedzy. Za tysiąc marek można już zesłać na kogoś chorobę, ciężka choroba kosztuje 10 tys. marek. *„Niedawno* — pisze (ziel) — *jak doniosła prasa zachodnioniemiecka, na skutek kontaktów z satanistami ucierpiał znany piłkarz K. H. Rummenige"*.

We Francji pół miliona ludzi *„zaopatruje się w przedmioty magiczne"*.

A w Polsce?

„Od kilkunastu do kilku tysięcy osób podaje się za wyznawców szatana. Przeważa młodzież. Na Śląsku stwierdzono jakoby obecność sporej „dorosłej" grupy satanistów. Reporterzy znajdują się ponoć już na jej tropie...".

Marek Zieleniewski w tymże samym numerze „Wprost" próbuje znaleźć odpowiedź na pytanie:

CZYM JEST SATANIZM?

Pisze on między innymi:

„Satanizm potrafi być w swoich przejawach drapieżny i krwawy. Satanizm jest afirmacją doczesności i cielesności. Satanizm, nie będąc religią (jeszcze?), staje się coraz bardziej konkurencyjny w stosunku do każdej oficjalnej religii.

A zaświaty i nagroda pośmiertna jakoby traciły na atrakcyjności".

Autor cytuje też opinię jednego z socjologów, że *„rodzimy satanizm jest przejawem mody, która przyszła do nas z Anglii lub Skandynawii i miejmy nadzieję — szybko minie"*. Ale też i opinię teologa, że *„decyduje moda i fascynacja nowością. Bardzo niezdrową i nieetyczną"*.

Jakie nie byłyby na ten temat poglądy, to zjawisko istnieje, nie można przejść obok niego obojętnie, gdyż musi zastanawiać, że pod koniec XX wieku, który bylibyśmy skłonni uważać za wiek raczej racjonalizmu, zdarza się coś takiego jak wiara w czary i co więcej — korzystanie z nich w praktyce. To musi zastanawiać!

Myślę, że „przygoda z Szatanem" jaka się zdarzyła nam współcześnie powinna skłonić do zastanowienia się nad tym,

CZY UMIEMY KORZYSTAĆ Z DOŚWIADCZEŃ HISTORII?

Nadarza się ku temu wspaniała okazja, gdyż właśnie obchodzimy 100-lecie powstania w 1886 roku we Lwowie Towarzystwa Historycznego, które stało się podwaliną późniejszego Polskiego Towarzystwa Historycznego, które prowadziło działalność badawczą, edytorską i popularyzatorską wśród uczonych, nauczycieli i miłośników historii. U podstaw Towarzystwa Historycznego — jak to określił profesor Andrzej Zahorski w rozmowie z Darią Nałęcz opublikowanej w „ŻYCIU WARSZAWY" nr 227 z 29 września 1986 roku — legło przekonanie, że *„historia zdolna jest odkryć mechanizm dziejów, a tym samym ułatwić przewidywanie przyszłości"*.

Nie wątpię, że historia zdolna jest odkrywać mechanizmy dziejów i czyni to od dawna, ale z przewidywaniem przyszłości jest źle i będzie źle. Lepiej już pozostańmy przy należytym rozumieniu współczesności, w czym historia nie tylko może, ale i powinna być pomocna. Przekonaliśmy się już — o czym wspomina profesor Andrzej Zahorski — że *„wciągnięcie historii w służbę propagandy politycznej podkopie jej społeczny autorytet, odbije się nie tylko na jej poziomie naukowym, ale i publicznej wiarygodności"*. Podobnie zresztą, jak *„istnienie tzw. obszarów milczenia nie sprzyja krzepnięciu społecznego zaufania zarówno do środowiska, jak też do czynników odpowiedzialnych za historyczną edukację społeczeństwa"*. A ta edukacja jest niezbędna właśnie — nie tyle do przewidywania przyszłości, choć i tu może być pomocna, ale tylko pomocna — co do lepszego rozumienia teraźniejszości. Powtarzam już wielekroć przy różnych okazjach, że bez zrozumienia przeszłości nie ma i nie może być pełnego rozumienia teraźniejszości.

NA TEMAT ROZUMIENIA HISTORII

W cyklu *„Trzech na jednego"* rozmawiali z rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, profesorem Józefem Gierowskim trzej przedstawiciele „ZDANIA": Edward Chudziński, Krzysztof W. Kasprzyk i Marian Szulc. Rozmowa odbyła się 28 lipca 1986 roku, ukazała się w 9, sierpniowym numerze „Zdania" z 1986 roku.

Profesor Józef Gierowski jest rektorem UJ drugą już kadencję, ale też uważa — czemu daje wyraz publicznie — że ostatnią, gdyż 6 lat, to wystarczająco żeby popaść w rutynę. Zatem nowe świeże pomysły, korzystne dla uczelni może przynieść z sobą tylko następca. Profesor Józef Gierowski jest autorem interesującej „Historii Włoch", która to książka ukazała się dopiero niedawno w księgarniach. Pisze monografię o Auguście II, która może ukazać się dopiero za... 10 lat. Trzy lata bowiem potrzeba na dokończenie pracy, a... 7 na ukazanie się jej drukiem.

Wróćmy jednak do rozumienia historii.

„Na ogół odrzuca się to wywodzące się ze starożytności przeświadczenie — mówi Józef Gierowski — *że historia jest nauczycielką życia, ale każdy, kto zajmuje się historią, wie, że ostatecznie i tego się w niej szuka. W historii nie można znaleźć recepty na postępowanie, ale można znaleźć wiedzę pozwalającą lepiej rozumieć czas dzisiejszy"*.

Co zatem daje nam wiedza historyczna? Gdzie na przykład szukać źródeł tego, że doprowadziliśmy się wzajemnie na skraj samozagłady?

„To się zaczęło naprawdę w XVIII wieku — mówi Józef Gierowski — *i układa się w pewien logiczny ciąg. Myślę o cywilizacji europejskiej, która — podobnie jak wcześniejsze cywilizacje — wchodzi obecnie w stan skostnienia. Wygląda na to, że cywilizację atlantycką, najogólniej mówiąc, zastąpi cywilizacja Pacyfiku. Co zaś się tyczy rozwoju w ogóle, to chyba musi on ulec przyhamowaniu, jeśli ludzie, którzy puścili ów mechanizm w ruch, mają nad nim zapanować. W każdym bądź razie taki organizm jak ONZ nie jest w stanie tej funkcji kontrolnej wypełnić. Osobiście sądzę, że największe niebezpieczeństwo grozi nam na skutek zachwiania równowagi ekologicznej"*.

Z drugiej wszakże strony historia — jak to sam stwierdza profesor Józef Gierowski — *„wymaga zmian, ruchu. Brak zmian prowadzi do degeneracji"*. Sprzeczność? Pozorna tylko. Chodzi bowiem o to, że każdy ruch musi być kontrolowany. Inaczej może zaprowadzić nas na manowce, a wszystko może skończyć się katastrofą. Tak, jak to się dzieje ze zbrojeniami atomowymi, albo gwałtownym postępem techniki i technologii bez troski o środowisko, w którym się ten postęp dokonuje. Przyroda budowała sobie równowagę wiekami, a człowiek narusza ją stale i gwałtownie i później się dziwi, że przyroda degeneruje się. Ale to inny temat.

Rozmówcy Józefa Gierowskiego zapytali go o ulubioną postać z przeszłości, o *„ulubieńców w historii"*.

„Właściwie — odpowiedział Józef Gierowski — *gdy tak się głębiej zastanowię, to nie znajduję postaci, która by mi w pełni odpowiadała. Myślę tu zwłaszcza o naszej historii, w której brakuje takich spiżowych postaci, podziwianych przez cały świat. Na przykład, ku mojemu zdumieniu, rośnie jakby u nas, zwłaszcza w młodym pokoleniu, kult Piłsudskiego. Dla mnie, pamiętającego dwudziestolecie międzywojenne, jest to postać, oględnie mówiąc, wielce kontrowersyjna. Są oczywiście i w naszej historii postacie, do których żywię ogromny szacunek. Na przykład do Romualda Traugutta, który potrafił wykonywać w najtrudniejszych warunkach postawione przed nim zadanie i to mając pełną świadomość tragizmu sytuacji"*.

Ale kultu Romualda Traugutta nie ma. Myślę, że kult Józefa Piłsudskiego bierze się z jednej strony z zapotrzebowania na wzory, z drugiej — z nieznajomości najnowszej historii. A zatem poznawajmy naszą historię — i nie tylko naszą — aby wiedzieć i rozumieć!

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Pożytki z antyku

W moich młodych latach dawne gimnazjum wpajało uczniom przekonanie o nieocenionych korzyściach, jakie na nich spłyną w przyszłości, jeśli będą pilnie przykładać się do łaciny. Moi nauczyciele nie mieli zresztą na uwadze materialnych profitów ani też służbowych awansów, lecz to, iż — zgodnie z ich poglądem — gramatyka łacińska jest najlepszą szkołą logicznego myślenia i pod tym względem — jak mówili — (a było to gimnazjum humanistyczne) nie ustępuje nawet matematyce.

Wprawdzie nie jestem dziś skłonny podzielać poglądu, że logiki trzeba uczyć się akurat przez obkuwanie gramatyki, widziałbym jednak w znajomości łaciny cenną pomoc w uczeniu się innych języków, nie tylko romańskich, największe jednak znaczenie przypisywałbym przyswajaniu kultury antycznej, w której Rzym odegrał tak ważną rolę.

Przyznam się, że nie jest to czysty przypadek, że pociągnął mnie ten temat. Oczywiście, jak wielu ludzi uznałem za fakt dość wymowny mianowanie znawcy i miłośnika antyku ministrem kultury i sztuki; żyjemy przecież w epoce rewolucji naukowo-technicznej i technika rzuca nam dziś wyzwanie, pozostajemy ponadto w socjalistycznym kręgu wartości. Czy nie skłania to, razem wzięte, do zastanowienia się nad znaczeniem dla nas dziedzictwa kultury antycznej, co chyba bardzo rzadko bywa przedmiotem refleksji.

Przyznam się zresztą, że w pierwszym odruchu na tę wiadomość wychynęło z zakamarków mojej pamięci zapomniane porzekadło: „Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie mosty babińskie!" Bo i jakże nam szukać dziś tak zamierzchłych paranteli!

Stało się jednak faktem, że ceniony naukowiec, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, niezmiernie popularny komentator telewizyjnego „Klaudiusza", ma dzierżyć ster kulturalnej nawy w socjalistycznej Polsce. I to wbrew insynuacjom opozycji, że Polska Ludowa odwraca się plecami do dziedzictwa tzw. kultury śródziemnomorskiej i w ten sposób rzekomo odcina się od swoich „korzeni". Zarzut od wielu lat nieprawdziwy, podyktowany niepoczytalnym dążeniem niektórych kół, żeby nasze państwo zapomniało o swoim miejscu i swojej roli w Europie, która przecież rozciąga się od Zatoki Biskajskiej po Ural, a nie kończy się na naszej wschodniej granicy. Nasz kraj, nasza kultura są od dawna jakby powołane przez geopolitykę do roli twórczego pośredniczenia między kulturą wschodu i zachodu, i zwykle nie dzieje się nam najlepiej, kiedy zapominamy o tej szansie.

W swoich pierwszych wypowiedziach nowy minister dał wyraz szerokiemu rozumieniu pojęcia kultury socjalistycznej, otwartej na wszystkie wartości ogólnoludzkie, nie ulegającej fanatyzmowi, lecz — wzorem Rzymian, respektującej istnienie „wielu bóstw", byle służyły one wspólnemu dobru. Obiecując iść śladami Mecenasa (doradcy cesarza Augusta, który mu zlecił pieczę nad najwybitniejszymi twórcami epoki) minister zobowiązał się otaczać opieką wszystkie przejawy prawdziwie twórczych działań. Mam zresztą nadzieję, że przy stosownej okazji minister odżegna się od niesławnej tezy ostatnich lat o „nadmiarze profesjonalizmu w kulturze" (co poddawaliśmy krytyce na naszych łamach).

Jakie jednak treści, jakie przesłania antycznego świata mogą się okazać dziś najbardziej na czasie? Wydaje mi się, że te cnoty rzymskie, które wyrażały się w docenianiu roli państwa, jako gwaranta bezpieczeństwa i dostatku obywateli, państwa umożliwiającego współżycie wyznawców „wielu bogów", a wierzeniom przypisujące rolę czynnika integrującego wokół wspólnych celów, wyznaczanych społeczeństwu przez państwo.

Naturalnie, oznaczałoby to dziś ideowe uwstecznienie, gdyby człowiek wyznający światopogląd uniwersalistyczny — czy to chrześcijański czy socjalistyczny (nierzadko przecież na zasadzie ich współbrzmienia), miał mieć wizję państwa jako molocha — łaknącego nieustannych ofiar z obywatelskich praw dla upewnienia się o swojej wszechpotędze, jak to nieraz można było odczuć w dawno minionym okresie.

Ale kto poznał oblicze anarchii, rozkładającej państwowe struktury i rodzącej niepewność jutra obywateli, ten docenia znaczenie państwa silnego zarówno swoją praworządnością, jak i egzekwowaniem ładu społecznego. Bez tego trudno myśleć o rozwoju kultury.

Poczęcie żywych więzi z antykiem sprzyjać więc może refleksji nad wartościami wypróbowanymi, które przez stulecia oparły się niwelującemu działaniu czasu.

JERZY KWIECIŃSKI

Termin prenumeraty upływa

Przypominamy naszym PT Czytelnikom, że zbliża się czas odnowienia bądź rozpoczęcia prenumeraty naszego pisma. Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę na rok następny upływa 10 listopada.

Szczegóły w stopce redakcyjnej. Zapraszamy.

Prenumerata gwarantuje terminowe otrzymanie każdego numeru pisma.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

W najbliższych numerach „Odgłosów" nasi Czytelnicy znajdą między innymi:

— refleksje **MARIANA PODLASZEWSKIEGO** o zadziwiającej roli głupoty w naszym życiu, a przy okazji ciekawą zagadkę do rozwiązania (czekają nagrody książkowe);

— reportaż **JOLANTY WROŃSKIEJ** o kobiecie, która przez całe życie pomagała innym;

— szkic **RYSZARDA BINKOWSKIEGO** o przenoszeniu się ludności miejskiej na wieś;

— artykuł **BOGUSŁAWA SUŁKOWSKIEGO** o łódzkich środkach masowego przekazu;

— dalszy ciąg sensacyjnego reportażu **ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO** z Meksyku.

Młodzież połowy lat osiemdziesiątych

Niniejszy artykuł stanowi publicystyczną próbę oceny świadomości młodzieży, w oparciu o badania zrealizowane w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. Równocześnie pragniemy wskazać na niektóre czynniki wpływające na stwierdzany w badaniach stan świadomości młodych oraz możliwości ich eliminowania. Na początku naszych rozważań przyjmujemy, że młodzieżą określać będziemy osobników:

— niesamodzielnych w sensie ekonomicznym,

— jeszcze uczących się lub znajdujących się w początkowym stadium pracy zawodowej,

— nie posiadających jeszcze ukształtowanej świadomości i przez to podatnych na asymilację różnych światopoglądów,

— wykazujących inicjatywność i dążność do zmian rzeczywistości, często reagujących żywiołowo i emocjonalnie,

— nie uczestniczących w sposób w pełni samodzielny i odpowiedzialny w życiu społecznym, chociaż wchodzących już w role społeczne,

— dopiero uczących się sposobów kreacji siebie i rzeczywistości,

— znajdujących się w stadium poszukiwania celów życiowych i sensu życia (wartości),

— wykazujących krytycyzm wobec ludzi dorosłych, odrębność zainteresowań i dążeń, przy jednoczesnym — mimo zróżnicowania klasowego — poczuciu tożsamości grupowej i solidarności między sobą.

MŁODZIEŻ RÓŻNI SIĘ

od starszego pokolenia przede wszystkim stopniem, w jakim jest socjalizowana i wychowywana, doświadczeniem, stylem życia i bycia. Jeśli posiada wyraźnie odrębne od reszty interesy, system wartości i obyczaje, możemy mówić o niej jako o nowym pokoleniu.

Czy młodzież połowy lat osiemdziesiątych można identyfikować jako nowe pokolenie w historii PRL, pokolenie różniące się od swoich ojców i dziadków? Czy jest ona zarazem nośnikiem postępu społecznego, a więc wymusza określone modyfikacje i reformy społeczne? Są to problemy ideologiczne, ale niezmiernie ważne dla praktyki społecznej.

Przełom grudniowy 1970 r. był aktem wyzwolenia podmiotowości ludzi młodych, a zarazem aktem ich społecznej odpowiedzialności i obecności. Jednak podmiotowość młodego pokolenia, jego zdolność zapewnienia optymalnych rozwiązań własnych problemów i potrzeb została zanegowana prawie bezpośrednio po wydarzeniach grudniowych.

Młodzież lat siedemdziesiątych — całkowicie tracąc prawo do ustalenia celów rozwoju kraju i środków ich osiągania na rzecz partii, prawo do kontrolowania, inspirowania i oddziaływania na jej decyzje — nie tylko pozbawiona została podmiotowości. Co więcej, pozbawiono ją tożsamości ideowej, wizji światopoglądowej i własnego stanowiska względem przyszłości kraju.

Praktyką, nie tylko jednak młodzieży, stała się niemal wyłącznie konsumpcja.

KONSUMPCYJNE OCZEKIWANIA

i wyobrażenia młodzieży zostały wykreowane przez ówczesne kierownictwo partii. Młodzież z jednej strony wciągnięto we wszystkie procesy społeczno-ekonomiczne, zaś z drugiej — systematycznie i intencjonalnie pozbawiono ją elementarnych instytucji społecznej podmiotowości. Strategia polegała na lansowaniu awansu indywidualnego głównie w sferze materialnej. Dramat rozpoczął się w momencie niewydolności gospodarki.

W rozlicznych dziś analizach przyczyn kryzysu sierpniowego niemal zgodnie podkreśla się, że zrodziła go, szczególnie w środowisku bardzo licznej młodej generacji, blokada silnie rozbudowanych aspiracji:

— do posiadania standardu życiowego znacznie przekraczającego możliwości ekonomiczne kraju (samochód, mieszkanie, możliwość luksusowej rekreacji i wypoczynku, wyjazdy zagraniczne); do zajmowania stanowisk w hierarchii zawodowej, społecznej i politycznej; do awansu indywidualnego traktowanego jako prawo,

— do podmiotowości (więzi grupowej, autonomii i podmiotowości osobowej i obywatelskiej).

Ta podwójna blokada aspiracji spowodowała znaczne obniżenie poczucia bezpieczeństwa oraz obarczanie odpowiedzialnością za ten stan rzeczy władzy politycznej, później samego socjalistycznego ustroju.

Wyraźne załamanie się w latach 1980—81 gospodarki narodowej doprowadziło do radykalizacji postaw młodego pokolenia. Instytucjonalnym gwarantem usunięcia zaistniałych barier miała być „Solidarność". I choć wiele zmian dokonanych w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych okazało się przejściowymi, to wywarły one i wywierają nadal wpływ na świadomość polityczną młodzieży. Co więcej, właśnie te wydarzenia przesądziły o tym, że wchodzące do życia u progu lat osiemdziesiątych nowe roczniki młodzieży przekształciły się w

NOWE POKOLENIE

Pokolenie to, być może jak żadne w naszej historii, w sposób zespolony uczestniczyło w rozgrywkach politycznych. Efektem tego totalnego uczestnictwa młodzieży początku lat osiemdziesiątych w życiu politycznym kraju jest specyficzny stan jej świadomości. Nader często nie przystaje on do konwencji systemu socjalistycznego, a przeto jest wobec niego dysfunkcjonalny. Jak do tego doszło?

Kryzys sierpniowy, zaistnienie specyficznej sytuacji mikrostrukturalnej pobudziły dotychczas lateralne wartości systemu motywacyjnego młodzieży, przede wszystkim takie, jak: godność osobista chęć podmiotowego uczestnictwa w życiu zbiorowym, dążenie do prawdy.

W latach 1980–81 wartości prospołeczne zdominowały system motywacyjny młodych ludzi, wypierając orientację rodzinno-zawodową na dalszy plan. Ta reorientacja w wielkim stopniu wynikała z osobliwej historycznej sytuacji społeczno-politycznej. Młodzi ludzie doświadczali wówczas systemu społecznego jako całości plastycznej, dającej się kształtować wedle ich woli, system ustępował pod zbiorowym i zorganizowanym naciskiem. Młodzież przekonała się, że rzeczywisty wpływ wywierać można nie tylko — jak dotąd — na życie małych grup, ale i na funkcjonowanie wielkich zbiorowości. Zanik fikcji i renesans prawdy w życiu politycznym sprzyjał temu, iż ludzie poczuli, że są podmiotami polityki.

Z różnych względów nie towarzyszyła temu poczuciu odpowiedzialność. Dysfunkcjonalne dla systemu skutki były kwestią czasu. Bardzo szybko okazało się, że ta prospołeczna orientacja młodych, nie połączona z odpowiedzialnością za losy kraju, prowadzi nieuchronnie do katastrofy.

Wprowadzenie stanu wojennego i 2-letni okres jego trwania wzmocniły wprawdzie państwo, ale równocześnie zablokowały mocno rozbudzone w poprzednich 16 miesiącach aspiracje podmiotowe. Nastąpiła poważna reorientacja w systemie wartości młodych ludzi, spowodowana głównie trudnościami bytowymi.

DZISIEJSZA MŁODZIEŻ

postrzega siebie jako wspólnotę o identycznych lub podobnych potrzebach, zainteresowaniach, niezależnych od wykształcenia, pochodzenia społecznego czy miejsca zamieszkania. Co ważniejsze, traktuje siebie jako ważną grupę społeczną, która dąży do zmiany rzeczywistości na lepsze. Ta dążność, w opinii znacznej części młodych, jest blokowana działaniem dorosłych. Jednak charakterystyczne jest również i to, że chęć zmieniania rzeczywistości nie występuje u całej współczesnej młodzieży i ma jedynie racje bytu wtedy, gdy spodziewane efekty tej działalności są łatwo dostrzegalne.

Konstruktywne tworzenie nowych realiów życia społeczno-politycznego w naszym kraju, przejawiające się w dobrowolnym społecznym działaniu, jest w dość znacznym stopniu ograniczone szeroko funkcjonującym przeświadczeniem, że bardzo często wysiłek ludzi jest źle organizowany lub zwyczajnie marnotrawiony. Stąd częstym zjawiskiem jest nieukrywana niechęć do pokolenia dorosłych, którym zarzuca się doprowadzenie do głębokiego kryzysu w kraju oraz trzymanie nadal kurczowo wyszystkich stanowisk kierowniczych w państwie — blokowanie naturalnej wymiany pokoleniowej.

W naszym systemie społecznym reprezentantem interesów młodego pokolenia, a jednocześnie terenem jego działalności, są organizacje społeczno-polityczne. Obserwacje potwierdzają, że młodzi sporo oczekują od swych organizacji. Sposób spełnienia tych oczekiwań obecnie jeszcze daleko odbiega od formułowanych postulatów. Młodzi Polacy nadal głęboko odczuwają potrzebę podmiotowości i uczestnictwa w życiu publicznym, potrzebę decydowania o swoich sprawach. Zaspokojenie tej potrzeby w zbyt małym stopniu obecnie zależy od organizacji młodzieżowych.

Z wielu badań socjopsychologicznych wynika, że samoświadomość własnych atrybutów jest w pokoleniu młodych obecnie wyjątkowo duża, a poczucie wspólnoty oraz pewien dystans wobec pokolenia dorosłych mocno odczuwalny. Jednak młodzież dość pesymistycznie ocenia własną pozycję i siłę wpływu na przyszłe losy kraju, co jest następstwem poczucia braku podmiotowości społeczno-politycznej.

Wszystko to powoduje, że na plan pierwszy w życiu młodego Polaka wysuwają się następujące cele: udane życie rodzinne, ciekawa praca, którą się lubi, spokojny i dostatni byt, godność. Są to więc cele o charakterze stabilizacyjnym, o orientacji indywidualistycznej względnie mikrospołecznej o nastawieniu na bezpośrednie tylko więzi społeczne, przede wszystkim zaś na rodzinę. Młodzież polska, dokonując ocen życia społeczno-politycznego głównie przez pryzmat wartości etyczno-moralnych jest nazbyt idealistyczna i przecenia wpływ jednostki na kształt państwa dziś i jutro.

Charakterystyczny dla młodzieży typ świadomości powstał jako wynik procesu socjalizacji i wychowania zachodzącego w systemie edukacyjnym. Na jego więc kształt złożyły się: słabość tego systemu, ale także działalność środków masowego przekazu i przede wszystkim

POZASYSTEMOWA TRADYCJA

Tradycja, która przechowuje zarówno portrety bohaterów, jak i właściwy sobie sposób ich wartościowania, wybijając wartości nie zawsze przystające do aktualnej sytuacji politycznej.

Ruch zapoczątkowany w sierpniu 1980 r. umiał, niezależnie od słuszności i atrakcyjności prezentowanych celów, odwołać się do symboliki, która stanowiła najgłębszą treść narodowej tradycji. Tradycja została wykorzystana przez opozycję, a błędem partii było niedostrzeżenie tego faktu. Błąd ten wynikł w głównej mierze z postawienia z gruntu fałszywej alternatywy albo patrzymy na rzeczywistość przez pryzmat narodu, albo przez pryzmat klas.

Tymczasem ta alternatywa musi ze względu na tradycję być w naszym kraju koniunkcją. Tak więc tradycja mająca tak silny wpływ na stan świadomości przyczynia się do jej deformacji, co znajduje szczególny wyraz w istnieniu nieweryfikowanych stereotypów myślowych. W jednym z takich schematów zakłada się, że naród składa się ze społeczeństwa i władzy będących w stałym antagonizmie. Stąd przekonanie charakterystyczne dla młodzieży polskiej, że wszelkie negatywne zjawiska w naszym życiu społecznym obnażają permanentnie chorą władzę.

Przyjmowanie bezrefleksyjne tych stereotypów sprzyja kształtowaniu się postaw nepotycznych, kontestacyjnych, w skrajnych przypadkach zapewne także opozycyjnych. Dodajmy do tego, że dla części młodzieży wiąże się to z utratą wiary w społeczną sprawiedliwość w podziale dóbr i ugruntowującym się przekonaniem, że najlepiej liczyć w tym względzie na własną inwencję. Nastawienie konsumpcyjne staje się coraz bardziej dominujące i wypiera tak naturalne cechy młodych, jak: altruizm, bezinteresowność, ofiarność, zdolność do wyrzeczeń.

Wzorce dobrobytu i zachodni styl życia mocno nadal oddziaływują na młodzież i co więcej przez większość młodego pokolenia są także traktowane jako główny cel, który powinien osiągnąć nasz system.

Ideały marksizmu-leninizmu znajdują się na ostatnim miejscu w hierarchii wartości, do realizacji których młodzi chcą dążyć w życiu. Pożądany przez młode pokolenie typ ładu polityczno-społecznego jeszcze często jawi się na zasadzie mechanicznego przeciwstawienia wizji i zasadom panującego porządku.

Oprócz omówionych wyżej elementów składowych świadomości politycznej, u przedstawicieli młodego pokolenia funkcjonuje wiele standardów społeczno-politycznych wpływających na ich zachowania. Traktujemy je jako autentyczne bariery internalizacji wartości socjalistycznych i działania na rzecz rozwoju socjalizmu.

OTO NAJWAŻNIEJSZE:

1. Bariera infantylizacji — silne poczucie odsunięcia od spraw publicznych, lekceważenia prawa do reformowania systemu władzy, niesamodzielności związków młodzieży, ich transmisyjnego charakteru w stosunku do partii i państwa.

2. Bariera manipulacji — silne poczucie rozbieżności między teorią a praktyką, stawiania zadań i celów działania przez partię czy państwo, bez ujawnienia faktycznych intencji braku możliwości kontroli przebiegu ich realizacji i rezultatów, reglamentowania swobody dyskusji, dociekania prawdy historycznej, poznawania prawdy o rzeczywistości, faktach itp., naruszania tych autonomii i godności jednostki, przedmiotowego, a nie podmiotowego traktowania obywatela itp.

3. Bariera bezdomności — silne poczucie zagrożenia podstawowych warunków rozwoju i samodzielności jednostkowej i społecznej z powodu braku mieszkania, połączone z silnym poczuciem niesprawiedliwości w rozdziale i użytkowaniu zasobów mieszkaniowych istniejących oraz nowo powstających. Jest to jedna z podstawowych barier wyrosłych na poczuciu niewiarygodności socjalistycznego charakteru władzy, zgodności słów i czynów w okresie odnowy.

4. Bariera długoletniego terminatorstwa i biurokratyzacji awansu — silne poczucie niemożności przełamania biurokratycznych skostnień systemu zarządzania i kierowania, partykularyzmu grupy biurokratycznej, jej znacznego pasożytnictwa i demoralizacji; silne przekonanie, że wszelkiego rodzaju reformy ugrzęzną w połowie na skutek manipulacji i oporu biurokracji, a koszty tego znowu będzie musiało ponosić całe społeczeństwo, pokutuje jeszcze z tego powodu silne przekonanie o niereformowalności systemu i tym samym nieuchronności następnych kryzysów, posądza się partię o tolerowanie tego stanu rzeczy ze względu na partykularny interes członków.

5. Bariera demoralizacji i zatruwania środowiska wychowawczego — silne odczucie mijania się moralizatorstwa władz i wychowawców z ich własnym postępowaniem, braku przykładu i demoralizującej bezkarności postępowania; bunt przeciwko kontrastowi nawoływań do etycznego postępowania z nieetycznym otoczeniem; partia jest oskarżona o tolerowanie demoralizacji i podwójnej moralności na co dzień, w podstawowych strukturach pracy, władzy itp.

6. Bariera eksploatacji, krzywdy, niesprawiedliwości i nierówności — silne poczucie narastającego rozwarstwienia społecznego i dochodowego; tworzenia się niezgodnych z socjalistycznymi zasadami ustrojowymi elit majątkowych sprzężonych z elitami władzy, a zarazem istnienia dużych grup społecznych żyjących poniżej lub na granicy minimum socjalnego bez własnej winy; rodzi to szerokie przekonanie społeczne o wyzysku pracy i niesprawiedliwym podziale dochodu narodowego przechwytywanego przez ludzi już bogatych i ustosunkowanych, którzy jednocześnie kierują partią i państwem.

7. Bariera ideowej i społecznej dezorientacji, dezinformacji i zamętu — ugruntowanie się przekonania, że socjalizm nie jest konsekwentną naukową doktryną i ideologią klasy robotniczej wcieloną w życie, lecz dowolnie interpretowanym i taktycznie naginanym do pragmatycznych potrzeb polityki zespołem haseł i cytatów z klasyków.

8. Bariera konformizacji i negatywnego doboru kadr kierowniczych — silne przeświadczenie, że o karierze decydują w naszym społeczeństwie różne względy pozamerytoryczne (znajomości, nepotyzm, pochlebstwo, wzajemne usługi itp.), a w związku z tym awansują na stanowiska kierownicze ludzie ulegli, sprytni, bez charakteru i często przygotowania fachowego, pozoranci, donosiciele itp.

9. Bariera nierównych szans kształcenia i wtórnego analfabetyzmu — ciągłe zmniejszanie się procentowego udziału studentów pochodzenia robotniczego i chłopskiego w ogólnej liczbie studentów potęguje przekonanie o elitaryzacji szkolnictwa wyższego, protekcyjnym systemie dostawania się na studia, szczególnie na kierunki atrakcyjne; partia i państwo są oskarżone o celowe podtrzymywanie nierówności szans, reprodukowanie inteligencji w kręgu dotychczas ukształtowanej elity, która w dużej części nie traktuje dyplomu jako zobowiązania społecznego i boi się pracy w terenie.

10. Bariera lęków o biologiczne zagrożenie rozwoju w powodu warunków kryzysu — dość silne przekonanie, że młode pokolenie nie jest tak zdrowe i odporne biologicznie i psychicznie, jakby to można wnosić z przeciętnego wyglądu zewnętrznego; stany depresji, choroby, brak tężyzny fizycznej itp. powodują obawy o zdrowie następnej generacji dzieci; elitaryzacja uprawiania sportu, słaba opieka zdrowotna, liczne nałogi i skutki dziedziczne nałogów rodziców powodują często lęki egzystencjonalne wśród młodych, a winą obarczany bywa także ustrój.

Młodzież polską lat osiemdziesiątych cechuje, z punktu widzenia jej orientacji świadomościowej oraz uznawanego przez nią katalogu wartości,

SPECYFICZNA SYNTEZA

etyki katolickiej oraz naukowego socjalizmu. Ten splot wartości z właściwymi im projekcjami celów jest nasycony dążeniami, niejednokrotnie tylko nadzieją na zasadniczą przebudowę Polski, podmiotowy udział młodych w tym procesie, który zyskał miano odnowy. Trzeba jednak podkreślić, iż wśród znacznej części młodzieży utrzymuje się pewien sceptycyzm co do realnych szans urzeczywistnienia tych pokoleniowych intencji. Właśnie z bolesnej świadomości, że społeczna rzeczywistość jest często niezgodna z propagowanymi, a przecież pożądanymi wartościami, rodzi się frustracja, protest i zjawisko wycofywania się w sferę prywatności. Z kolei rozwój motywacji prospołecznych młodych ludzi jest również w znacznym stopniu rezultatem ich indywidualnych i pokoleniowych doświadczeń, funkcją ich świadomości. Te niezbędne dla dalszego rozwoju socjalizmu prawdy muszą zrozumieć szczególnie odpowiadający za wychowanie młodzieży. W przeciwnym przypadku będziemy mieli coraz więcej śmiałych reform ustrojowych wdrażanych przy niewielkim udziale młodego pokolenia. Pokolenia, wyraźnie i podobnie zarazem, jak w latach siedemdziesiątych, wycofującego się z działalności publicznej i zainteresowań ogólnych w stronę małych grup i skupiającego całą energię na swoich partykularnych interesach.

GRZEGORZ NOWACKI

(Autor jest zastępcą dyrektora Instytutu Badań Problemów Młodzieży)

Foto: Grzegorz Gałasiński

Czasy nadziei i rozczarowań (21)

Co się działo na Kongresie Kultury Polskiej?

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

11 grudnia w Pałacu Kultury i Nauki rozpoczęły się obrady Kongresu Kultury Polskiej. W dniu otwarcia siedziałeś wspólnie z ówczesnym ministrem kultury i sztuki Józefem Tejchmą na sali obrad, co mogło oznaczać, że rząd akceptuje ideę Kongresu. W następnych miesiącach organizatorzy Kongresu stali się obiektem dość ostrej krytyki, zaś niektórzy jego uczestnicy zostali internowani. Czy ta krytyka pojawiła się tylko dlatego, że zasadniczej zmianie uległa sytuacja?

W pierwszych dniach grudnia otrzymałem pismo zapraszające mnie do udziału w pracach Kongresu. Podpisał je przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Kongresu, prof. Jan Białostocki, i przewodniczący Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, prof. Klemens Szaniawski. Komitet, któremu przewodził Szaniawski, zawiązał się 16 września 1980 roku. Cele i działalność Komitetu Porozumiewawczego były nam, co jest oczywiste, znane. W 1981 roku jego przedstawiciele pozostawali w kontakcie zarówno z ministrem kultury i sztuki jak i ze mną. Mimo że cele jakie faktycznie przyświecały twórcom tego Komitetu, nie mogły być przez nas akceptowane, rozumiejąc całą złożoność problemów wypełniających sferę twórczości, byliśmy zdania, że byłoby błędem politycznym odwrócenie się plecami do wspomnianego Komitetu. Należało poszukiwać punktów stycznych. Wychodząc z tego założenia uznaliśmy, że nasza obecność na otwarciu Kongresu Kultury Polskiej jest konieczna.

Jest rzeczą zrozumiałą, że odpowiadając na Wasze pytania nie mogę nie przypomnieć choćby w wielkim skrócie sytuacji, jaka wytworzyła się w tym obszarze naszego życia społecznego po sierpniu 1980 roku. Na marginesie dodam, że wszystko to, co działo się w sferze kultury po sierpniu 1980 roku, czeka na solidną analizę. Gdy teraz, po upływie kilku lat czytam różnego rodzaju polemiki, artykuły i felietony dotyczące problemów kultury z tego okresu, to nierzadko odnoszę wrażenie, że ich autorzy wypowiadają się o nich jak ślepy o kolorach, a co najbardziej drażni, to posługiwanie się metodą czarno-białą. Po jednej stronie anioły i anielice, po drugiej diabły i diablątka, a przecież rzeczywistość — zwłaszcza w dziedzinie kultury — była wówczas bardzo pogmatwana. Spotykane wtedy poglądy i postawy miały różne odcienie i przyczyny, subiektywne i obiektywne. Uważam, że dla prawidłowego kształtowania polityki kulturalnej państwa socjalistycznego bardzo pomocną mogłaby okazać się solidna monografia o głównych nurtach, jakie wystąpiły wówczas w środowiskach twórczych.

Pozostawiając politologom i historykom niezwykle obfitą dokumentację obejmującą poglądy i opinie głoszone pomiędzy Sierpniem 1980 i 13 grudnia 1981 roku przez ludzi ze środowisk twórczych o kulturze w Polsce Ludowej, jej aspektach politycznych i światopoglądowych, roli i zadaniach artystów itd., a także relacjonującą ich działania, chciałbym zwrócić szczególną uwagę na dwie cechy ówczesnej sytuacji. Pierwsza dotyczy stosunków, jakie już w pierwszych miesiącach po Sierpniu ukształtowały się pomiędzy przedstawicielami środowisk twórczych a „Solidarnością". Otóż większość osób zasługujących na miano artysty, twórcy, nie tylko opowiedziała się po stronie „Solidarności", co można było zrozumieć, lecz zajęła bezkrytyczne stanowisko wobec wszystkiego, co mówili i czynili przywódcy ruchu. Większość, to nie oznacza, że wszyscy. Istniała także mniejszość krytycznie odnosząca się może nie tyle do „Solidarności" jako takiej, co do różnego rodzaju jej awanturniczych poczynań, ale była ona przyduszona do ziemi przez wspomnianą większość. W ocenie ówczesnej sytuacji nie wolno zapominać, że każda krytyka poczynań przywódców „Solidarności" spotykała się w tych środowiskach z surową oceną formułowaną niejednokrotnie przez znanych powszechnie twórców. Ten, kto odważył się powiedzieć coś krytycznego o „Solidarności", był z miejsca „ustawiany" jako jej przeciwnik, obrońca pogardzanej przeszłości, w domyśle oportunista i konformista, słowem lizus, przeciwnik najgłębszej prawdy etc. Skutkiem bezkrytycznego opowiedzenia się większości, a szczególnie liderów poszczególnych środowisk po stronie „Solidarności", było to, że większość kierownictw związków i stowarzyszeń twórczych zawarła porozumienia o współpracy z Komisją Krajową „Solidarności". Ze szczególnym nabożeństwem do „Solidarności" odnosił się prezes Zarządu Głównego ZPAP, Jerzy Puciata, prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich Andrzej Wajda i prezes ZG ZLP, Jan Józef Szczepański.

Drugą cechą charakterystyczną było przemożne dążenie liderów poszczególnych środowisk do wyzwolenia się spod opieki mecenatu państwowego. Państwo jako mecenas kultury i sztuki było systematycznie atakowane. Dość powszechnie uznawano je za siłę biurokratyczną, stojącą na przeszkodzie swobodnemu rozwojowi kultury i sztuki. Państwo, dowodzono, podporządkowuje sobie wszystkie obszary kultury, stawiając na pierwszym miejscu wymogi ideologiczne. Szczególnie aktywnie występowało w tej dziedzinie środowisko filmowców. Na nadzwyczajnym walnym zjeździe SFP, który odbył się w marcu, powołano „Komitet Ocalenia Kinematografii", który miał za zadanie „przekształcenie kinematografii państwowej w społeczną". W tym samym miesiącu KOK wydał „manifest do widzów i pracowników filmu" w sprawie „ocalenia i zreformowania kinematografii jako całości". We wrześniu filmowcy powołali „Społeczną Radę Kinematografii", która miała się zająć zreformowaniem tej dziedziny twórczości. W tym samym miesiącu KOK skierował do członków SFP „Tezy projektu reformy kinematografii". Kończyły się one następującym wezwaniem: „Nie czekajmy, aż ktoś nam tę reformę da, komitet opowiada się za tworzeniem w przedsiębiorstwach kinematografii rad pracowniczych jako organów zarządzających. Równocześnie widzimy potrzebę poinformowania opinii publicznej o stanie obecnym kinematografii i warunkach proponowanej reformy w serii publikacji prasowych i programach telewizji. Jeszcze nie jest za późno. Za następne pół roku może już jednak nie być polskiego filmu".

Czytając te płomienne manifesty miało się wrażenie, że żyjemy w czasach rewolucji francuskiej. Znakomity artysta, twórca wielu wybitnych dzieł filmowych, Andrzej Wajda, zachowywał się tak, jakby wstąpił w niego duch Robespierre'a. Wcale nie uważam, że mecenat państwowy nie wymagał zreformowania. Na pewno należało znaleźć sposób na znacznie szersze uwzględnienie czynnika społecznego w programowaniu polityki kulturalnej, w podziale istniejących środków; uważałem też za konieczne porzucenie praktyki polegającej na administracyjnym wkraczaniu czynnika politycznego w niezwykle skomplikowaną sferę twórczości itp., ale w tych płomiennych manifestacjach chodziło przecież o coś innego, o wyeliminowanie w ogóle wpływu państwa na twórczość, w tym także filmową. O tym decydować mieli sami twórcy. Czytałem wszystkie te dokumenty i nie mogłem się nadziwić, jak to się stało, że poważni ludzie podpisywali się pod koncepcjami, które w istocie rzeczy były skierowane przeciwko nim. Wyobraźmy sobie, co by się stało w krótkim czasie z produkcją filmową, gdyby zostały zrealizowane zamysły współczesnych Robespierre'ów. Ano stałoby się to, że ścisłe przestrzeganie zasady komercyjnej z miejsca spowodowałoby wyrzucenie na bruk „proletariuszy" kina. Na placu boju pozostałoby kilku baronów, którzy nie musieliby się martwić o swój status, ponieważ ich konta są zapełnione nie tylko złotówkami. Ciekawe, kto opłacałby w takim razie liczne niekasowe knoty. Andrzej Wajda? Nie przesadzajmy. W teorii wszystko to pięknie wyglądało, ale jestem przekonany, że już po kilku miesiącach zaczęłby się płacz. Notabene nie sprawdziła się przepowiednia, że za pół roku film polski zczeźnie. Gdy dziś, z perspektywy kilku lat, czytam tego rodzaju przepowiednie, to zastanawiam się, jak poważni ludzie mogli ulegać koncepcjom, które ległyby w gruzach przy pierwszym zetknięciu się z praktyką. Była to jakaś zbiorowa histeria.

Człowiekiem zdecydowanie walczącym z „wszechwładną rolą państwa" w kulturze był Jerzy Puciata, prezes ZPAP. Cóż ten człowiek nie wygadywał! W jednym z wywiadów prasowych polemizując z tezą, że reforma w dziedzinie kultury nastąpi dopiero po reformie gospodarczej, powiedział m. in.. „Tyle już zostało dokonanych spustoszeń w sferze kultury duchowej człowieka — to by prowadziło do jeszcze większego wyniszczenia, debilizmu, zezwierzęcenia". To była już aberracja. Wygłaszając takie poglądy, Puciata obrażał także wspaniałą plejadę twórców i artystów, którzy poprzez swą twórczość wzbogacili życie duchowe Polaków i rozsławili imię Polski w świecie. I pomyśleć, że nikt z twórców nie protestował przeciwko temu, co wygadywał Puciata. Nie znam twórczości Puciaty, na żadnej wystawie malarstwa nie spotkałem jego obrazu, a więc nie mogę powiedzieć, czy to talent nieprzeciętny, czy też średni, ale mam prawo do osądu wygłaszanych przez niego opinii o kulturze polskiej. Były to zwyczajne oszczerstwa. No, ale dość Puciaty. Jeśli poświęciłem mu nieco uwagi, to tylko po to, by przypomnieć, że nie brak było w środowiskach twórczych osób, które utraciły wszelki kontakt z rzeczywistością. W gruncie rzeczy casus Puciata wymaga studium psychologa. No, bo zastanówmy się przez chwilę nad położeniem plastyków w Polsce Ludowej. Po raz pierwszy w naszej historii ta właśnie dziedzina twórczości tak nieprawdopodobnie się rozwinęła. To właśnie polityka kulturalna socjalistycznego państwa przyniosła wielką rozbudowę szkół plastycznych, powstało setki, jeśli nie tysiące, ognisk plastycznych itp. Każdy, kto był i jest naznaczony piętnem talentu, ma możliwość wypróbowania swych sił. Dziś w naszym kraju mamy około 15 tysięcy plastyków. Nie twierdzę, że wszyscy opływają w dostatki, większość na pewno nie, ale gdyby nie mecenat państwa, to co najmniej dwie trzecie plastyków musiałoby zrezygnować ze swego zawodu.

W przeddzień otwarcia Kongresu Kultury Polskiej rzecznik prasowy Komitetu Organizacyjnego, Kazimierz Dziewanowski w wywiadzie dla „Sztandaru Młodych" stwierdził m. in. „Jeżeli sytuacja w kraju pomyślnie dla społeczeństwa ustabilizuje się, może to zaowocować cennymi inicjatywami. Z pewnością powstawać zaczną prywatne wydawnictwa, nowe wydawnictwa spółdzielcze, samodzielne ekonomiczne. Słyszałem, że powstać ma prywatna wytwórnia filmowa. Słowem, przestanie istnieć monopol państwa w sferze kultury". W niektórych kręgach ZLP mówiono o potrzebie powołania wydawniczych spółek akcyjnych z udziałem obcego kapitału.

Oto na jakim tle odbywał się Kongres Kultury Polskiej. W informacji o celach Kongresu wręczanej dziennikarzom przy wejściu na salę obrad, jego organizatorzy pisali, że został urządzony wyłącznie siłami społecznymi, bez angażowania jakichkolwiek państwowych funduszy czy środków. Pomyślałem sobie, że to wcale nieźle, jeśli nareszcie odbywa się jakaś impreza, na którą państwo nie łoży ani grosza. Rzecz jednak w tym, że nie względy oszczędnościowe były w tym przypadku brane pod uwagę, lecz dążenie do stworzenia w opinii publicznej wrażenia, że oto po raz pierwszy spotka się ona z niezależną opinią reprezentantów polskiej kultury i sztuki. Czyli, że do tej pory opinia ta była zależna od państwa! To, że mimo takich czy innych przegięć w zarządzaniu kulturą, przez całe czterdziestolecie w tej dziedzinie życia narodowego wieloświatopoglądowość twórców była czymś zgoła oczywistym, że sąsiadowały ze sobą różne szkoły myślenia, że wreszcie wielki wpływ na forsowanie określonych kierunków twórczości artystycznej mieli sami twórcy, o tym wszystkim jakby zapomniano.

Wracając do mojej obecności w sali Teatru Dramatycznego, myślami byłem gdzie indziej. Byłem wówczas zaabsorbowany sprawami, które jako żywo niewiele miały wspólnego z Kongresem Kultury. Nic dziwnego, że w czasie pierwszej przerwy opuściłem szacowne zgromadzenie i udałem się do Urzędu Rady Ministrów. Już po 13 grudnia zajrzałem do materiałów Kongresu, by uzyskać pogląd o jego przebiegu. Na czoło wysunęła się sprawa zlikwidowania mecenatu państwowego nad kulturą i zastąpienia go nowym, ideologicznie zorientowanym na „Solidarność". Mecenat „Solidarności", oczywiście w imieniu całego społeczeństwa, miał zastąpić mecenat państwowy. Kultura miała się wyzwolić spod wpływu instytucji państwowych, ale tak do końca z państwa rezygnować jednak nie zamierzano, bowiem wyznaczono mu funkcję kasjera. Państwo miało stawiać twórcom do dyspozycji pieniądze, które ci rozdzielaliby według swego uznania. Państwo, mówiono na Kongresie, powinno zachować w dziedzinie kultury neutralność światopoglądową. Organizatorzy Kongresu demonstrujący swą niezależność od państwa socjalistycznego bez oporu przyjęli zależność od innej siły. Organizacyjna i propagandowa oprawa Kongresu spoczywała w rękach działaczy „Solidarności". Wśród rozdawanych druków propagandowych wydawanych przez „Solidarność" i Niezależne Zrzeszenie Studentów było także zaproszenie do udziału w planowanej na 17 grudnia manifestacji. Przebieg obrad był dokumentowany w biuletynie Sekcji Pracowników Filmu Regionu Mazowsze.

Jedynym oficjalnym akcentem na powitanie Kongresu był głos Eugeniusza Szumiejki, przedstawiciela Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność". Było to żałosne, niezwykle prymitywne wystąpienie. Nie zabrakło oczywiście pomówień i inwektyw pod adresem władz, które jego zdaniem, prowadziły politykę wynaradawiania podobną do uprawianej przez „najeźdźców i wyswobodzicieli". Po wojnie, mówił Szumiejko, kultura narodowa, edukacja i nauka w naszym kraju zostały podporządkowane politycznym, ekonomicznym i ideologicznym interesom władz partyjnych i państwowych. Umysł i myślenie społeczeństwa, „a także jego aspiracje i inicjatywy zostały zamknięte w swego rodzaju klatce". Szumiejko postulował także stworzenie systemu finansowania kultury będącego w dyspozycji sił nie związanych z aparatem władzy państwowej. „Stwórzmy, powiedział, fundusz konkurencyjny dla rządu oraz Wydziału Kultury KC". Temat ten podjął Andrzej Wajda, który zaapelował o utworzenie funduszu niezależnego od organów państwowych.

Maciej Iłowiecki, wówczas wiceprzewodniczący Zarządu Głównego SDP, poświęcił swoje wystąpienie środkom masowego przekazu, postulując przełamanie państwowego i partyjnego monopolu w tej dziedzinie. Środki masowego przekazu, powiedział, stały się „w rękach aparatu władzy panującego systemu obrazem propagandy grozy, obłudy i nienawiści godzącej w prawdziwych Polaków i prawdziwych patriotów". Łagodny zazwyczaj Maciej, wieloletni pracownik „Polityki", utalentowany popularyzator nauki, stanowczo przesadził. Politycznie bojowe przemówienie wygłosił Andrzej Szczypiorski. Przypomniał, że Kongres odbywa się jednocześnie z obradami „Solidarności" w Gdańsku i w związku z tym nie można na nim ominąć polityki. Szczypiorski zajął się przede wszystkim sprawą porozumienia narodowego. Stwierdził, że lansowana idea tego porozumienia jest fałszywym dekorum dla martwych struktur. Postulował sprecyzowanie „naszego poglądu na koncepcję porozumienia, czyli po prostu na koncepcję dalszego uprawiania w Polsce polityki...

I chyba trzeba także po polsku porządnie określić, co jest zdradą interesu narodowego. Czas najwyższy plugawe oddzielić od tego, co czyste, godne nazwać godnym, a nikczemne nikczemnym..." Większość uczestników Kongresu przyjęła przemówienie Szczypiorskiego entuzjastycznie. Grupa złożona z kilkudziesięciu osób zgłosiła wniosek o przyjęcie sformułowań Szczypiorskiego jako oficjalnej uchwały Kongresu oraz uchwalenie przez Kongres żądania, by pełny tekst przemówienia został opublikowany w środkach masowego przekazu i przesłany do Komisji Krajowej „Solidarności". Widocznie autorzy tego wniosku odczytali wystąpienie Szczypiorskiego jako wyzwanie rzucone władzom. Sytuację uratował przewodniczący Kongresu, prof. Białostocki, wsparty przez Kazimierza Dejmka Zaproponował rozpatrzenie wniosku przez komisję uchwał.

Z dostępnych mi materiałów wynika, że już w pierwszym, a szczególnie drugim dniu obrad nastrój sali uległ radykalizacji, narastała krytyka „panującego systemu"; pojęcie to zastąpiło „ustrój socjalistyczny". Okazało się, że nie starczyło jednak odwagi na krytykę socjalizmu wprost. Nie ulega wątpliwości, że Kongres został zdominowany przez twórców i artystów nastrojonych opozycyjnie wobec PZPR i rządu. Cel, do którego zmierzano, był widoczny jak na dłoni. Chodziło o utworzenie alternatywnego ośrodka dyspozycyjnego w dziedzinie kultury, środków masowego przekazu, oświaty i nauk humanistycznych, a także anarchistycznie pojmowanej autonomii środowisk twórczych. Cokolwiek by nie powiedzieli o tej ocenie ci, którzy wodzili rej na Kongresie, jedno jest pewne: to, co głosili, nie miało nic wspólnego z jakąkolwiek koncepcją harmonijnej współpracy środowisk i związków twórczych z państwem socjalistycznym. Nasze państwo jawiło się jako przeciwnik. W istocie rzeczy kierunek nadany Kongresowi zapowiadał wielki konflikt pomiędzy opozycją, jaka w pełni ujawniła się na Kongresie, i władzami państwa socjalistycznego.

Charakteryzując przebieg Kongresu daleki jestem od tego, by wszystkich jego uczestników traktować jako ludzi nierozważnych, nastrojonych opozycyjnie i awanturniczo. Gdybym tak postąpił, skrzywdziłbym niejednego twórcę i artystę zasiadającego wówczas w Teatrze Dramatycznym. Otóż rzecz w tym, że dla znacznej części uczestników, a także części autorów przygotowanych referatów, Kongres jawił się jako platforma do zamanifestowania swobodnej opinii twórców i naukowców uwolnionej od biurokratycznych nacisków, zbędnej oficjalności, lakierowania i taniej propagandy. Ci uczestnicy Kongresu wzięli w nim udział, ponieważ uważali, że jest to dobra płaszczyzna dla przedstawienia rzeczywistych problemów, kłopotów, zapóźnień etc. występujących w dziedzinie kultury i nauki. Nie przypuszczali zapewne, że ich koledzy, a nawet przyjaciele potraktują Kongres jako instrument bezrozumnej walki z władzą. Niektóre referaty, jak np. prof. Antoniny Kłoskowskiej („Przemiany społeczeństwa a uczestnictwo w kulturze"), zawierały istotne momenty poznawcze i diagnostyczne. W rzeczowym i spokojnym, obiektywnym tonie sformułowała ona uwagi dotyczące istniejących barier w dostępie do kultury, związanych z poziomem oświaty oraz warunkami bytu i pracy. Pani profesor zawarła także w swoim wystąpieniu pozytywną ocenę efektów kulturalnego oddziaływania radia i telewizji. „Jest faktem — stwierdziła — że radio i telewizja były ważnym czynnikiem równouprawnienia kulturalnego wsi i małych miast, że ich przekazy służyły stymulacji kulturalnych zainteresowań. Znajdujemy w toku badań przykłady robotników, chłopów i techników, których telewizyjne programy oświatowe i ogromne zainteresowanie historią, a zwłaszcza III programem Polskiego Radia, inspirowały do studiowania archeologii, astronomii, biologii, do lektury Szekspira, Witkacego, monografii z dziedziny historii starożytnej i dzieł filozoficznych". W czasie wygłaszania referatu przez prof. Kłoskowską przeszło połowa uczestników Kongresu opuściła salę obrad. To zrozumiałe, bo nie przyszli tu po to, by wysłuchiwać rzeczowych i obiektywnych referatów. Co więcej, prof. Kłoskowska pochwaliła kulturotwórczą rolę telewizji, a przecież była to instytucja wyklęta przez „Solidarność". Interesujące i godne uwagi oceny i wnioski zawierały także m. in. referaty: Jana Błońskiego „Edukacja narodowa a kultura" oraz Mieczysława Porębskiego i Witolda Cęckiewicza — „Ład przestrzenny a kultura narodowa". Także w dyskusji nie brak było wystąpień interesujących i mądrych, zawierających trafną analizę sytuacji w kulturze. Wymienić tu trzeba przede wszystkim wystąpienia Anny Świrczyńskiej i Jerzego Bossaka. Do interesujących należałoby także zaliczyć wypowiedzi Jerzego Sito, Tadeusza Chrzanowskiego i Tadeusza Kantora. Gdyby organizatorzy Kongresu nie ulegli pokusie uczynienia z niego platformy walki politycznej z polityką kulturalną państwa, to mógłby on spełnić pozytywną rolę. Tak się jednak nie stało. Obrady Kongresu przerwało wprowadzenie stanu wojennego.

Co się zaś tyczy tych uczestników Kongresu, którzy zostali internowani, to jest chyba aż nadto zrozumiałe, że nie udział w Kongresie był tego przyczyną.

C.D.N. ■

ze str. 1

WOSiR mieszcząca się w Borkach, tj. w odległości ponad 400 metrów od brzegu, dysponująca własnym ujęciem wody, własną kanalizacją, ogromnym parkingiem, wydzielonym polem namiotowym (także skanalizowanym i mającym wodę). W ogóle ten ośrodek jest godny szerszego rozpropagowania ze względu na to, że nie tylko spełnia wszystkie warunki mieszczące się w pojęciu: *„ochrona środowiska naturalnego"*, ale zapewnia godziwą rozrywkę i dobry odpoczynek dla mieszkańców Łodzi.

Kiedy rozmawiałem z pracownikami Straży Leśnej i WOPR twierdzili oni, że gdyby wokół Zalewu Sulejowskiego powstało jeszcze kilka tego typu placówek, sprawa zanieczyszczeń zbiornika stałaby się czysto teoretyczna.

Tak jest w ośrodku. Natomiast nad samym brzegiem

PANUJE CAŁKOWITA ANARCHIA.

Obserwowałem rodaków zjeżdżających tu samochodami. Mimo tablic zakazujących wjazd — prą nad samą wodę. Brzegi kto wjedzie w gląb karać nie mandatem, ale zabierać prawo jazdy i oddawać je dopiero wtedy, kiedy taki delikwent zgłosi się na egzamin z przepisów ruchu drogowego. Być może to odstraszy ludzi od wandalizmu.

PILICA JEST RZEKĄ KAPRYŚNĄ

i nie tylko, raz ma wody więcej raz mniej, ale w swoim nurcie niesie sporo szlamu i piasku. Pierwszą ze wspomnianych przeszkód pokonano budując zbiornik i wykładając jego dno folią Trudniej pokonać tę drugą: piasek i szlam odkładają się w miejscu wejścia Pilicy do zalewu podnosząc jego dno i obniżając poziom wody. Jedynie zastosowanie pogłębiarek, i to pracujących zimą i latem, mogłoby zapobiec „kurczeniu się" wody w zbiorniku. Niestety pogłębiarek nie ma i nikt nie może powiedzieć czy kiedykolwiek zostaną nad zalew sprowadzone.

Tak więc dziś Łódź posiada dwie „nitki" wodne dostarczające wodę dla miasta. Ta woda to 70 procent naszej wody sieciowej. Pozostałe 30 proc. stanowi woda ze studni głębinowych.

Miałem okazję zapoznać się z badaniami prowadzonymi przez Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska w Łodzi dotyczącymi wody w Zbiorniku Sulejowskim. Co prawda są to dane za rok 1984 (rok 1985 jest dopiero w opracowywaniu) więc trudno orzekać, na ile są one aktualne. Mimo to przytaczam informację, jaką tam znalazłem.

„Badania bakteriologiczne przeprowadzone w maju 1984 r wykazały że wszystkie stanowiska kwalifikują się do I klasy czystości, co świadczy o zadowalającym stanie sanitarnym zbiornika".

A więc klasa I! Brawo! Owe stanowiska to: Borkowice, Mokre, Zarzęcin, Bronisławów, Trest. Podobne wyniki uzyskano w czerwcu. Stwierdzono także *„wysokie natlenienie wody w całym przekroju pionowym"*. Jednocześnie wskazano, że zastraszająco wzrasta zagrożenie pestycydami, czyli środkami ochrony roślin, które mają różne właściwości fizyczne i toksykodynamiczne. Natomiast pomiary dokonane w samej Pilicy wykazały, że odcinek przed Sulejowem (Ostrów) i dalej poprzez zalew do Tomaszowa Mazowieckiego spełnia podstawowe normy jakości. Pozostały bieg rzeki wykazuje przekroczenie — głównie ze względu na wskaźnik zanieczyszczenia bakteriologicznego — miana coli. Jednakże, jak odnotowano, ponoć jest to dla tej rzeki sytuacja typowa.

Tak więc do Łodzi dociera woda, która w zbiorniku ulega oczyszczeniu (choć to, co obserwowałem nad brzegiem zalewu sugeruje coś wręcz odwrotnego) i tu zostaje wymieszana z wodą ze studzien głębinowych, następnie jest ozonowana i chlorowana. Niektóre studnie głębinowe dostarczają wody zawierające żelazo i te trzeba odżelaźniać. Jednak są to wody bardzo czyste i można je pić nawet surowe. Pozostaje pytanie:

DLACZEGO SIĘ WODĘ CHLORUJE?

Skoro woda powierzchniowa z Pilicy jest dobra, a ta z głębin jeszcze lepsza, w jakim więc celu sypie się tyle chloru, że czasami po odkręceniu w domu kranu trzeba zatykać nos? Otóż okazuje się, że to wcale nie ze względu na niską jakość wody, tylko by „zabić" zapachy, które są jeszcze gorsze od zapachu chloru. Tajemnica polega na tym, że mamy w Łodzi sporo tzw. końcówek, czyli końców rur, gdzie woda zalega, nie ma odpływu i jak mówią fachowcy *„woda gnije"*, a co za tym idzie, zaczyna cuchnąć zgnilizną. Chlor ten odór zabija, niszczy, eliminuje.

W tej chwili woda w naszych kranach — przytaczam opinię dyrektora Wydziału Gospodarki Wodnej i Ochrony Środowiska — jest dobra, a nawet należy do najlepszych w kraju. (Pomyśleć, że my ciągle na nią psioczymy ani przypuszczając, że może być jeszcze gorzej!). Całe południe miasta ma u siebie wodę powierzchniową, północ — mieszankę: głębinową i ze zbiornika sulejowskiego. Pozostaje więc ostatnie pytanie: *czy tej wody nam wystarczy i na jak długo?*

Wszystko wskazuje na to, że nie wystarczy, i że w najbliższych latach miasto znajdzie się w takiej sytuacji jak na początku lat 50-tych. Pilnie jest potrzebna trzecia nitka. Ale Łódź nie ma środków na jej budowę. Pilica także raczej już nie wystarczy. Nie zapominajmy, że woda to nie tylko miejska sieć wodociągowa, to także przemysł. Już zdarzyło się w przeszłości (lata 60), kiedy to dla przemysłu ustalono limit zużycia wody. Teraz, jeśli do 1990 r. Łódź nie otrzyma dodatkowego akweduktu, ta sytuacja może się powtórzyć. Trzeba będzie zastosować ostre restrykcje dla przemysłu, a kto wie czy nie dla ludności także. Ograniczenie wody dla przemysłu odbije się przede wszystkim na budownictwie mieszkaniowym, które i tak nie należy do przodujących przedsięwzięć przemysłowych.

Tak więc nadszedł czas, aby zastanowić się nad jednolitym systemem wodnym. Powinien być jeden dysponent wodą: zarówno tą z ujęć jak i ze studni głębinowych, a także wodą będącą w dyspozycji przemysłu. Kiedy będzie jeden system sieci, wówczas ów dysponent (zarówno źródłami wody, jak siecią wodociągową i urządzeniami technicznymi: przepompownie hydrofornie, sieć uzdatniania wody, zbiorniki) będzie mógł mieć nieustający przegląd potrzeb i możliwości. Na dobrą sprawę nie mówię nic nowego: taki projekt jest już od 1972 r. Część techniczno-dyspozycyjną opracował były Instytut Gospodarki Wodnej w Warszawie, natomiast Przedsiębiorstwo Geologiczne w Łodzi wykonało opracowanie hydrogeologiczne stwierdzające możliwość włączenia do tego systemu wszystkich łódzkich wód podziemnych.

Inny projekt: grupowa oczyszczalnia ścieków. Przecież wiadomo, że dziś ścieki znacznie się różnią od tych sprzed lat pięćdziesięciu. Dawniej do prania używano szarego mydła i ługu z węgla drzewnego, teraz do pralek wsypujemy najrozmaitsze proszki, do kąpieli lejemy szampony, włosy myjemy także szamponami, podobnie jak karoserie naszych samochodów... Politechnika Łódzka prowadzi od dawna badania nad oczyszczaniem ścieków, właśnie z takiej grupowej oczyszczalni. Wiadomo także, że istnieje możliwość wykorzystania oczyszczonych wód w ilości kilkuset tysięcy metrów sześciennych na dobę z przeznaczeniem dla przemysłu. I to także nic nowego. Na świecie od dawna się to praktykuje. To cena jaką płaci cywilizacja za swój gwałtowny rozwój.

Na koniec pozostawiłem wariant trzeci, także nienowy, bo datujący się jeszcze sprzed wojny. Otóż już wtedy powstała

KONCEPCJA BUDOWY KANAŁU CENTRALNEGO WISŁA — WISŁA.

Ten kanał zaczynałby się na wysokości Włocławka i przez centralną Polskę docierał do Śląska. Przebiegałby obok Lutomierska. Pomysł iście nowatorski: „złapać" Wisłę pod Włocławkiem i „pchnąć" ją na południe, odwrócić jej odwieczny bieg, zmienić prawa natury, które każą rzekom płynąć ku morzu, nasycić wodą nizinne tereny centralne. Dla Łodzi byłby to wielki los, gdyż oprócz wody pitnej, otrzymałaby jeszcze jedną rzekę. Tylko kiedy to będzie i czy w ogóle będzie? Ta śmiała inwestycja pochłonęłaby zawrotne sumy, byłaby budową rozłożoną na lata, wymagałaby uporządkowania całego dorzecza Wisły, wybudowania nowoczesnych oczyszczalni ścieków, śluz itp. Kto wie, czy przyszłe lata i potrzeby nie sprawią, że odgrzebie się stare plany?

A póki co, cieszmy się, że woda nie jest jeszcze na kartki!

EUGENIUSZ IWANICKI

Kiedy woda na kartki?

— a spenetrowałem je wraz z prezesem WOPR Tomaszem Jarzyńskim — są kolorowe od namiotów i karoserii samochodów. Ludzie biwakują tuż nad wodą, kąpią się, kąpią swoje psy, myją naczynia, piorą bieliznę, myją samochody. Przy brzegu czasem przez długie godziny utrzymuje się piana — pozostałość po szamponach użytych do mycia karoserii.

Zanim wypłynęliśmy na zalew, stałem na pomoście na przystani. Na słupie umieszczono dwa znaki zakazu: *„Zakaz kąpieli"* i *„Zakaz wędkowania"*. Ponadto są dwie tabliczki informujące, że: *„Na terenie przystani obowiązuje zakaz wędkowania i kąpieli"* oraz, że: *„Wejście na pomost tylko dla żeglarzy"*. Nikt jednak na nie nie zważa. Ludziska wdrapują się na pomost i skaczą do wody, obok kilku panów zarzuciło wędki i pilnie śledzi spławiki.

Dość długą rozmowę miałem z komendantem Straży Leśnej w Nadleśnictwie Piotrków Trybunalski — Zdzisławem Kozerą. Był rozgoryczony. Na cały zalew jest ich zaledwie 8 osób. To kropla w morzu potrzeb, zważywszy, że na wypoczynek sobotnio-niedzielny zjawia się około 70—90 tysięcy osób i wszyscy rozbijają namioty tuż nad wodą.

— Macie mandaty — mówię.

— *Owszem, czasem w ciągu dnia wystawiamy ich na 30 tys złotych.*

— Jakiej wartości są te mandaty?

— *Po 2 tysiące.*

— To niewiele — mówię. — 30 tysięcy złotych to zaledwie ukaranych 15 osób. A co z resztą tych pseudoturystów? Z ową watahą 70-tysięczną?

— *Jest nas zaledwie ośmiu* — rozkłada bezradnie ręce komendant.

Straż Leśna nie tylko pilnuje zalewu, do jej obowiązków należy pilnowanie całych kompleksów leśnych przed pożarami i kradzieżami, kłusownictwem i niszczeniem, wywożeniem żwiru i wygrabianiem ściółki. Do tego dodajmy setki, może tysiące różnych sprawozdań, informacji, zawiadomień itp., od których — jak mówi komendant — ich

DŁUGOPISY ROZPALAJĄ SIĘ DO CZERWONOŚCI.

Nie tak dawno leśnicy posadzili młody las — dziś po nim nie ma śladu. Przedsiębiorczy kierowcy jeżdżą przesiekami i duktami, wjeżdżają w młodniki.

Oczywiście wielką pomocą byłaby milicja. Może zresztą funkcjonariusze MO zjawiają się od czasu do czasu nad zalewem, ja ich przynajmniej tam nie widziałem. A szkoda, bo sądzę, że zabrakłoby im mandatów.

Straż Leśna postuluje, aby w wyznaczonych miejscach — kiedyś nawet je wytypowano — zorganizować cztery wielkie parkingi tuż przed pasem ochronnym, natomiast każdego, kto wjedzie w gląb karać nie mandatem, ale zabierać prawo jazdy i oddawać je dopiero wtedy, kiedy taki delikwent zgłosi się na egzamin z przepisów ruchu drogowego. Być może to odstraszy ludzi od wandalizmu.

Dziura w całym

ze str. 1

budowlana buduje ten szpital tak, jak nie potrafił tego zrobić fachowy wykonawca. Być może właśnie dlatego? Szpital powstawał w końcu jako inicjatywa społeczna, może dlatego budowlańcom przemawiało do wyobraźni, że robią dla siebie? A że się na rzeczy niespecjalnie znali, toteż pilnie słuchali wskazówek lekarzy mających w przyszłym szpitalu pracować. Pokora wobec własnej niewiedzy i brak zadufania przyniosły olśniewający rezultat. Tak pięknie wykończonego szpitala nie zbudowano w całej historii PRL.

Od samego początku, zawiązał się zespół ludzi traktujących budowę szpitala jak punkt na honorze. Lekarz naczelny nowej placówki, dr Wojciech Kuszkowski, jego zastępca — bezpośrednio nadzorujący wyposażenie Andrzej Ciepka, dyr. Wiliński, szef firmy budującej oraz opatrznościowy człowiek nie schodzący niemal z placu budowy i doglądający każdego detalu — kierownik budowy Tadeusz Ryzner.

Całkowity koszt budowy zamknął się sumą 1 miliarda 100 milionów złotych w czasie 28 miesięcy prac, a więc krócej niż jakakolwiek duża inwestycja służby zdrowia i taniej niż zakładały wstępne wyliczenia. Powstał szpital na 134 łóżka, w tym: 28 ginekologicznych, 16 — położnictwa septycznego, 60 łóżek położniczych i 34 — dla patologii ginekologicznej oraz 90 łóżeczek dla noworodków plus 30 inkubatorów. Ilość łóżek nadal jest mniejsza niż konieczne minimum dla takiego miasta jak Gliwice, natomiast radykalnie poprawiły się warunki dla pacjentek i pracy personelu.

SZPITAL PRZYJĄŁ PIERWSZE PACJENTKI

w początku lipca. Został otwarty najzwyczajniej w świecie. Bez fanfar, uroczystego przecinania wstęgi i uświetniania okrągłej rocznicy. Nie przybyli na otwarcie wysocy dostojnicy, co może i dobrze wróży na przyszłość, bo gdy na początku wielka pompa, potem ponoć stale przytrafiają się poprawki, remonty i łatanina.

Na wyposażenie szpitala w podstawowe urządzenia i aparaturę wyznaczyło przydział funduszy Ministerstwo Zdrowia, natomiast wysokiej jakości aparaturę za dewizy sfinansowały gliwickie zakłady pracy ze swych odpisów dewizowych. Dzięki temu ma szpital dwa wózki reanimacyjne dla noworodków (PP-800) firmy Dregger, system BABY-LOOK 1 (DREGGER) do intensywnego nadzoru i bezinwazyjnego pomiaru poziomu tlenu i dwutlenku węgla we krwi, aparat do znieczulenia ogólnego SULLA 808V zafundowany szpitalowi przez gliwicką firmę „Polskie Odczynniki Chemiczne". W darze został przekazany ultrasonograf z Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia w Katowicach, Kopalnia „Gliwice" przekazała cardiotocograf do rejestracji i nadzoru dobrostanu płodu wewnątrzmacicznie.

Wiele jeszcze innych bezcennych urządzeń trafiło do szpitala jako dary, bądź też ułatwiano ich zakup dzięki wsparciu i pomocy zakładów pracy a i indywidualnych ofiarodawców. Pośród nich, na najlepszą pamięć zasługuje Maria Kaim, która ofiarowała szpitalowi 100 tysięcy złotych, wyposażenie dla szpitalnej kuchni oraz dała początek szpitalnej bibliotece, oprawiając pięknie na własny koszt i ofiarowując pierwsze 52 tomy literatury klasycznej polskiej i światowej. Wspiera szpital Krakowskie Przedsiębiorstwo Naftowe „Bipronaf", wyposażające dobrowolnie wszystkie placówki służby zdrowia w województwie katowickim. Jednym słowem mnóstwo ludzi dobrej woli przyczyniło się do zbudowania i oddania szpitala do użytku, za co im chwała, zwłaszcza za tempo i jakość prac.

Pora jednak przypomnieć sobie o syndromie żyrafy i poszukać w tej pięknej całości kilku dziur.

Niedoróbki, a raczej

PYCHA PROJEKTANTÓW

spowodowały, że nie dało się w fazie wykonawczej uniknąć błędu skupienia w jednym zamkniętym segmencie bloku operacyjnego i bloku reanimacyjnego i intensywnego nadzoru. Jedno wymaga całkiem innych warunków septycznych niż drugie i łączenie tego w całość powoduje potencjalne zagrożenie w przestrzeganiu koniecznych reżimów sanitarnych. Po blisko trzech miesiącach pracy nadal nie działa system klimatyzacji na blokach operacyjnych, co daje skutek w postaci tropikalnego gorąca w pomieszczeniach pozbawionych naturalnej wentylacji. Wciąż jeszcze nie można do końca zrealizować wspaniałego systemu komunikacji telewizyjnej między salami pacjentek a osobami odwiedzającymi. Przygotowany jest już system kamer na każdym oddziale i monitorów w salce przy hallu wejściowym. Dzięki temu uniknąć będzie można plagi szpitalnej w postaci wędrujących po oddziałach osób z zewnątrz, a tym samym przestrzegać ścisłych wymogów higienicznych, jakich potrzebuje tego typu szpital. Przy łóżku każdej pacjentki ma być zamontowany aparat wewnętrznej komunikacji telefonicznej, co pozwoli na kontakt z rodziną tych zwłaszcza chorych, które nie mogą wstawać z łóżek.

Jest jeszcze cały szereg spraw do załatwienia, uzupełnienia czy poprawienia z zakresu technicznego przygotowania szpitala do pracy. Aż nie wypada już wspominać o zupełnie zwyczajnych u nas brakach, nękających wszystkie bez wyjątku szpitale. Braki elementarnego wyposażenia w leki, strzykawki i igły jednorazowe, kłopoty z dostawami drobnego, a niezbędnego sprzętu — to żadna nowina. Brakuje pielęgniarek i salowych, co także nie odkrycie. Jedynie personel lekarski udało się dr. Kuszkowskiemu skompletować w stu procentach.

Trzeba jednak powiedzieć i o drugiej stronie tego samego medalu. Zbudowano szpital. I pięknie. Porządnie zbudowano — wspaniale. Wyposażono go w kosztowną aparaturę medyczną i inne potrzebne urządzenia — cudownie. A jednak rodzi się pytanie: Jak długo to wytrzyma? Doświadczenie poucza, że nawet najwspanialsza forma musi mieć adekwatną treść.

DO LEGENDY STAREGO ODDZIAŁU

ginekologiczno-położniczego przeszły wydarzenia rozgrywające się w oddziałowej łazience dla chorych. Pewnego razu, o bladym świcie jedna z pacjentek trafiwszy do łazienki połączonej z toaletą zastała świeżo upieczonego tatusia, zmordowanego całonocnym oczekiwaniem na następcę tronu, jak golił się używając w tym celu bidetu.

Mówi się, że ludzie dostosowują się do okoliczności. Jeśli przychodzi im żyć w brudzie i bylejakości — stają się szpetni i prymitywni, a w luksusie znowu — nabierają pańskich manier. Może to i prawda, ale jak da się wytłumaczyć to, że w wielu zakładach pracy, postarano się o poprawę warunków w sanitariatach dla załogi. Położono kafelki, zamontowano piękną armaturę, wyszykowano prysznice i sedesy. A po niedługim czasie kafelki wyrwano z wnętrznościami, armaturę rozkradziono, a nad „oczkami" przybito rozpaczliwe błaganie „nie stawać na sedesach". To jak? Ludzie dostosowali się do sytuacji, czy dostosowali sytuację do swego prymitywizmu?

Z końcem dwudziestego wieku, w środku Europy trzeba w nowoczesnym szpitalu pouczać, instruować, a bywa, że i ostro napominać pacjentki, by z bidetów czyniły użytek zgodnie z jego przeznaczeniem, nie zaś używały urządzenia jako klozetu i kosza na odpadki. Można załamywać ręce nad faktem, że te same panie, które mają się za wielkie damy nie wiedzą do czego służy bidet. Ale, na miłość boską, gdzie miały się tego dowiedzieć? Przecież „normatywy mieszkaniowe" ledwo parę lat temu przyjęły do wiadomości istnienie pralki automatycznej i koniecznego dla niej miejsca. A bidet? Toż to imperialistyczny wymysł i daliśmy mu skutecznie klasowy odpór. To i co wydziwiać, że dama ma pazury na dwa centymetry, w domu kolekcję kryształów, w szpitalu zwiewny peniuar, ale robi kupę do bidetu. Najprościej byłoby zdemontować kontrowersyjne urządzenie, a jeszcze lepiej wykopać na podwórzu latrynę. Ale nie tędy droga. Ludzie się nauczą, tylko trzeba dać im szansę.

Z tej samej łączki pochodzi zjawisko, które lekarze nazywają

FILOZOFIĄ DOMOWEGO KOMPOTU

Pacjentka tuż po porodzie, pouczona o tym czego jej w żadnym przypadku jeść nie wolno, najspokojniej wcina udko pieczonej gęsi, albo wyjada owoce z zatęchłego już słoika z kompotem dostarczonego przez troskliwą rodzinę. Mitologia „domowego wsparcia logistycznego" dla pacjenta szpitalnego, głodzonego na państwowym wikcie, jest jedynie sygnałem szerszego zjawiska. Oto wszelkie usługi lecznicze nam się należą z mocy zdobyczy ustrojowych, ale okropnie nie lubimy podporządkować się regułom gry, zwłaszcza gdy ograniczają nasze sobiepaństwo. Że może mieć to tragiczne następstwa, wywołać niepotrzebne komplikacje i powikłania, cóż z tego, skoro „domowy kompot" nadal symbolizuje przywiązanie do tradycyjnego rozumienia tego, czego potrzebuje człowiek w szpitalu.

Poziom świadomości i oświaty zdrowotnej bywa tak kompromitujący, że niemal jak bajki brzmią opowieści pielęgniarek o pomysłach kochanych dorosłych szczególnie w dziedzinie rodzicielstwa. Wszyscy przecież kochamy dzieciaczki. Mogliby lekarze czasem opowiedzieć o mamusiach utrzymujących, jakoby podawanie dzieciom jakichkolwiek warzyw i owoców świeżych wywoływało świnkę, szczególnie u chłopców. Do historii nauki wpisała się też młoda mężatka, która swemu pierworodnemu synkowi, w trzecią Wielkanoc jego życia, poświęconą wstążeczką przewiązała genitalia celem zapewnienia mu w przyszłości powodzenia u kobiet.

Nie są to wcale bajki o żelaznym wilku, ani opowieści z czasów carskich chłopów pańszczyźnianych, lecz całkiem świeżutkie wydarzenia z niwy medycznej.

Służba zdrowia to nie tylko personel medyczny, środki i pieniądze. To także stan świadomości społecznej, poziom ucywilizowania i kultury osobistej także pacjenta.

Pewnie, że wiele bardzo zależy od warunków ekonomicznych w jakich żyjemy, ale nie wszystko można tłumaczyć niedostatkiem środków materialnych. Ogromnie dużo zależy także od sposobu myślenia, rozbudzonych potrzeb, zwłaszcza tych obejmujących oświatę zdrowotną i higienę osobistą i zbiorową. Ktoś kiedyś powiedział, że poziom umysłowy społeczeństwa i sprawność jego organizacji państwowej najlepiej poznaje się w szpitalach i szaletach publicznych.

Można więc tylko życzyć personelowi i pacjentkom nowego szpitala w Gliwicach, by nie doczekali „polskiej normy", kiedy to nowość w krótkim czasie staje się ruiną za przyczyną tych, dla których została stworzona. Oby nie trzeba było oglądać wyrwanych ze ścian kontaktów, zdartych kafelków, zmasakrowanych aparatów i urządzeń i zatkanych bidetów.

JOLANTA WROŃSKA

Jesień' 86

A jednak ku lepszemu

TERESA JERZYKOWSKA

Minęło 30 lat od czasu powołania Poznańskich Targów Krajowych. Przechodziły one w tym czasie różne koleje losu, będąc imprezą o dużym znaczeniu dla zaspokojenia potrzeb rynkowych, przekształcając się z kolei w wystawę potencjalnych możliwości polskiego przemysłu, prezentującego w Poznaniu wyroby jednostkowe, specjalnie na tę okazję przygotowane. Przyjeżdżali na nie wszyscy producenci towarów rynkowych — bo według obowiązujących wówczas przepisów po prostu musieli uczestniczyć w targach, lub też, w latach następnych, gdy uczestnictwo w imprezie stało się (dla samodzielnych, samorządnych i samofinansujących się zakładów) — dobrowolne, bardzo nieliczni. Pozostali uważali, że koszty związane z udziałem w targach są zbędne — handlowcy bowiem, w pogoni za jakimkolwiek towarem i tak do nich trafią.

Wielokrotnie w przeszłości próbowano poznańską imprezę handlową reformować. Były więc targi „fasadowe" urzekające wystawnością i różnorodnością ekspozycji, z której nic lub prawie nic nie miało w przyszłości znaleźć się na półkach sklepowych, były „targi robocze", w czasie których podejmowano starania o to, aby artykuły prezentowane były faktycznym przedmiotem handlu, były giełdy towarowe — przy czym skromniejszy w tym przypadku charakter spotkania handlowców z producentami miała warunkować sama już nazwa, były nawet targi zamknięte, czyli bez dostępu publiczności, która, jak twierdzono wówczas, przeszkadza w konkretnych rozmowach, negocjacjach i innych pracach, odbywających się w targowych boksach.

Od paru lat jednak żadna kolejna reforma Krajowych Targów Poznańskich nie dotknęła (i nic nie zapowiada aby miało to w najbliższym czasie nastąpić) I panującą na tej największej imprezie handlowej sytuację określić można jako stabilną z tendencją wzrostową.

Na „Jesień '86" przyjechało do Poznania 1500 wystawców (o 200 więcej niż w roku ubiegłym), którzy zajęli 83,5 tys. m kwadratowych powierzchni (o 4,5 tys. więcej niż rok temu) i zaoferowali wyroby ze 170 grup towarowych, o wartości około 460 mld zł. W tym przypadku wzrost w porównaniu z jesienią ubiegłego roku wynosi aż 140 mld z czego jednak niebagatelną część, około 19 proc., odliczyć należy na wzrost cen. Nawet jednak po uwzględnieniu tego faktu rzeczywista wielkość oferty jest znacznie większa, co świadczy zarówno o tym, że targi powoli umacniają swą pozycję imprezy w sposób znaczący decydującej o zaopatrzeniu rynku, jak również, a może nawet przede wszystkim, o stopniowej poprawie gospodarki krajowej, także w sektorach mających wpływ bezpośredni na zaspokojenie konsumpcyjnych potrzeb społeczeństwa.

I — aby lista tego, co wzrosło od roku ubiegłego była kompletna — dodać trzeba, że na tegoroczną „Jesień 86" przybyło do Poznania około 300 dziennikarzy z gazet, czasopism i rozgłośni radiowych z całego kraju, podczas gdy dotychczas ich liczba nie przekraczała 90.

CORAZ ŁADNIEJ

Bez względu na to, czy kolejne targi zasługiwały na określenie roboczych, czy też fasadowych — zawsze miały one w pewnym stopniu charakter wystawy Nie inaczej zresztą dzieje się na wszystkich targach w świecie. Tak więc było i tym razem w Poznaniu. I było co oglądać.

Przede wszystkim, jak zwykle, najbardziej podziwianą (i stresową — zwłaszcza dla pań) ekspozycję przygotowały kluczowe firmy odzieżowe. Atrakcyjne, różnorodne wzory, modne, „sygnałowe" kolory, awangarda i dobry standard, modele wykonane z tkanin, jakie jeszcze niedawno można było spotkać jedynie w komisach czy Pewexie — w sumie oferta, jaką można zaproponować nie tylko dla rynku krajowego, ale także bez zażenowania pokazać w zagranicznych żurnalach. Warte podkreślenia jest ponadto zjawisko znacznego wyrównania poziomu. Podczas gdy jeszcze niedawno można było w jednej hali oglądać doskonałe wzory kilku renomowanych firm i całkiem przeciętne wielu innych — obecnie nawet najmodniejsze i mało znane zakłady przygotowały modele nie odbiegające od średniego, bardzo w tym roku wysokiego poziomu.

Podobnie znacznie wyższym — niż w latach poprzednich poziomem wzornictwa odznaczała się ekspozycja odzieżowa spółdzielń zrzeszonych w CZSP Byłaby ona równie atrakcyjna, jak przygotowana przez zakłady kluczowe, gdyby nie tkaniny. Na manekinach widać było wyraźnie, że spółdzielnie borykają się ze znacznie większymi trudnościami zaopatrzeniowymi niż państwowi potentaci i niejednokrotnie zmuszane są szyć z tego, co zostanie, czego inni nie chcieli Zważywszy że 40 proc. zapotrzebowania rynku na okrycia i ubiory, pokrywają właśnie spółdzielnie, traktowanie ich „po macoszemu" w zaopatrzeniu odbija się niekorzystnie na sklepowych półkach.

Niestety, najbardziej atrakcyjne modele albo wcale nie miały na metkach informacyjnych podanej wielkości oferty, albo też była to ilość tak niewielka, np. tysiąc lub dwa, że mogłyby zostać zauważone w sklepach jedynie pod warunkiem, że kupiłby je w całości przedstawiciel handlu z małego miasteczka.

Trzeba jednak przyznać, że to, co wisiało na zapleczu, w boksach producentów i na co faktycznie podpisywano umowy także nie było złe.

Wszystkie te uwagi odnoszą się w pełni nie tylko do oferty odzieżowej, lecz także dziewiarskiej, z której jednak wyłączyć należy wyroby pończosznicze. W tym przypadku obfitość i różnorodność atrakcyjnego towaru była wielka i jeśli w niektórych rejonach kraju nie będzie pełnego wyboru ładnych, modnych rajstop i skarpet, trzeba będzie obarczyć za to winą jedynie nieudolnego przedstawiciela handlu.

Najbardziej odwiedzaną, obok odzieżowych i dziewiarskich, halą była ta, w której prezentowali swoje wyroby producenci artykułów gospodarstwa domowego. Tu o żadnym handlowaniu nie było mowy — można było jedynie obejrzeć to, czego nadal w sklepach nie będzie pod dostatkiem. Nowoczesne w formie i w rozwiązaniach technicznych odkurzacze, piękne sztućce z porcelanowymi oprawkami, garnki kolorowe i tak ładne, że można stawiać je na stół zamiast wazy i inne artykuły z tej grupy objęte są centralnym sterowaniem i nawet najlepszy handlowiec nie kupi ich więcej niż wynika z rozdzielnika.

W tej hali kupić można było — tylko nie wiadomo po co — jedynie nieliczne towary, takie jak np. młynek do orzechów czy ogrodowy grill.

Z uczuciem zawodu opuszczali zwiedzający ekspozycję zabawek. Wydawałoby się, że tu właśnie nie tylko najmłodsi doznawać powinni szczególnych przeżyć estetycznych, a tymczasem odnosiło się raczej wrażenie, że jest to wystawa przygotowana co najmniej kilka lat temu i pokazywana po raz kolejny. Rzędy pluszowych misków i piesków z minami przygłupków, plastykowe autka w niewyraźnych kolorach, gdzieniegdzie, jako przerywnik, drewniany konik na biegunach.

Przy wejściu do hali urządzona była mała wystawka pod hasłem „szukamy projektanta i producenta". Tu, obok rzeczywiście skomplikowanych i zapewne trudnych w produkcji zabawek można było obejrzeć takie „nowości" jak domino fakturowe i zwykłe, drewniane klocki, jakimi bawili się rodzice i dziadkowie obecnych maluchów.

Jedyną naprawdę atrakcyjną nowością w dziedzinie zabawek był zdalnie kierowany samochód, który osobiście demonstrował jego producent — prywatny rzemieślnik.

Jeżeli już mowa o tym, co na targach można było obejrzeć — nie sposób pominąć właśnie rzemiosła, które zajmowało blisko połowę targowej ekspozycji.

I tutaj daje się odnotować znaczny postęp. Przede wszystkim na uznanie zasługuje wydzielenie dwóch jakby minisalonów: odzieżowego i kosmetycznego, w których zgromadzono wiele wyrobów rzemieślniczych z tych właśnie branż i które pozwalały na ukształtowanie opinii zarówno o wzornictwie jak i jakości wyrobów prywatnych wytwórców.

Pozostałe towary prezentowane były nie w układzie branżowym, lecz pod szyldami spółdzielń rzemieślniczych. Pół biedy, jeśli była to spółdzielnia wyrobów np. metalowych, znacznie gorzej z wielobranżowymi — a tych było najwięcej. Na niewielkiej powierzchni zgromadzono rozmaite dobra — od podkładek niewiadomego przeznaczenia poprzez obuwie aż po sporych rozmiarów artykuły wyposażenia mieszkań i tzw. pamiątki — sprawiały wrażenie raczej odpustowego kramu niż targowego stoiska. Nadmiar zniechęcał do oglądania i w znacznym stopniu utrudniał wybór handlowcom.

To i owo jednak dało się zauważyć, np. pokojową fontannę kaskadową — przedmiot duży, drogi i paskudny — a także gliniane krasnoludy, talerze z wizerunkiem papieża itp. ozdoby.

Faktem jest jednak, że upominkowo-pamiątkarsko-zdobniczych koszmarów było znacznie mniej, zdecydowaną wojnę wydała im bowiem komisja weryfikacyjna, działająca przed otwarciem targów. Z drugiej strony — handlowcy, miejmy nadzieję że dobrze znający specyfikę swoich rynków, kupowali wiele paskudztw w ilościach wcale niemałych, nie zauważając np. takich pożytecznych drobiazgów, jak prosty w konstrukcji, estetyczny i potrzebny w każdym domu przyrząd do tarcia bułki (którym zainteresowali się przedstawiciele centrali handlu zagranicznego).

Przedstawiciele naczelnych władz rzemiosła zapowiedzieli na rok przyszły dalsze działania zmierzające do wyeliminowania z Poznania tandety, nawet wbrew handlowi, który chce ją kupować.

SPRAWDZONE ZAPOWIEDZI

Czy zapowiedź ta się sprawdzi — przekonamy się już za kilkanaście miesięcy, a istnieją poważne przesłanki, aby uznać ją za wiarygodną. Na tegorocznych targach okazało się bowiem, że urealniło się wiele z tego, co przedstawiciele MHWiU, resortów produkujących na rynek, naczelnych władz organizacji handlowych i wreszcie producentów zapowiadali rok, dwa lub trzy lata temu — a w co wówczas dość trudno było uwierzyć. A oto kilka przykładów takich sprawdzonych zapowiedzi:

Przede wszystkim koszule męskie. Trzy lata temu wszyscy odpowiedzialni za zaopatrzenie rynku podejmowali starania, aby w sklepach znalazły się jakieś koszule, rok temu z ilością było już znacznie lepiej (co zresztą widać w sklepach) wszyscy jednak narzekali, że koszule są brzydkie i niemodne, obecnie — producenci zaoferowali ilości znaczne i zupełnie nowe, atrakcyjne wzory, uszyte z modnych tkanin. Należy się spodziewać, że w przyszłym roku panowie nie będą mieli kłopotów z nabyciem tej podstawowej części garderoby, tym bardziej, że prawdopodobnie spadnie nieco popyt, bowiem producenci (a zwłaszcza wiodąca w tej branży łódzka Wólczanka) ustalili ceny na dość wysokim poziomie.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Kolejną zapowiedzią była poprawa jakości i wzornictwa wyrobów dziewiarskich — co wymagało z jednej strony zmiany zasad rozliczania przedsiębiorstw produkujących ten asortyment, z drugiej — wprowadzenia pewnych zmian technicznych i technologicznych w zakładach wytwarzających włóczkę. I ta zapowiedź znalazła potwierdzenie na tegorocznych targach.

Następnym przykładem może być wypowiedź jednego z dyrektorów fabryk mebli, który stwierdził w 1984 r., że „za dwa lata rynek udławi się meblami, a zakłady będą zmuszone do rozmaitych działań intensyfikujących sprzedaż".

W tym przypadku prognoza okazała się trochę na wyrost — zdecydowana poprawa na rynku meblowym nastąpiła nie po dwóch, lecz dopiero po trzech latach i ciągle jeszcze nie dotyczy to wszystkich rodzajów mebli, a jedynie niektórych (choć już dość licznych) asortymentów. Efektem tej sytuacji jest powrót po kilkuletniej przerwie przemysłu meblarskiego do Poznania i podjęcie szerokiej współpracy z handlem w dziedzinie dostosowania asortymentu do potrzeb rynku, uatrakcyjnienia a nawet potanienia oferty.

Zgodnie z obietnicami MHWiU następuje również dalsze skrócenie listy towarów objętych centralnym sterowaniem. Podczas gdy w roku 1985 znajdowało się na niej około 100 pozycji, w roku bieżącym 57, w roku przyszłym będzie to już tylko 27 towarów, w tym węgiel i koks. Jednocześnie Zrzeszenie Przedsiębiorstw Handlu Wewnętrznego zrezygnuje z tzw. wspólnych zakupów, wprowadzonych jako forma obrony przed monopolem i nieuzasadnionymi nieraz żądaniami producentów. Tym sposobem handlowcy z różnych regionów będą mieli okazję wykazać się większą aktywnością i uzyskają większy wpływ na zaopatrzenie w swoich województwach. Co prawda może w ten sposób dojść do sytuacji, że w niektórych miejscowościach nie trafią do sklepów bardzo potrzebne towary, ale nie będzie to już wynikiem ich braku w ogóle, ani też żadnych innych czynników obiektywnych.

Miejmy jednak nadzieję, że takich przypadków będzie niewiele, a handel sprosta swojej — bardziej niż dotychczas odpowiadającej temu, do czego został powołany — roli. Zresztą i w sferze handlowania dają się zauważyć symptomy powrotu do normalności. Podczas gdy jeszcze kilka lat temu handlowcom zależało jedynie na tym, aby dostać cokolwiek — dziś już nie godzą się na podpisywanie umów, zawierających liczne, niekorzystne dla handlu i dla konsumentów klauzule, dość zdecydowanie egzekwują od producentów wywiązywanie się z warunków umowy dotyczących ilości, jakości, wzornictwa a także terminowości dostaw, a nawet podejmują próby narzucenia producentom swoich warunków, nie zawsze dla nich korzystnych, np. sprzedaży komisowej lub rotacyjnej.

Na takie rozwiązanie na razie przemysł się nie godzi — i słusznie, jest ono bowiem dobre jedynie w przypadku przewagi podaży nad popytem na wszystkich tzw. rynkach cząstkowych. W obecnej sytuacji przyczyniłoby się do pogorszenia jakości pracy handlu, zmniejszając jego odpowiedzialność.

Odnoszą natomiast skutek rozmowy dotyczące cen. Problem ten rok i dwa lata temu poruszali handlowcy jeszcze nieśmiało i raczej tylko w rozmowach z rzemieślnikami bądź przedstawicielami przedsiębiorstw zagranicznych, obecnie temat przestał być wstydliwy i stał się, podobnie jak inne warunki umów, przedmiotem normalnych negocjacji.

Niestety, nie są to jeszcze rozmowy, z których my, konsumenci moglibyśmy się cieszyć. Dotyczą głównie podniesienia marż handlowych. W minimalnym stopniu, najwyżej o 1 proc. udaje się to osiągnąć poprzez obniżenie ceny zbytu, częściej i skuteczniej — przez podniesienie ceny sprzedaży detalicznej. Na razie więc handel troszczy się o własną kieszeń, miejmy nadzieję, że wkrótce przyjdzie czas na troskę także o portfele klientów.

Obserwując nie tylko to, co jest w halach targowych pokazane, ale i to, co dzieje się na ich zapleczu, porównując do targów poprzednich można w przybliżeniu przewidywać, co będzie w najbliższej przyszłości działo się na rynku, choć trudno byłoby na tej podstawie sporządzić dokładną i trafną prognozę. Są przecież jeszcze rozmaite giełdy branżowe o zasięgu ogólnopolskim i regionalnym, są zakupy bezpośrednio u producentów i rozmaite inne formy kontaktów wytwórców z handlowcami, które jak dotąd w większym niż targi stopniu decydują o kształcie i poziomie rynku. Mimo to — i mimo niezaprzeczalnych efektów, jakie przynoszą i przynosiły nawet w najtrudniejszym dla gospodarki okresie — targi są i pozostaną w pewnym stopniu wystawą możliwości, sondażem gustów i zapotrzebowania rynku, prezentacją kierunków, w jakich będzie rozwijał się przemysł, a także, po prostu, udaną imprezą o charakterze widowiskowo-towarzyskim. Zarówno handlowcy jak i producenci zdają się w coraz większym stopniu doceniać ich rolę — o czym świadczy stale rosnąca liczba uczestników, mimo iż nikt chyba nie wierzy, że kiedykolwiek spełni się zapis, sporządzony w 1957 (i dotychczas nie uchylony) kiedy to powoływano Targi Krajowe, obarczający je zadaniem szybkiego uzdrowienia gospodarki rynkowej.

■

Catedral de Irapuato.

Chwyt odwetowy

Korespondencja z Meksyku (4)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

Nie miałem tysiąca dolarów i nie zamierzałem dać mu grosza. Ale skinąłem głową.

— Zgoda. Chciałbym jednak spotkać się z panem w przeddzień wyjazdu.

— *Po co?*

— Ano, żeby mi pan przyniósł jakieś swoje aktualne zdjęcie i kopię jakiegoś swojego dokumentu.

Kojot zmrużył czarne, smutne, niewątpliwie doświadczone oczy. Obleciał mnie strach. Może przejrzał maskaradę? Może, podobnie jak ja, bał się prowokacji? Tak czy owak, milczał i nie było to przyjemne.

Zaczął tłumaczyć:

— Wie pan, to jest duża suma i poważne ryzyko. Ja też muszę mieć jakieś gwarancje.

— *I co pan z nimi zrobi?*

— Z czym?

— *Z moją fotografią i dokumentem.*

— Wsadzę je do koperty, zakleję i zostawię u pewnego Polaka, który mieszka niedaleko stąd. Kiedy przyjedziemy bezpiecznie do Houston, podam panu jego adres i hasło, a pan wróci i odbierze swoje. Ale nie musi pan odbierać, bo ten Polak będzie już wiedział, że jest pan uczciwym, zasługującym na zaufanie przewodnikiem i również będzie chciał przeprawić się do Houston, zostawiając pańskie zdjęcie i kopię dokumentu innemu Polakowi. I tak dalej.

Don Coyote, w którego kosym, posępnym spojrzeniu błyszczała jeszcze przed chwilą nieufność, odprężył się nagle. Przekonał go mój sumiennie wykalkulowany plan. Sądzę, że zaimponowałem mu trochę. Był jednakże kojotem i próbował chwycić mnie za drugie ucho.

— *Lepiej by było, panowie, gdybyście pojechali z punktu wszyscy razem.*

— Dla pana lepiej, dla nas nie. Umawiamy się zatem wstępnie na poniedziałek 18 sierpnia. W tym samym miejscu i o tej samej porze. Bien?

— *Bien.*

Odwróciłem się i poszedłem w przeciwnym kierunku, niż był mój hotel.

2.

Znajomy pucybut pracował tego wieczoru na Reformie. Miał klienta, odczekałem więc dobrych dziesięć minut, po czym uścisnąłem mu rękę powyżej łokcia i powiedziałem:

— Potrzebuję twojej rady.

— *A sus ordenes* — zaciągnął sympatycznie smyk strzelając z nawyku okiem w moje białe szwedzkie trepy. — *Jedziemy?*

— Daj spokój! Chodzi o to, że przyleciałem wczoraj do Meksyku z jednym gościem i zgubiłem się z nim. Szukam go, a on być może szuka mnie, żaden z nas nie wie jednak i nie ma szans dowiedzieć się, gdzie mieszka drugi. Co byś zrobił na moim miejscu?

— *Przestałbym szukać* — odparł rezolutnie brzdąc. Cisnął szczotkę w powietrze, złapał ją nad samą ziemią i przejechał się po urojonym bucie z wirtuozerią, która świadczyła, że i dzisiaj nie zaspokoił jeszcze swojej zawodowej pasji.

— Ślicznie to robisz, chico — westchnąłem.

— Ale pomóż mi. Powiedzmy, że to nie był facet. Powiedzmy, że to była piękna, poznana przypadkiem dziewczyna, w której zakochałeś się jak głupi. Gdzie byś jej szukał?

Brzdąc spoważniał. Przewrócił oczami i wydął policzki, co pozwalało przypuszczać, iż potrąciłem w nim właściwą strunę. Myślał! Miłość to miłość, do diabła! W tych sprawach nie wypada żartować.

— *Wie pan co?*

— Nie.

— *Meksyk jest wielki. Meksyk jest ogromny. Ale nie ma turystki, która nie zajrzałaby wcześniej czy później na plac Garibaldiego.*

Uścisnąłem go i zapytałem:

— Jak tam iść?

— *Prosto Reformą aż do Avenidy Juarez. Potem skręci pan w prawo, minie Pałac Sztuk Pięknych, i w lewo, w ulicę Lazaro Cardenas. Stamtąd będzie już blisko.*

— Jesteś prawdziwym mężczyzną — powiedziałem. Sięgnąłem za kieszeń przekonany, że i tym razem odrzuci darowiznę, ale udzielenie rzetelnych informacji jest pracą i nie ma nic wspólnego z żebractwem.

Schylił przyzwalająco czoło, wziął dwieście pesos z mojej ręki i powiedział:

— *Przyda się na refresco.*

3.

Jan Szerszeń z Biura Radcy Handlowego i ambasador Henryk Łaszcz ostrzegali mnie, abym broń Boże nie zapuszczał się w zakazane dzielnice po zmroku. Byłem jednak pusty. Nie miałem przy sobie nic z wyjątkiem trzech tysięcy pesos, które w momencie napadu oddałbym bez wahania z czarującym uśmiechem. Nie zmienia to faktu, że odczuwałem drobne wyrzuty sumienia z tytułu mojej niesubordynacji.

Niech tam! Szedłem prawym zatłoczonym chodnikiem ulicy Lazaro Cardenas, pomiędzy ciągiem rozłożonych na ziemi straganów, a podnóżem kamienic, w których wrzały różne sklepy, bary, magazyny i coś tam jeszcze.

Chłopak niuchnął się heroiną, potrącił mnie bokiem pijany jak stodoła alkoholik, który nie przyniósłby wstydu w sobotnie popołudnie na Piotrkowskiej; para kompletnie ubranych kochanków szczytowała w bramie, a całowali się z wielkim animuszem, jakby jedno drugiemu chciało wygryźć zęby.

Wkrótce, przy kolejnej przecznicy, zobaczyłem tych, co stanowią forpocztę orkiestr z Placu Garibaldiego. Naganiają pieszych i zmotoryzowanych, ale robią to z wdziękiem. Nie są bezczelni i nachalni, nie zastępują drogi, nie ciągną za rękawy jak na przykład naganiacze z ateńskiej Plaki pod Akropolem.

Muzyka napływała już z podmuchami wiatru — rzewna, wrzaskliwa, wesoła i smutna, leniwa i szybka, bowiem produkowało się równocześnie z trzydzieści zespołów, każdy w innej tonacji i rytmie.

Wszedłem na długi, prostokątny plac, zatłoczony prawie tak, jak Grand Bazar w Istambule, na którym my, Polacy, czujemy się bojowo. Lewą stroną biegły tanie knajpki z gorącym jadłem i skwierczącymi w jęzorach ognia kurczakami, a prawą drogie i wytworne restauracje, w których też podzwaniała muzyka. Ale główny spektakl trwał na świeżym powietrzu, pod kopułą meksykańskiej nocy. Tu i ówdzie spacerowali godnym krokiem starsi panowie w strojach hiszpańskich hidalgów albo w regionalnych, barwnych ubiorach, złożonych ze spiczastych kapeluszy o rondach tak szerokich, że mogły bez przesady ochronić przed słońcem i deszczem nie tylko właściciela, ale i żonę oraz trójkę dzieci; z narzuconych na ramiona, wełnianych, suto haftowanych derek i penchos, z paradnych spodni i uzbrojonych w ostrogi butów o podciętych po kowbojsku obcasach.

Tworzyli tło. Nie oni jednak zbierali pieniądze i brawa. Ten zaszczyt przypadł w udziale Mariachim — niby zwykłym podwórkowym grajkom, którzy mają wszelako na placu pomnik swojego praszczura, legitymują się często płytami, występują w radio i telewizji, witają na lotnisku prezydenta, kiedy wraca z dalekich podróży, i zdobywają niekiedy rzetelną, panamerykańską sławę.

Mariachi to muzycy do wynajęcia a Plaza de Garibaldi jest ich giełdą. Kiedy zapłacisz, jednym więcej, drugim mniej, możesz zakontraktować zespół owych artystów dla uświetnienia pogrzebu, stypy, wesela, chrztu, setnych urodzin ukochanego pradziadka i pierwszej miesiączki umiłowanej córy, która od tej chwili jest dla kogoś potencjalną żoną. Możesz wziąć ich również na piknik, na zabawę, na przyjęcie, na wyprawę pod okno narzeczonej i w ogóle wszędzie, gdyż są dyskretni i strzegą tajemnic swego zawodu.

Przede wszystkim jednak korzystasz z usług Mariachich bezpośrednio tu, na placu, od godziny dziewiątej wieczorem do piątej lub szóstej rano. Siadasz dajmy na to z dziewczyną na kamiennej ławie, a oni otaczają was pierścieniem i grają zwykle dwa lub trzy kawałki, za które płacisz im potem dwa albo trzy tysiące. Grają tylko dla ciebie i dla twojej dziewczyny, i wkładają w to serce. Odziani są w pyszne, zwykle czarne, lecz zdarzają się także brązowe i niebieskie uniformy. Kusy serdak do pasa i obcisłe, szamerowane po bokach złotem lub srebrem spodnie. Buty lśnią jak niebo usiane gwiazdkami, zaś białe, nieskazitelnie czyste koszule przybrane są pod szyją krawatami, muszkami lub wzorzystą apaszką.

Startują na trzeźwo, ale z biegiem czasu, jak i cała okolica, mają coraz więcej w czubie. Ktoś powiedział, że Meksyk jest jedynym krajem, którego Polska nie musi się wstydzić, jeśli chodzi o alkoholizm. Sprawia to być może klimat. Miasto leży niby w ścisłym pasie tropiku, wszelako dwa tysiące sto metrów nad poziomem morza — noce są chłodne, nieraz zawieje, zatnie deszcz i ręka odruchowo sięga po szklankę rumu i tequili.

— *Salud, Paco!*

— *Na zdrowie, Lazaro!*

— *Pue viva Mexico!*

Żłopią, krótko mówiąc, strasznie. Z początku weseli, potem smutni łażą z kąta w kąt z minami upadłych aniołów. Meksyk wypowiedział wojnę nałogowi, tak jak przed kilku laty wypowiedział ją nadmiernemu przyrostowi naturalnemu, przekraczającemu cztery promille i grożącemu, że w dwutysięcznym roku liczba ludności sięgnie stu piętnastu milionów. W tym drugim wypadku szeroko zakrojona akcja propagandowa przyniosła nadspodziewane rezultaty. Zainteresowane sprawą organizacje lansowały model rodziny dwa plus dwa. Rozlepiano ulotki, rozdawano środki antykoncepcyjne, namawiano do usuwania ciąży, zdarzała się nawet podobno sterylizacja. No i Meksyk wylądował nagle w strefie państw o najniższym przyroście naturalnym (dwa promille). Jest to bezsprzeczny sukces i dowód, że ludziom można wyperswadować różne przyjemności.

Z pijakami jednak wygrać trudno. Niedaleko „Pulquerii", lokalu, który stoi po skromniejszej stronie placu Garibaldiego, i w którym można popróbować kaktusowej wódki pulque (teqmila dla odmiany pędzona jest z agawy) ujrzałem na ścianie plakat zatytułowany:

KRÓL ALKOHOL

Niżej napisano przewrotnie:

„Jestem wspaniały, jestem cudowny, jestem nieodzowny. Beze mnie nie obejdzie się żadna uroczystość i żadna fiesta. Towarzyszę ludziom przy urodzinach i w momencie śmierci. Dzięki mnie zapełniają się szpitale i kostnice, dzięki mnie z oczu głodnego dziecka leją się łzy, dzięki mnie matki przeklinają swoich synów, a żony mężów. Zaprawdę, powiadam wam — jam jest szatan na tronie świata"!

Alcoholcos Anonimos i Jovenes Alcoholicos Anonimos to charytatywne stowarzyszenia społeczne próbujące pomóc ze wszystkich sił rozpijaczonym mężczyznom i kobietom oraz rozpijaczonej młodzieży. Ogłaszają się wszędzie: w metrze, na murach, w gazetach i telewizji, która skądinąd reklamuje wodę ognistą. Działają dyskretnie i taktownie. Nie wytykają nikogo palcem. Nie używają słów: nigdy — w żadnym razie — nie wolno! Prohibicja zawsze przynosiła odwrotny do zamierzonego skutek. Wystarczy ogłosić tydzień bez kielicha i dymka, a ludzie chlają i palą w dwójnasób. Natura ludzka to przekorne bydlę — nie znosi gwałtu i kajdanów. Walka z potężnym koncernem wódczanym też jest beznadziejna i z góry przegrana. Przyczyny należy szukać w człowieku, w jego charakterze, w jego otoczeniu, w jego sercu, w jego przeszłości. Nie wykluczone, że Meksyk rozprawi się i z tym problemem.

Im głębiej w noc, tym fałszywiej brzmiały orkiestry z Placu Garibaldiego. Dwie trąbki, para skrzypiec, trzy gitary, z których jedna, basowa, przystawiona w specyficzny sposób do brzucha przypominała podtrzymywaną kolanem wiolonczelę — to podstawowy skład Mariachich. Żadnych saksofonów i klarnetów, żadnych bębnów, trafia się natomiast od czasu do czasu zminiaturyzowana harfa i kontrabas.

Repertuar obejmował hiszpańskie i latynoamerykańskie szlagiery. Najczęściej powtarzała się La Paloma, La Cucaracha i Bezame mucho, ale nie brakło również nie znanych mi utworów meksykańskich, odtwarzanych z precyzją i biglem.

Autobus z amerykańskimi turystami przystanął u krawężnika ulicy Lazaro Cardenas. Odskoczyły drzwi, Gringos nie opuścili jednak pojazdu, woląc nie narażać się bez istotnej potrzeby i wysłuchać koncertu na siedząco. Zamówili sobie El Condor pasa oraz jakiś skoczny, meksykański kawałek, w którym u końca każdej zwrotki zespół wywrzaskiwał: Ven a Tijuana, ole! Rżały trąbki, zawodziły skrzypce, solista piał w otwarte drzwi samochodu, a ja przyłapałem w tłumie spojrzenie, które przejęło mnie dreszczem.

Był to chłopak, który nie miał więcej niż szesnaście lat. Dałbym głowę, że chodzi za mną od dłuższego czasu. Śledził mnie, ale nie robił tego na własny rachunek. Takie rzeczy chwyta się szóstym zmysłem.

Pisząc o tym, nie zamierzam bynajmniej wzbudzić grozy, bo na Placu Garibaldiego, który jest podobno najniebezpieczniejszym miejscem w stolicy, było grzecznie i na swój sposób spokojnie — nikt nikogo nie pobił i nie okradł, a los machos nie obmacali żadnej zagranicznej turystki, kręcącej tyłkiem w rytm Bezame mucho.

Jednakże wyrostek przykleił się do mnie. Gdziekolwiek bym nie stanął, powtarzał się w moich oczach, udając, że interesuje go tylko muzyka i unikając dalszej wymiany spojrzeń.

Wszedłem do baru i wypiłem colę. Wróciłem na plac i zobaczyłem go znowu.

Mariachi śpiewali tęskną melodię dwudziestoletniej, nieźle już zmęczonej życiem kobiecie, która przysiadła na betonowym kwietniku w otoczeniu czworga dzieci i męża. Mąż, zapewne ciężko harujący robociarz, niski, zdeformowany, z twarzą, która świadczyła, że w jego żyłach więcej było krwi indiańskich przodków niż kreolów, nie spoczął obok żony podczas występu Mariachich, tylko stał wspierając delikatnie dłoń na jej ramieniu i wpatrując się w nią rozmodlonym wzrokiem.

Była to miłość. Nie taka, która szarpie za włosy i ciągnie do łóżka, aby wkrótce zapomnieć, lecz taka, która dziękuje za dzieci, za troskę, za oddanie, za wspólnie dzielony los. Była to miłość, jakiej nigdy nie widziałem w cynicznej Europie.

4.

Opuściłem plac, a ten chudy, szesnastoletni łyk pośpieszył za mną. Pomyślałem o kojocie. Uniosłem rękę i wsiadłem do taksówki, kremowo-żółtego garbusa, który zawiózł mnie w pobliże hotelu. Ostatni etap pokonałem pieszo.

Dochodziła druga. Nazajutrz, o dziesiątej, przyjechał Szerszeń z kolejnym, ciężkim plikiem gazet i bukietem dobrych wiadomości. Grendys zadzwoni' do mnie jeszcze tego wieczoru. Kwiatkowski (konsul i drugi sekretarz ambasady) zgodził się porozmawiać ze mną jutro rano, w sobotę, jak tylko wróci z lotniska, na które musi kogoś przetransportować i zobaczyć czy nie ma przypadkiem Polaków, którzy będą przeprawiać się do Stanów Zjednoczonych. Potem weźmiemy z hotelu „Sevilla" dwóch Ślązaków, specjalistów górniczych, i pojedziemy zobaczyć piramidy.

— Pan ma ze mną masę kłopotu, panie radco — powiedziałem.

Uśmiechnął się i zaprotestował:

— *Miewałem większe.*

— I nie jest pan zły?

— *Czyżbym na takiego wyglądał?... Chodźmy. Muszę panu jeszcze to i owo pokazać.*

Kiedyśmy zwiedzali ulice i place, i park Chapultepec, w którym są odwiedzane przez turystów muzea, a na skraju, w wydzielonej części za murem, rezyduje z rodziną prezydent de la Madrid, miałem głupią nadzieję, że spotkam przypadkiem Romana.

Ale Roman nie był człowiekiem, którego interesują wykopaliska i nowoczesne malarstwo. Roman był człowiekiem od ciężkiego sportu i poważnych spraw. Może przekroczył już Rio Bravo i rodzina załatwiła mu pracę u farmera? Może zrywa już pomarańcze albo ładuje na platformę samochodu arbuzy? Był już w Stanach, ma kontakty, wie jak pomnażać majątek, z którym wróci później do kraju i rzuci sąsiadów na kolana.

— Nie znajdę go już — powiedziałem.

— *Wciąż pan o nim myśli?*

— Tak. Sądzę, jednak, że rozmowa z konsulem wyczerpie temat.

Miało się niebawem okazać, że byłem w błędzie.

C.D.N.

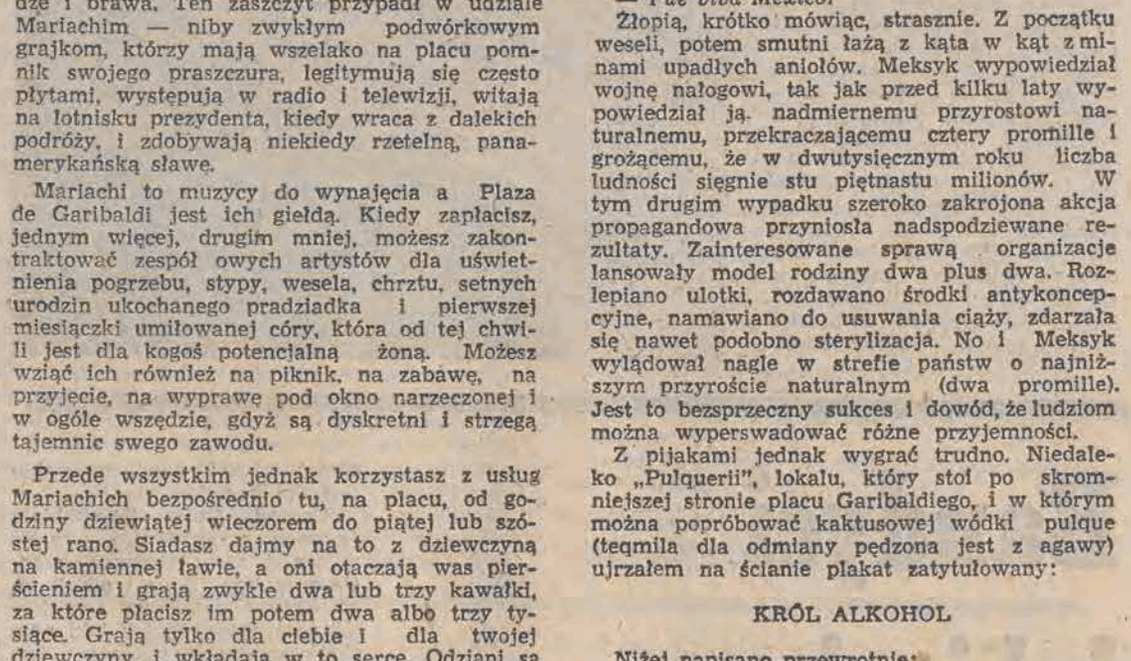

La Fuente. Chiapa de Corzo.

Feliks Rajczak

Drzeworyty Durera

z drzewa igłastego
spoza Raju
(tam rosły liściaste)
wyjmował ryciny
jak rzęsę z oka
i na palcu Bożym
układał
jak chłop siano
na wóz drabiniasty
między latem a wiekiem
złotym

Boże któryś na rozdrożu

pamięci poety Macieja Józefa Kononowicza

Boże któryś na rozdrożu
Między wschodem i zachodem
Ugodzony włócznią dróg
Na powietrzu i pod lodem

Panie czasu i przestrzeni
Dobrodzieju ludzkiej nędzy
Napój zbożnym kwasem czerń
Zwilż poecie żółcią język

Gdy nad Tobą człowiek fruwa
Frasobliwie tkwisz na drzewie
Jako drzazga w oku gwiazd
Wśród śnieżycy i ulewy

Stoi krzyż wkopany w grudę
Oburącz gwoździami spięty
Aż po wieków wiecznych kres
Zapisanych testamentem

Nie obiecuj im powrotu
Do stron czterech i wrót raju
Bo odnajdą siebie tu
Na skrzyżowaniu rozstaju

Dalej będą szli na krańce
Twojej woli przez gościńce
Porośnięte trawą łask
Spłukane deszczem winnice

Oto koło się zamyka
Jako cierniowa korona
Upleciona z naszych rąk —
I poeta z Bogiem kona

Świat oddala się od grobu
I rozjaśnia się dolina
Na którą się kładzie cień
Wniebowstępującego — —

kwiecień 1986

Do Przemienionego

Wieś szczytami pod południe
Zaczytana w księdze ciszy
Odpomina w bieli płócien
Źródło słowa przeczystego

Nie powrócisz i nie skalasz
Tej czystości Przemieniony
Odwrócony obraz wsi
Twarzą do bielonej ściany

Wessał ją wir napowietrzny
I porzucił na ścierniskach
ogorzałych pól łubinu
Zaoranych w twej pamięci

Rzeźba Wojciecha Nyziaka
Foto: Zbigniew Misiak

Powrót „Kalejdoskopu"

Wznowienie Łódzkiego Przewodnika Kulturalnego „Kalejdoskop" w naturalny sposób narzuca porównania z „Kalejdoskopem" wydawanym przez kilka lat przez Łódzki Dom Kultury („Kalejdoskop" a nie ŁDK — wbrew pozorom) zmarł śmiercią przypadkową dosyć...

Powtarzam, że rozumiem kłopoty wydawcy i redakcji, nie robię z powyższych faktów zarzutu komukolwiek.

Myślę, że dobrze robi redakcja, zapraszając do współpracy kierowników placówek kulturalnych, którzy najkompetentniej mogą scharakteryzować pracę kierowanych przez siebie instytucji. Zwłaszcza, kiedy mają tzw lekkie pióra jak choćby Antoni Szram. Obok nich najlepiej sprawdzają się w „Kalejdoskopie" zawodowi publicyści, znani z innych łamów, jak choćby Marek Miller, autor zgrabnego acz króciutkiego (wymagania redakcyjne! — tak trzymać) szkicu literackiego „Ojciec chrzestny".

Brak mi w nowym „Kalejdoskopie" stopki redakcyjnej, ujawniającej autorów i redaktorów — z lektury „Przeglądu Tygodniowego" dowiedziałem się, że naczelnym jest w „Kalejdoskopie" Andrzej Idon Wojciechowski — a przy tym nie mam całkowitej pewności, czy informacja (zawarta w figlarnym felietonie) „PT" jest ścisła. Panowie! nie ma się co wstydzić, przeciwnie, robota jest dobra, na profesjonalnym poziomie! Zwłaszcza interesuje czytelników autorstwo koncepcji graficznej nowego pisma! Śmiało, publiczność chce znać swoich ulubieńców!

W redakcyjnym słowie wstępnym czytamy: ..... Będziemy popierać i promować tylko te zjawiska kulturalne, które na to zasługują z uwagi na wysoki poziom artystyczny..." I to jest zdanie, które mi się nie podoba... Skoro Kalejdoskop ma być informatorem (takie jest, jak mniemam, założenie) to skąd nagle te cenzorsko-krytyczne zapędy? Po drugie: czy redakcja jest w stanie jeszcze przed premierą zorientować się w poziomie artystycznym imprezy? Po trzecie: — Kryteria, panowie, chcemy znać kryteria, jakie zastosuje redakcja w stosunku do faktów kulturalnych, które zostaną odnotowane (lub nie odnotowane) na łamach?

ANDRZEJ KAROL

Zmienił się format i szata graficzna, pozostał zamysł wydawania miesięcznika nie ograniczającego się do suchego zestawu informacyjnego — miesięcznika z ambicjami publicystycznymi — i bardzo dobrze! Wprawdzie dyskutować można, czy informacje o premierach, wernisażach itp. imprezach należy umieszczać w rozdziałach, poświęconych różnym gatunkom sztuki, jak to robił były „Kalejdoskop" czy też przyjąć system kalendarzowy, tj. zgromadzić, pod każdą datą miesiąca, cały zestaw przypadających na ten dzień atrakcji artystycznych. Ja akurat jestem zwolennikiem tej pierwszej koncepcji ale mam świadomość, że średnio połowa czytelników będzie za systemem drugim. De gustibus...

Powtarza nowy „Kalejdoskop" parę grzechów poprzednika — brak informacji o repertuarze kin, brak pełnej informacji o imprezach estradowych. Rozumiem, że wina nie leży po stronie redakcji: OPRF, miłościwie nam „dystrybujący" repertuar kinowy nie może mieć sztywnych planów, musi elastycznie reagować na wahania frekwencji itp. Przedsiębiorstwa estradowe — w znacznym stopniu — są w sytuacji podobnej... Chociaż niezupełnie. Wiele imprez „kontraktuje się" na tyle wcześnie, że można by informować o nich redakcję przewodnika kulturalnego. Zresztą i cykl produkcyjny (jak mniemam) tego potrzebnego wydawnictwa też nie sprzyja zamieszczaniu informacji z ostatniej chwili. Są na to przykłady: w materiale zatytułowanym „Łódzka edycja Jazz-Jamboree" pisze się: ..... Jest (...) mało prawdopodobne, aby zawitał do nas słynny pianista i muzyk syntetyzatorowy H. Hencock" — tymczasem, kiedy dostałem do rąk „Kalejdoskop" Piotrkowska już była wytapetowana afiszami, zapowiadającymi Herbie Hencocka. W tej sytuacji pierwsze zdanie felietonu Edwarda Szustera zaczynające się od słów: „Kilka dni temu ..." jest zdaniem pozbawionym wartości informacyjnej...

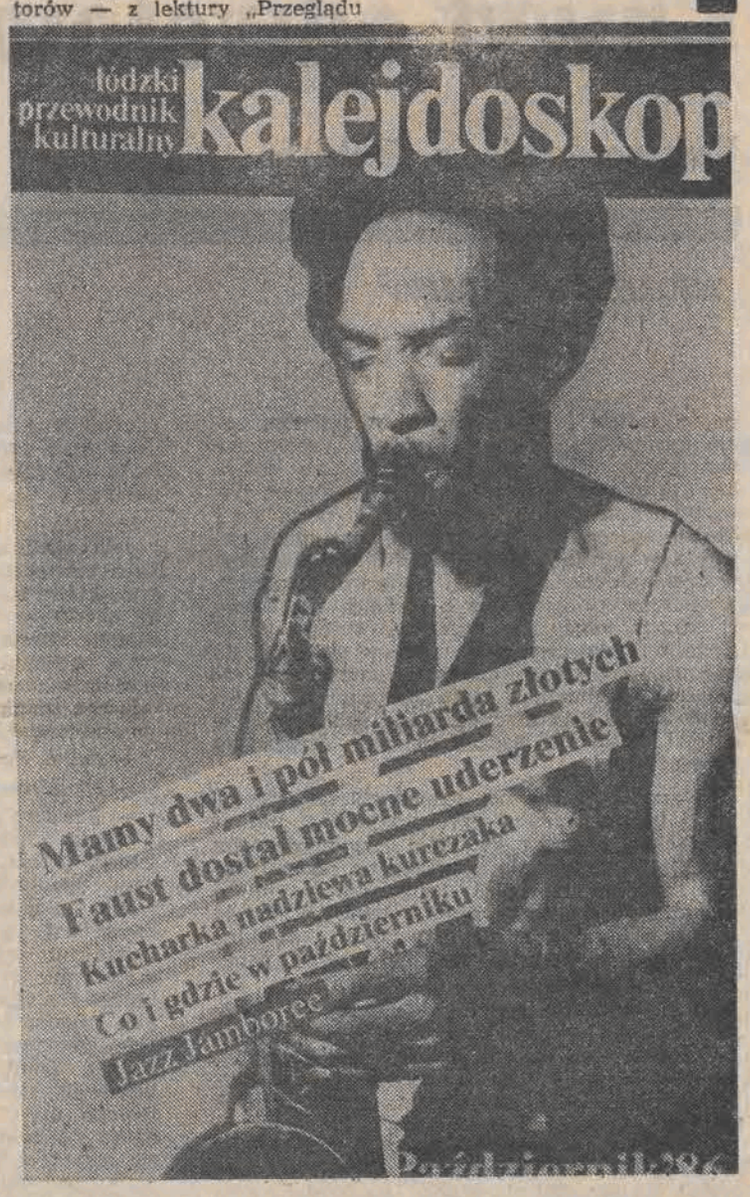

Bandyci lubią jazz

O ile „Ojciec chrzestny II" miał ambicje polityczne i kronikarskie, a także jest porównywany do tragedii antycznej, o tyle „Cotton Club" to produkt do jednorazowego użytku o skłonnościach nostalgicznych. Francis Coppola, aby nie spotkać się z zarzutem nadmiernej eksploatacji tematu, tym razem malarsko podszedł do zagadnienia. Modelem stał się przełom lat dwudziestych i trzydziestych, a więc „romantyczny" okres w dziejach amerykańskiej mafii.

Coppola napisał scenariusz wspólnie z W. Kennedym, ale na podstawie noweli, przy której maczał palce również Mario Puzo — popularyzator i piewca mafii. Akcja, mimo iż jest kilka wątków, nie ma większego znaczenia, a głównym bohaterem jest „Cotton Club" — nocny lokal, w którym przy dźwiękach jazzu gangsterzy dobijają transakcji.

Film jest poetycki, bo i z trupów posiekanych kulami, łajdaczących się kobiet i pieniędzy składa się poezja. Ale nie tylko dlatego. Bohaterowie-ludzie u Coppoli nie są jedynie rekwizytami jak u Spielberga i każdy z nich nakreśla mniej lub bardziej skomplikowany wizerunek wewnętrzny. Co w wypadku „Cotton Club" nie było łatwe, wziąwszy pod uwagę jazz, który chwilami jest dobry i w takiej oprawie, iż nie wiadomo, czy poddać się jego urokowi, czy śledzić treść.

Reguły klasycznego kryminału są zachowane — miłość, którą duszą biznes i zbrodnia, odstrzeliwanie niepotrzebnych i niewygodnych nakręcone z dużą znajomością przedmiotu i mniej więcej wiadomo, kto jest dobry a kto nie.

Richard Gere jako biały jazzman przypadkowo ratuje najmniej sympatycznego gangstera w tym filmie i odtąd jego oczami oglądamy nowojorski półświatek. Widok jaki nam się przedstawia skażony jest naiwnością, a obserwacja czyniona jakby z zewnątrz. Ale pewnie o to chodziło. Gere do końca pozostaje sobą i mimo ryzyka odbija dziewczynę wspomnianemu gangsterowi. Nie tylko Gere włóczy nas po haarlemowskich oparach jazzu i krwi. Uzupełnia tę wizję Gregory Hines jako murzyński tancerz w „Cotton Clubie", który spotyka się raz po raz z towarzyszami umiejącymi obchodzić się z bronią i kocha się w pięknej mulatce. Początkowo Murzyni nie są wpuszczani do lokalu, lecz poza tym nie słychać o dyskryminacji. Problem nie jest ukazany czarno na białym.

Większość amerykańskich filmów cechują z urzędu: odpowiednie tempo akcji, właściwa fotografia i montaż oraz radujące ucho teksty. Reszta zależy od indywidualności reżysera. Coppola ją ma, co udowodnił i tym razem.

„Cotton Club", reż. Francis Coppola, USA

TOMASZ KUBIK

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

POTOMEK HARPAGONA

Pewien zamożny obywatel ziemski w obawie, zasiał zboże dokoła samego domu, pozostawiając dla własnego użytku wąziutką i dobrze ukrytą ścieżkę. Ten sam obywatel, obawiając się, aby go w odludnym domu nie napadli złodzieje i chcąc ich przekonać, że ma liczną służbę, naszył kilkanaście rękawów rozmaitych kolorów i form i kazał swemu jedynemu służącemu wkładać coraz to nową parę rękawów za każdym razem, gdy go zawoła lub cokolwiek z okna wyrzuci, a to w tym celu, aby myślano, iż ma na usługach lokajów, strzelców, kozaków itd. Nie będąc jednak przekonany, że ta maskarada będzie skutecznym na złodziejów środkiem, długi czas nosił się z zamiarem nabycia psa, ale rozważywszy, że karmienie zwierzęcia pociągnie za sobą wydatki, wolał obejść się bez psa i sam pełnił jego służbę, chodząc w nocy dokoła domu i szczekając.

Józef Frank: Pamiętniki. T. 3. Wilno 1913

REZOLUTNA ODPOWIEDŹ

Podczas jednej z bytności cesarza Aleksandra w Warszawie, na paradzie Saskiego placu, meldował się na ordynans siwiutki wiarus z konnego pułku gwardii; na piersiach miał krzyż polski i francuski. Cesarz przypatrując mu się, odezwał: „Ten był chwat, co ci twarz rozrąbał..." — „Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział — On mi twarz rozrąbał, ale ja go zabiłem".

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego, oficera konnego pułku gwardii za czasów w. ks. Konstanego. Lwów 1907.

POMNIK KOPERNIKA

Wspomina Eugeniusz Skrodzki (Wielisław) w gawędzie „Wieczory piątkowe" (Warszawa 1962): „Na rok przed postawieniem pomnika zasłynął w Warszawie doktor czy szarlatan przybyły z Wiednia. Leczył on tak biednych chorych cytrynami, jak później leczono kamforą, gorczycą, zimną wodą albo niewinnej treści homeopatycznymi pigułkami. Głoszono cuda o panu doktorze. Cytryny jego wstawiały nowe płuca suchotnikom, obdarzały silnie bijącym sercem i reperowały nadpsute komórki mózgowe pacjentów. Odbudowanie wątroby i śledziony było bagatelą, nawet aneurym lub wrzycyzm pierzchał przed cytrynowym sokiem. Na domiar tej łatwej pomyłki ten zbawca ludzkości nazywał się Kopenszteter. Gdy więc odkryto pomnik naszego astronoma, ciemna gawiedź uliczna zaczęła pytać: co to za jeden?

— *A czyliż nie widzicie?* — zawołała jakaś koszykowa pani — *to przecież Kopenszteter siedzi w szlafroku na kufierku, w ręku trzyma cytrynę*".

Do swej opowiastki przejął Wielisław wcześniej odnotowaną anegdotę, którą przytaczam według tekstu ogłoszonego w rzadkim dziś czasopiśmie „Humorysta Warszawski" (1840 nr 35).

Czy widziałeś posąg Kopernika? — Widziałem. — Jakże on wygląda? — Siedzi w szlafroku na kufierku i cytrynę nożem obiera.

W TWIERDZY ZAMOSKIEJ

Raz, gdy w przytomności oficerów garnizonowych rozmowa była o Rzymie, „Szto et Rzym?" — zapytał jeden z obecnych. „*Ot widzisz, eto miasto bolsze, po naszemu zowietsja Jerozolima, a oni zowut Rzym*". Mówiąc o okrągłości ziemi: „*Jakże ziemia może być okrągła, gdyż byśmy spadli*" — mówił z nich jeden. „*Ot nie* — odrzekł Kobylew, jeden z mędrszych pomiędzy nimi — *i głowa widzisz okrągła, a wesz po niej chodzi i nie spadnie*".

Leopold Adolf Miller: Wspomnienia tułacza. Rkps.

MAŁŻEŃSTWO

Chwałaż Bogu! Widziałem małżeństwo niemodne,
Stadło wielce szczęśliwe, uprzejme i zgodne,
Stateczna była miłość z podziwieniem wielu,
To szkoda, że mąż umarł w tydzień po weselu!

Ignacy Krasicki

POMYŁKA

Umarł ks. Staszyc i ubrano go w czarny frak, tak jak chodził za życia. Książę namiestnik Zajączek osłał na to do arcybiskupa, aby dał ks. Staszyca ubrać w komżę. Arcybiskup posłał kapelana z komżą. Kapelan chybił pałacu Sapieżyńskiego i wlazł do kamienicy misjonarskiej, a zastawszy tam jakiegoś sędziego na katafalku w mundurze i przy szpadzie, ubrał go w komżę. Żona i dzieci pytają się — co takiego? Kapelan powie, iż tak rozkazał ks. arcybiskup; i w komży pochowano pana sędziego.

Ludwik Łętowski: Wspomnienia pamiętnikarskie. Wrocław 1952.

RELIKWIA W SPODNIACH

Gdy wielki książę Michał pierwszy przed cesarstwem zjechał do Warszawy, Żaboklicki napisał do niego prośbę o audiencję, wielki książę odpisał aujourd'hui. Żaboklicki to słowo wyciął, kazał oprawić za szkło i wszystkim pokazywał. Dostał z garderoby wielkiego księcia Konstantego spodnie i te oprawione w ramy, pod szkłem zachowywał jak ozdobny i drogi sprzęt swego mieszkania, i na ścianie zawiesił.

Kajetan Koźmian: Pamiętniki. T. 2. Poznań 1858.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Wielka sztuka — wbrew trudnościom

Rozmawiamy z KAZIMIERZEM MIKOŁAJCZAKIEM, dyrektorem Filharmonii Łódzkiej.

— Obecny sezon koncertowy zainaugurowała Filharmonia Łódzka z braku kierownika artystycznego pod gościnną batutą, wbrew wieloletniemu zwyczajowi. A ponadto nowe kierownictwo ma rozpocząć działalność dopiero w nowym roku kalendarzowym. Czy zbieg tych okoliczności nie wróży sezonu trudniejszego dla waszej placówki pod względem artystycznym niż kiedykolwiek?

— Trudno pracuje się nam już od kilkunastu lat, tj. od czasu, kiedy zagrożenie sali koncertowej stało się oczywiste.

— Proszę wybaczyć, ale cóż to ma do spraw czysto artystycznych?

— Otóż ma, bo przecież od wielu lat myślimy o przyszłości placówki z niepokojem — czy uda się nam przetrwać tutaj choćby najbliższy sezon. Przyzna pan, że brak poczucia stabilizacji musi odbijać się ujemnie na długofalowym programowaniu pracy, a stosunkowo częste w tym okresie zmiany kierownictwa artystycznego nie sprzyjają ponadto długofalowej polityce repertuarowej, każdy bowiem dyrygent będący przecież odrębną indywidualnością, ma nie tylko inne upodobania, ale i inną ocenę możliwości zespołu, z którym pracuje i w związku z tym może inaczej dobierać program. Może też mieć inną od poprzednika ocenę wartości poszczególnych solistów, których filharmonia musi zapraszać, podobnie jak dyrygentów.

— Rozumiem, że każdy dyrygent pragnąc przystosować zespół do swoich wymagań może aplikować orkiestrze taki a nie inny program, może też mieć inne niż poprzednik kontakty z solistami krajowymi i zagranicznymi. Ale jednak wbrew temu wszystkiemu nie może pan zaprzeczyć, że nasi filharmonicy, których grę mam okazję i przyjemność słuchać od bez mała dwudziestu lat, stanowią przez cały ten czas zespół, w moim skromnym przekonaniu, znakomity, jeden z lepszych w Polsce, taka jest też opinia wielu muzyków spoza orkiestry, z którymi rozmawiałem.

— Mam świadomość, że nasza orkiestra cieszy się od dawna uznaniem znawców i melomanów, a dobry poziom zawdzięcza ona zarówno utrzymywaniu się, bez gwałtownych zmian, głównego trzonu orkiestry, złożonej z wielu doskonałych i doświadczonych instrumentalistów, jak i rzetelnej i fachowej pracy zastępcy dyrektora do spraw artystycznych, Zdzisława Szostaka.

— A jak się przedstawia wasz budżet? Czy nie jest go coraz trudniej „dopinać" w związku ze wzrostem, jak przypuszczam, różnorakich kosztów (w tym — jak wszędzie — płac i honorariów), przy niewysokiej jednak, jak się obserwuje, frekwencji publiczności, czyli niepokaźnych wpływach kasowych?

— Wzrost kosztów utrzymania instytucji, a zwłaszcza samej orkiestry jest horrendalny. Weźmy choćby dla przykładu podrożenie instrumentów w ciągu ostatnich pięciu lat. Waltornia zdrożała z 65 tys. zł do przeszło pół miliona, komplet klarnetów z 124 tys. zł do 850 tys. Nawet nie chcę myśleć, ile milionów kosztować by musiał porządny fortepian!

— Ale, jeśli się nie mylę, część instrumentów stanowiła zawsze i bodaj nadal stanowi osobistą własność muzyków i nie musicie robić im prezentów.

— Tylko kwintet smyczkowy, oprócz kontrabasów, tzn. skrzypce, altówki i wiolonczele są prywatną własnością muzyków, a wszystkie pozostałe instrumenty są im udostępnione do grania przez filharmonię, której własność one stanowią.

— Od czego zależy odmienność tej sytuacji? Nie pytam o fortepian, bo to oczywiste, że nikt go z sobą nie przynosi. Ale piccolo?

— Nie jest to, jak sądzę, taka tradycja, ani taki wymóg, że jedni muszą mieć swoje instrumenty, a innym się je wypożycza. W umowie o pracę stwierdza się, że filharmonia musi pomóc muzykom orkiestry w nabyciu instrumentów lub też umożliwić im korzystanie z instrumentów stacjonarnych. Myślę, że wchodzi w grę zarówno wysoka cena niektórych instrumentów, jak i bardzo zróżnicowane wymagania muzyków w odniesieniu do innych, np. skrzypiec, gdzie nawet niewielkie odchylenia od cech używanego na co dzień instrumentu (także smyczka) utrudniają muzykowi grę na jego najwyższym poziomie, toteż korzysta on z jednych skrzypiec przez całe życie. Ale oprócz podrożenia kosztów utrzymania instytucji, wskutek dość częstej zmiany coraz droższych instrumentów, wpływ na budżet mają także znacznie podwyższone w ostatnich latach honoraria solistów i dyrygentów. Od 1982 r. honorarium najwyższe dla krajowego solisty za koncert piątkowy z powtórką wzrosło z 25 do 40 tys. zł, z krajów socjalistycznych z 40 do 250 tys. zł, a z krajów kapitalistycznych (w przeliczeniu na złotówki) z 200 tys. do 1 miliona zł. Podobnie z dyrygentami, np. dyrygent krajowy za oba koncerty (łącznie z ich przygotowaniem z orkiestrą, co w sumie kosztuje go tydzień pracy) dostaje do 38 tys. zł. Nie mówię o innych kosztach, jak światło, transport itp., a co do wpływów z biletów, to nigdy nie pokrywały one więcej niż kilkanaście procent kosztów. Na słuchaczach zależy nam przede wszystkim ze względów edukacji kulturalnej społeczeństwa. Po to jesteśmy.

— Bądźmy jednak spokojni o to, że władze nie pozwolą wam upaść. Bo i jakby to wyglądało wobec krajowej opinii, jaki szumek by się zrobił, gdyby filharmonia w tak wielkim i ważnym ośrodku polskim, jak Łódź, placówka z siedemdziesięcioletnią tradycją, miała przestać istnieć?

— Chodzi jednak o to, że coraz trudniejsze jest bilansowanie budżetu, opartego oczywiście na państwowej dotacji, ale dotowanego coraz bardziej skąpo w stosunku do potrzeb, a w dodatku spotykają nas niemiłe niespodzianki, którym można by zapobiec, gdyby minister, wprowadzając np. nowy taryfikator na honoraria, uwzględniał tę podwyżkę w dodatkowej dotacji. Każe nam się płacić drożej, a nie daje się środków na pokrycie. Niech pan spojrzy na tegoroczny plan koncertowy, ile w nim jest znanych zagranicznych nazwisk, które zawsze przyciągają publiczność. Prawie wcale ich nie ma.

— Macie jednak przewidziany udział świetnych muzyków krajowych, o poziomie międzynarodowym...

— Oni jednak nie robią nam kasy, choćby przez to, że są już publiczności dość dobrze znani i nie stanowią takiej atrakcji, jak zagraniczne sławy. Pewnie tak zawsze było. W każdym razie jest u nas z pieniędzmi krucho i byłoby jeszcze gorzej, gdyby nas nie ratowały czasem dodatkowe dotacje władz miejskich, które jednak naprzód trudno przewidzieć, toteż nie wiemy w tej chwili np. czy klawesyn, który stoi teraz na wystawie a bardzo byłby potrzebny i jest do kupienia za 1,1 mln zł będzie nasz czy nie.

— Na samym początku rozmowy dał pan upust rozgoryczeniu, że sala koncertowa jest zagrożona, a nikt wam nie pomaga. Rozumiem, że chce pan poruszyć sprawę nowego gmachu filharmonii, muszę się jednak przyznać, że od momentu wypłynięcia tej sprawy mam spore wątpliwości, czy nowy budynek filharmoniczny jest Łodzi niezbędny, z wielką salą — gdzie mizerna frekwencja będzie jeszcze silniej rzucać się w oczy i deprymować zarówno muzyków, jak i publiczność. Czy doprawdy w końcu dwudziestego wieku, przy współczesnej rewelacyjnej technice, nie jest możliwe urafowanie koncertowej sali, poczciwie staroświeckiej, przez którą przewinęło się tyle świetnych nazwisk, nie mówiąc o kilku pokoleniach słuchaczy. Wierzę w magię tego, co Rzymianie nazwali „genius loci", w emanację niepowtarzalnej atmosfery, której w innym miejscu nie da się odtworzyć. Czy nie można zaadaptować na zaplecze sąsiednich kamienic?

— Nie da się uratować stropu i wątpliwe, czy dałoby się zachować ściany. Strop grozi zawaleniem i musi być rozebrany, a ze ścianami jest tak, że można z nich palcami wydłubywać zaprawę łączącą cegły i woda deszczowa przedostaje się do środka ścianami. Strop wspiera się z boku na ścianach kamienic, a jednocześnie wiąże pozostałe ściany własne, które po jego rozebraniu mogą runąć. Dodam, że adaptacje kosztowałyby w sumie z pewnością więcej niż wybudowanie nowego gmachu, który nie może stanąć w tym miejscu, gdyż jest tu za ciasno dla gmachu filharmonii, który mógłby sprostać wymaganiom współczesności. Być może stara sala będzie mogła jeszcze przez jakiś czas służyć innym celom.

— W każdym razie nowego gmachu na razie się nie buduje, co można usprawiedliwić sytuacją ekonomiczną. Jak pan myśli, czy stanie on do końca tego stulecia?

— Wstrzymane są prace projektowe, ale obecnie najpilniejszą potrzebą jest sala zastępcza. Nikt nie wie, kiedy zagrożenie zmusi władze do zamknięcia obecnej sali.

— Ale skoro nie musicie jej jeszcze opuszczać, czy coś wam przeszkadza koncertować w najzupełniejszym spokoju?

— Nakaz opuszczenia sali może, teoretycznie rzecz biorąc, nastąpić każdej chwili, może już jutro, czy za kilka godzin, a tymczasem brak decyzji przyznającej nam salę zastępczą może nas pozostawić z dnia na dzień „na lodzie" i zmusić do zaniechania działalności koncertowej na dłuższy czas. Odpowiednia sala jest na wyciągnięcie ręki, ale czy trzeba dopiero katastrofy, żeby zaczęto myśleć o tej sprawie... Niektórzy zresztą twierdzą, że nasza orkiestra mogłaby z powodzeniem działać pod inną firmą.

— Nietrudno mi zgadnąć, że chodzi o czyjś pomysł, którego chyba nie należy brać poważnie, przyłączenie Filharmonii Łódzkiej do Teatru Wielkiego. Nie wierzę, żeby ktoś przez pozbawienie orkiestry filharmonicznej jej autonomii organizacyjnej i artystycznej, brał na swoją odpowiedzialność nieuchronną degradację orkiestry.

— Też uważam, że utrata autonomii artystycznej musiałaby, wbrew nawet ewentualnym dobrym chęciom, doprowadzić do zniszczenia orkiestry, mającej za sobą siedemdziesiąt jeden lat działalności, będącej drugą, po warszawskiej, filharmonią w Polsce...

— ...Której wysoką rangę artystyczną wyznacza uprawianie muzyki „czystej", wymagającej najwyższych umiejętności, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę w naszym niemuzykalnym społeczeństwie. Ale jednak — ani brak decyzji w sprawie sali zastępczej, ani złowrogie pogłoski czy nawet zamiary likwidatorskie nie zwalniają placówki zarówno od regularnej działalności koncertowej, jak i od działań upowszechniających muzykę.

— Toteż nie zaniechaliśmy prowadzonych od lat audycji szkolnych, a także przedszkolnych oraz w zakładach pracy, świetlicach, klubach itp. z udziałem artystów spoza naszej instytucji. W sumie zapewniamy kontakt z żywą muzyką około 35 tysiącom słuchaczy rocznie.

— Panie dyrektorze. Kierownicy artystyczni przychodzą i odchodzą, a pan tkwi niewzruszenie na swoim stanowisku od czternastu lat, wyrobił pan więc sobie pogląd na przyczyny niepokojącego spadku frekwencji. Co nowego można by wymyślić dla pozyskania nowych słuchaczy, a choćby utrzymania dotychczasowych?

— Nie wszyscy wiedzą, że nawet słynna „pro musica", prowadzona w tak muzykalnym Poznaniu, nie owocuje zwiększoną frekwencją na zwykłych koncertach symfonicznych. Nie lepiej jest w innych miastach, a nawet krajach, i to nie tylko z muzyką. Mogę tylko powiedzieć, że nie wolno nam ustawać w wysiłkach popularyzujących muzykę, zaniedbywać różnorodnych form reklamy, jak np. czwartkowego „anonsu" w TV. Ale w obecnej sytuacji Filharmonii Łódzkiej musimy kierować główne wysiłki na niezwłoczne uzyskanie odpowiedniego lokalu zastępczego, umożliwiającego również próby w warunkach zbliżonych do koncertowych. Abyśmy w razie zamknięcia obecnej sali nie musieli zawieszać samodzielnej działalności, co w konsekwencji mogłoby doprowadzić do tego, że kiedy wreszcie stanie nowy wspaniały gmach, nie będzie miał kto uprawiać w sposób kwalifikowany sztuki muzycznej, ani nie będzie dla kogo grać. Byłaby to strata kulturalna nie do wybaczenia.

— Chyba do tego nie dojdzie! Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

Ogólnopolska Inauguracja Roku Kulturalnego i Sezonu Artystycznego 1986 — 1987 w Łodzi

Ochrona dóbr kultury zadaniem całego społeczeństwa

Już po raz drugi w ostatnich latach Łódź była miejscem ogólnopolskiej inauguracji roku kulturalnego i sezonu artystycznego. W nowo wyremontowanym — choć nie całkiem jeszcze — gmachu Łódzkiego Domu Kultury zebrali się artyści, twórcy i działacze kultury z całego kraju. Gości powitał I sekretarz KŁ PZPR **Józef Niewiadomski.** Byli wśród nich między innymi sekretarz KC PZPR — **Andrzej Wasilewski,** wicepremier **Zbigniew Gertych,** kierownicy wydziałów kultury KC PZPR, NK ZSL i CK SD.

Dla mianowanego w przeddzień ministra kultury i sztuki był to pierwszy dzień „urzędowania" na ministerialnym stanowisku i pierwsze publiczne wystąpienie w roli ministra. Toteż przemówienie ministra — profesora Aleksandra Krawczuka oczekiwane było jako swego rodzaju exposé. Aleksander Krawczuk przypomniał ogromny dorobek twórczy i upowszechnieniowy czterdziestolecia i przeciwstawił się opiniom pomniejszającym i lekceważącym ten dorobek. Wyraził pragnienie, aby do przeszłości przeszedł okres burzliwych konfliktów, zacietrzewienia i ostrych podziałów. Obszar kultury i działalności artystycznej był terenem szczególnych napięć, w delikatnej materii sztuki i upowszechniania dóbr kultury napięcia te powodowały poważne straty, sprzyjały pesymizmowi i nastrojowi beznadziejności.

Spośród najpilniejszych zadań, jakie stoją przed władzami, ale także całym społeczeństwem, profesor Krawczuk wyróżnił szczególną troskę, jakiej wymaga 100 tysięcy zabytków architektonicznych, pilną konieczność modernizacji poligrafii, opiekę nad młodymi twórcami.

W zakończeniu swego wystąpienia minister kultury i sztuki przypomniał sparafrazowane zdanie: Czy Polacy mogą się wybić na wielkość? Odpowiedź brzmi — mogą. Ale spełnić trzeba wiele warunków, trzeba, abyśmy odzyskali wiarę we własne siły.

Po raz pierwszy uhonorowano grupę twórców i działaczy kultury nowo ustanowionym tytułem „Zasłużony dla Kultury Narodowej". Tytuł ten otrzymali: **Halina Auderska, Janina Balcerzak, Maria Bielawska, Jadwiga Chojnacka, Józef Chomiński, Bronisław Chromy, Bohdan Czeszko, Bronisław Dąbrowski, Conrad Drzewiecki, Irena Dubiska, Irena Eichlerówna, Tadeusz Gronowski, Edward Hartwig, Władysław Hasior, Wanda Jakubowska, Tadeusz Kantor, Julian Kawalec, Jerzy Kawalerowicz, Czesław Konopka, Stanisław Kopciuch-Dawski, Jerzy Krasowski, Tadeusz Kulisiewicz, Konstanty Kulka, Zygmunt Latoszewski, Antoni Majak, Zygmunt Lechosław Marszałek, Wiesław Ochman, Teodor Parnicki, Ewelina Pęksowa, Tadeusz Różewicz, Mira Zimińska-Sygietyńska, Jan Świderski, Józef Szajna, Jerzy Toeplitz, Mieczysław Wejman, Stanisław Wisłocki i Wojciech Żukrowski.**

Obchodzący 55-lecie pracy artystycznej **Włodzimierz Kwaskowski** — aktor łódzkiego Teatru im. Jaracza — udekorowany został Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Wręczono także Krzyże Kawalerskie OOP, złote, srebrne i brązowe Krzyże Zasługi.

Spotkanie w Łódzkim Domu Kultury zakończył koncert kameralny: grał młody wiolonczelista **Andrzej Bauer** przy akompaniamencie pianisty **Janusza Grzelązki.**

Dalsza część uroczystości odbyła się w Zakładach Teksylno-Konfekcyjnych „Teofilów". Goście i uczestnicy zwiedzili zakłady i obejrzeli dwie, eksponowane w Zakładowym Domu Kultury wystawy: pierwsza obrazowała dorobek zakładowych domów kultury, druga stanowiła dokumentację fotograficzną odbywających się corocznie w Łodzi „Dni Kultury Robotniczej". Inicjatywy kulturalne załóg i zakładów przemysłowych robotniczej Łodzi, plany pracy i problemy „zakładowej kultury" przedstawił dyrektor ZDK „Obrońców Pokoju" **Józef Gałecki.**

Liczne grono działaczy i twórców uhonorowano odznaką „Zasłużony Działacz Kultury", Honorową Odznaką Miasta Łodzi, dyplomami i nagrodami pieniężnymi.

Szczególnie ważnym akcentem uroczystości w „Teofilowie" było wystąpienie wiceprzewodniczącego OPZZ, przewodniczącego Federacji NSZZ Przemysłu Lekkiego — **Pawła Szymańskiego.** Mówca przedstawił zakres zadań, jakie z myślą o załogach łódzkich przedsiębiorstw zamierza podjąć związek w sferze kultury. Waga tego wystąpienia polega na wyraźnej zapowiedzi, iż nowe związki zawodowe zamierzają, zgodnie z wieloletnimi, pięknymi tradycjami polskiego ruchu związkowego prowadzić aktywną działalność kulturalną i pełnić rolę jednego z ważniejszych mecenasów kultury i sztuki.

Ostatnim akcentem łódzkiej inauguracji roku kulturalnego była premiera „Pana Jowialskiego" Aleksandra Fredry w Teatrze imienia Stefana Jaracza. W roli tytułowej wystąpił Jubilat **Włodzimierz Kwaskowski,** który zebrał wiele owacji, otrzymał wiele listów i telegramów gratulacyjnych.

(AK)

Przez dotyk

Nagroda Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Kina Kobiecego w Creteil '86, I nagroda w dziale debiutów na tegorocznych Koszalińskich Spotkaniach Filmowych, I nagroda na Przeglądzie Młodego Kina w Gdańsku i tamże, na zakończonym niedawno Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych — nagroda dziennikarzy — oto plon zaszczytów dla filmu Magdaleny Łazarkiewicz „Przez dotyk".

Film nakręcony dla telewizji i wyprodukowany przez „Poltel" akcentuje wyraźnie swą przynależność do gatunku telewizyjnego. Wpływy TV na kino są ogromne a obecność „telewizyjnej taktyki" w obrazach kinowych bezsporna i obserwowana od wielu lat. Sporo filmów tzw. kinowych znakomicie prezentuje się w TV, niektóre nawet lepiej niż na dużym ekranie. „Przez dotyk" z założenia i w sposób klarowny prezentuje atrybuty obrazów telewizyjnych. Intymność, kameralność, fabularna asceza, wyraziste wątki, pewna statyczność, kontemplacyjność i poetyckość, teatralne zamknięcie przestrzeni (wnętrza), operowanie bliskimi planami, specyficzne aktorstwo itd. Gdyby jednak uznać wymienione cechy za typowe dla filmów telewizyjnych, to prawdę mówiąc, nie ma bardziej telewizyjnych filmów niż obrazy Bergmana (o czym przekonuje oglądany dopiero co w TVP przegląd filmów z Liv Ullmann). Skoro zaś przy szwedzkim mistrzu kina jesteśmy, to trudno oprzeć się sugestii, że i w temacie filmu Łazarkiewicz pobrzmiewa bergmanowski ton. Głęboka wiwisekcja psychiki głównych bohaterek (znaczące role Grażyny Szapołowskiej i Marii Ciunelis), wzajemne relacje między dwoma kobietami izolowanymi w ponurej szpitalnej celi, rodzaj urzeczenia, fascynacji, mistycznego porozumienia, wzajemne podsycanie wiary i nadziei w obliczu cierpienia i bliskości śmierci.

„Przez dotyk" podejmujący temat tragiczny, z grupy ostatecznych, z wpisaną weń uniwersalną ideą, film o niezwykłej wymowie i klimacie wspartym mroczną scenerią szpitala, jest w gruncie rzeczy — mimo bliskości tematycznej — obrazem „cieplejszym", bardziej wzruszającym niż „skandynawskie pejzaże" Bergmana. Film Łazarkiewicz jest, by tak rzec, na wskroś „kobiecym". Kobieta za kamerą (rzadki to wypadek w fabule), kobiety przed kamerą, temat psychologicznie, a nawet fizjologicznie kobiecy, szczypta kobiecej egzaltacji — mistycyzm macierzyństwa, cud powstawania nowego życia. Zwykło się uważać — i tę prawdę kino jakby potwierdza — że postać kobiety jest psychologicznie bogatsza, ciekawsza, że kryje w sobie pewną tajemnicę. Mężczyzna na ekranie jawi się z reguły jako typ mniej skomplikowany: jako komiksowy bohater, jako amant lub tzw. prawdziwy mężczyzna o schematycznych zachowaniach. Wszelkie próby wniknięcia pod męską skorupę kończą się dla filmowego bohatera niemęską etykietką. Tak więc kino akcentuje i preferuje walory psychologiczne kobiet — czułych instrumentów obdarzonych niezwykłą wrażliwością i głębią doznań. Tak zwane kino kobiece, by wspomnieć tu choćby filmy Barbary Sas czy Marty Meszaros, są z reguły mimowolną albo świadomą apologią „drugiej płci", swoistym ekranowym nurtem emancypacji. W filmie Magdaleny Łazarkiewicz pobrzmiewa głęboki, niemal filozoficzny, ton, „tajemnicy kobiety" — jej powołania, złożonej cielesno-duchowej konstrukcji i niezwykłej siły wewnętrznej.

Przy okazji filmu „Przez dotyk" nie sposób nie powiedzieć o sprawności warsztatowej, dbałości o konsekwentne stosowanie artystycznych środków języka filmowego, jaka cechuje ów obraz. Jest on pracą dyplomową, egzaminem artystycznym młodej reżyserki (Wydział Radia i TV Uniwersytetu Śląskiego) i stąd być może ta filmowa kaligrafia. Nie ma tu w zasadzie nowatorstwa, lecz jest rzetelne i celowe stosowanie klasycznych środków.

Drobiazgowa kompozycja kadrów, ciekawe efekty świetlne, dobrane ujęcia w bliskich planach, interesujące punkty widzenia kamery, a także zmienny kąt widzenia deformujący przestrzeń, czy wreszcie dbałość o zachowanie kontrapunktu wizualno-dźwiękowego, to w zasadzie rejestr właściwych kinu środków — tu z maestrią zastosowany i oparty bardziej na logice niż intuicji.

„Przez dotyk", nagrodzony na głównych filmowych imprezach krajowych, nie umknął, jak sądzę, uwadze widzów, którzy łatwo dostrzegli w nim artystyczną spójność i stylistyczną konsekwencję.

ARKADIUSZ GRZEGORCZYK

„Przez dotyk — reż. Magdalena Łazarkiewicz (emisja telewizyjna 24 września 1986 r.)

WASYL KOCZNOW

Spotkania w Pieredielkinie (2)

Dni w Pieredielkinie mijają szybko jak życie. Po śniadaniu trzeba szybko wracać do biurka, do pisania. Jeśli skusi cię spacer — masz pół dnia z głowy. Tyle pokus czeka na literata w Pieredielkinie, że nawet na obiad można się spóźnić.

Idę przez las, zatrzymuję się — słychać stuk dzięcioła. Szukam na drzewach — nie ma go. Ruszam dalej — puk-puk-puk! Co u licha, gdzie on się chowa? Dzięciołem okazał się Borys Simonow, poeta z Władimira. Mieszka wśród lasu w tak malutkiej chatce, że trudno ją było zauważyć. Z braku miejsca maszynę do pisania stawia na parapecie, pisze zaś na niej jedną ręką, stąd owe puk-puk. Jest zdumiony, że odgłos jego maszynki las oddaje echem dzięcioła.

Ten młody poeta zafascynował mnie dziwnymi ciągotami do mitologizowania własnej przeszłości Zaczęło się od tego, że zabrnęliśmy na ul. Treniowa, gdzie naszą zazdrość wzbudziły ogromne wille, a raczej pałace otoczone pięknymi zadbanymi parkami. Prawie wszystkie miały tarasy na dachach, różane klomby pośrodku podjazdów i wszystkie inne atrybuty dworków szlacheckich. To także siedziby pisarzy, takich, których na ten luksus stać.

Czasami mam jakieś nierealne marzenia. Stałem i wyobrażałem sobie, ile regałów z książkami zmieściłoby się w takim dużym domu, jakie głębokie dzieła można napisać, gdy wokół panuje największy z największych luksusów — absolutna cisza. Borys nie podzielał mojego zdania:

— *Ja bym nic nie potrafił napisać w takiej przestrzeni, chociaż wywodzę się z rodowitej szlachty. Moi dziadowie byli potomkami Warega Szymona, który był wojem Wielkiego Księcia Kijowskiego Jarosława. Szymon miał widzenie nad rzeką Altą, w chwili, gdy leżał ranny na polu bitwy z Połowcami, ukazała mu się cudowna cerkiew. Po powrocie z wojny przyjął wiarę prawosławną i otrzymał na chrzcie imię Simon. Nasz ród Simonowów w prostej linii wywodzi się od tego właśnie Simona.*

— A jak żeś ty, pra-pra-pra... wnuk rycerza Warega, trafił do takiej dziury, jak Wiaźniki, bo tam zdaje się mieszkasz?

— *Książę Władimir Monomach posłał syna Simona, Georgija, do Ziemi Suzdalskiej. Wiaźniki były forpocztą Rusi na wschodzie. Byłeś tam kiedy, widziałeś wały obronne? Nie? To przyjeżdżaj, zapraszam.*

Po tym oświadczeniu nie widziałem żadnych przeszkód, by nie wmówić mu, że jestem potomkiem Gedymina, że co roku ze wzruszeniem wdrapuję się na Górę Zamkową w Wilnie, bo czuję się tam, jak w domu.. Książęta Bielscy ze Smoleńszczyzny faktycznie byli potomkami Gedymina, a moje korzenie znajdują się w ich byłych włościach.

Pochodzenie dla Borysa to nie mit ani bajka. On uważa, że jeśli człowiek nie zna swojej przeszłości, to i przyszłości nie jest w stanie przewidzieć, ani na nią nie zasługuje. Wiadomo, że psychika człowieka kształtuje się już w dzieciństwie. Potocznie mówi się, że jakie dzieciństwo, taka i starość. Czy to jednak zawsze jest prawdą? Borys wyraża dość oryginalny pogląd, że człowiek w krótkim okresie dzieciństwa powtarza całą dotychczasową drogę rozwoju ludzkości. Dziecięce wyliczanki są właściwie zaklęciami, mają moc magiczną. Gra w chowanego — to według niego tropienie zwierza lub nieprzyjaciela, gry w wojnę... Tutaj Borys nie mógł powiedzieć, że jest to jedynie atawistyczny odruch. W tym miejscu jego dość zgrabny i logiczny wywód załamał się. Stwierdził po prostu, iż cała ludzkość ciągle jest na etapie dzieciństwa i dlatego zupełnie poważnie „gra" w wojnę, mordując się wzajemnie. W stosunku człowieka do przyrody wyraża się jego przyszłość — życie wieczne lub zagłada.

— No cóż, ostatnie twoje stwierdzenie na pewno jest słuszne. Nasz stosunek do przyrody ma coś wspólnego z dzieciństwem — brak wyobraźni i brak odpowiedzialności.

Następnego dnia przedstawiłem potomka legendarnego Szymona Prezydentowi Kuli Ziemskiej III, Leonidowi Wyszesławskiemu:

— Poeta Borys Simonow. Wydał swój pierwszy tomik mniej więcej wtedy, kiedy Konstanty Simonow już przestał pisać wiersze. Być może bał się rywalizacji, i dobrze zrobił, gdyż lepszy jest w prozie. Nikt z was nie będzie przecież negował, że jego powieści „Nikt nie rodzi się żołnierzem" i „Żywi i martwi" są dobre. A Borys Simonow — poeta i wnuk Warega Szymona jest hurrapatriotą miasteczka Wiaźniki, gdzie co lato organizuje Święto Poezji, na które przyszedł osobiście zaprosić Prezydenta Poetów.

Borys zobowiązał Leonida, że ten przyjedzie nie sam, lecz z całą grupą kijowian. Ode mnie również chciał mieć słowo, że ściągnę do Wiaźników łódzkich poetów. Przyhamowałem jego zapędy, przypominając mu, że mamy przecież niemal pełną prohibicję. Lecz Borysa to nie powstrzymało.

— *To nic. Będzie samowar, będzie poezja, cóż nam więcej trzeba.*

Tego dnia na balkonie willi Brunona Jasieńskiego zjawił się sam Władimir Sołouchin. Kanciasty, jak wyciosany z kamienia bury niedźwiedź. Niskim głosem, jak z beczki, opowiadał o swoich podróżach do różnych krajów, między innymi do Polski. Ma tu sporo znajomych, wymienia Warszawę, Kraków, Łódź, Poznań. Słucha go spora grupka pisarzy, kopcą papierosy, odganiają dokuczliwe komarzyska. Ciekawi są opinii wielkiego Sołouchina o zagranicy. Nie wszyscy mieli okazję wyjeżdżać.

Wróciliśmy właśnie z codziennej pokolacyjnej przechadzki. Borys poszedł od razu do siebie, do „chatki na kurzych stopkach", jak nazywał domek w lesie. Wybierał się nazajutrz rano do Moskwy — chciał odwiedzić swego druha Sołouchina. Nie miał pojęcia, że ów druh jest tutaj. Faktycznie Sołouchin nie pokazywał się prawie wcale. Zajęty był tłumaczeniem mongolskiej prozy, a właściwie „tłumaczeniem" z rosyjskiego na rosyjski, gdyż materiałem była „rybka" przygotowana przez kogoś, kto znał mongolski. Kiedyś oburzałem się na ten rodzaj przekładów. Jak można tłumaczyć z języka, którego się nie zna? Przekonałem się jednak, że bywa tak często. Teraz w Iwanowie przekładają łodzian z moich „rybek", przekładają nawet poezję rymowaną. Przygotowuję do wydania w ZSRR antologię łódzkiej prozy i poezji. Nie zdążę wszystkiego sam przetłumaczyć. A zamyśliłem to wydanie podczas ubiegłorocznego pobytu w Pieredielkinie. Miałem wtedy ciekawą rozmowę z Ryszardem Daneckim, który do Pieredielkina przyjechał w towarzystwie Winokurowa i Sołouchina. Danecki często jest tłumaczony na rosyjski Łodzian prawie nie widać. O Łódź jako region literacki nikt tu nie walczy Pomyślałem więc, że jako pół-łodzianin mam wobec tego miasta dług wdzięczności, który pora spłacić.

Trwa jeszcze „wieczór" Sołouchina. Ciekaw byłem, czy mnie pamięta. Poznaliśmy się kiedyś w Łodzi, gdy gościł w Polsce razem z J. Bondariewem. Nie poznał mnie. Przypominam mu więc pewne epizody, jak to w trójkę poszliśmy na film „Ludobójcy", a następnie na herbatę do ZLP, jak on ciekaw był, czy trudno jest poecie wrosnąć w zagranicę. Otrzymał wtedy odpowiedź, że czuję się jak drzewo na równinie targane wiatrami. Walcząc z nimi drzewo mężnieje, głębiej zapuszcza korzenie w ziemię, obrasta słojami i wypuszcza grubsze gałęzie. Ta odpowiedź podobała mu się wtedy bardzo. Zapamiętał ją. Zdziwił się niezmiernie, że spotykamy się w Pieredielkinie.

Następnego dnia wybraliśmy się z Borysem na grób Pasternaka. Stary cmentarz rosyjski pod Moskwą. Na wzniesieniu — wiekowe krzyże i nagrobki. Znane w całym świecie nazwiska. Ten cmentarz jest księgą historii narodowej. U stóp wzgórza płynie czysta i bystra rzeczka Setuń. Za rzeką niegdyś ciągnęła się ku wschodowi wielka równina. Podobno była ona miejscem jakiejś krwawej bitwy i przyjęła ciała wielu poległych.

Nad brzegiem Setunia narwałem bukiet kwiatów polnych. Wiem, że Pasternak bardzo je lubił. Zapytaliśmy napotkanych ludzi, gdzie pochowano Pasternaka. Wyjaśnili, że grób poety niełatwo jest znaleźć, że trzeba przejść cały cmentarz, aż do równiny. Mijamy dostojne piękne grobowce z rzeźbami, otoczone artystycznie wykonanymi niziutkimi palisadami. Wewnątrz zadbane ścieżki, pod drzewami ławeczki. Niezmiernie smutny to widok. Żywi budują zmarłym mocne miniaturowe domy — zimne, kamienne, ciężkie — i choć ozdabiają je zielenią drzew i kwiatami, przecież nie można oprzeć się wrażeniu, że przygniatamy zmarłych kamieniem, bo nie pragniemy spotkania z nimi, boimy się śmierci.

Pamiętam wiersz Pasternaka „Sierpień", w którym poeta w przeczuciu śmierci opisał miejsce swego wiecznego spoczynku. Wydawało mi się, iż nietrudno będzie znaleźć to miejsce. Powinny tam rosnąć dwie sosny na skraju pola i musi być widoczna cerkiew Przemienienia Pańskiego. Złote kopuły cerkwi zauważyliśmy, gdy zaczęliśmy schodzić w dół ku rzece. Jednak żadnych dwóch sióstr-sosen nie było widać. Zwróciliśmy uwagę na ogromną ilość białych marmurowych nagrobków, które stały równymi rzędami, pochylone lekko, jak pułk żołnierzy idący do ataku. Rzeczywiście są to mogiły żołnierzy poległych podczas obrony Moskwy, w czasie ostatniej wojny.

Wyszliśmy na drogę. Jakaś kobieta grabiła grządki. Za jej plecami złotem błyszczały kopuły. Na nasze pytanie odpowiedziała:

— *Minęliście już grób poety. O tam, widzicie te dwie sosny na wzgórzu? Tam leży Pasternak.*

Jak to się stało, że ich nie dostrzegliśmy? Grób Pasternaka jest tuż obok cmentarza wojskowego. Wśród gęstej zieleni od razu zauważyłem ogromny nagrobek z białego marmuru. Ma oryginalny kształt — unosi się jak skrzydło nad usypanym z ziemi pagórkiem właściwego grobu, obsadzonego bratkami i niezapominajkami. W marmurze wyrzeźbiony jest profil młodego Pasternaka. Włosy niedbale zaczesane na bok, usta lekko wydęte, głowa jakby wyciągnięta do przodu, jakby za chwilę poeta miał deklamować wiersz. Bardzo realistycznie oddany jest w kamieniu wizerunek Pasternaka, gdy recytował. Tak twierdzą ci, którzy go znali. Na dole płyty, nad samą ziemią wyryty autograf poety. Z obydwu stron białego marmuru płoną w wazonach czerwone tulipany. Po bokach leżą jego najbliżsi — żona i syn Leonid. Przed tymi trzema mogiłami znajduje się spory placyk zamknięty żywopłotem, a pod nim — długa ławka.

Zapomniałem nawet, że mam w rękach kwiaty, tak poraziło mnie tutaj straszne milczenie ziemi. Borys wziął je z moich rąk i położył na grób. Bezwiednie zacząłem recytować wiersz z powieści „Doktor Ziwago" Pasternaka — „Hamlet". Właśnie ten wiersz najbardziej odpowiadał młodzieńczemu profilowi na marmurze. Recytowałem szeptem, a przecież wiersz brzmiał głośno, zdawało mi się, że słychać go nad brzegiem rzeki, że głos mój odbija się echem od złotych kopuł cerkwi.

30 maja na pieredielkińskim cmentarzu zebrały się setki ludzi. Przybywali pojedynczo i grupami. Wszyscy szli po ścieżce na skraju urwiska nad Setuniem. W dole szumiała rzeka, ku urwisku wyciągały się korony olch, czeremchy, brzóz. Z rozległego pagórka spływały ku nim krzyże i nagrobki. A ludzie szli wąskim przesmykiem między zielenią i kamieniami w powadze, w milczeniu, z naręczami kwiatów. To byli goście Borysa Pasternaka. 30 maja 1985 roku minęła 25 rocznica jego śmierci. Przybył Leonid Wyszesławski, zarecytował swoje wiersze poświęcone zmarłemu. Na ławce pod żywopłotem siedzieli krewni i przyjaciele poety. Milczeli. Tutaj mówiono tylko wiersze. Ten hołd oddawany poecie trwał do wieczora. Odchodzili jedni, na ich miejsce przybywali następni. W ostatnich latach wiersze Pasternaka wydawano stosunkowo często, liczba miłośników jego poezji jest ogromna. Obok mnie stali jacyś Anglicy, w klapach ich marynarek zauważyłem znaczki „Shakespeare". Pewnie była to jakaś delegacja. Pasternak przełożył prawie wszystkie dramaty Szekspira.

W drodze powrotnej Wyszesławski zapytał mnie, czy Pasternak jest przetłumaczony na polski. Opowiedziałem mu, co wiedziałem o polskich przekładach, ale wracając do Pasternaka to i mnie również intrygowało jego niedościgłe mistrzostwo jako tłumacza. Jego przekładom z Leśmiana i Słowackiego (także i moich ulubionych poetów) poświęciłem kiedyś dwa artykuły.

Poszliśmy w stronę cerkwi, chyba podświadomie myśląc o jej chłodnym wnętrzu w ten upalny dzień. Za białym murem — stuletnie sosny i lipy. Tam znajduje się fragment starej Rusi, cudem ocalałej w tym zwariowanym świecie pełnym szczęku żelaza i pędzących samochodów. Brama była zamknięta, lecz poprzez jej szczeliny widać było studnię pośrodku dziedzińca i krużganki wokół. Zupełnie jak na starych drzeworytach. Dzwonnica pod kopułą z XV wieku dźwigała kilka różnej wielkości dzwonów. Wszystkie miedziane, podobne do odwróconych amfor greckich. Codziennie rano i w południe słychać je było w moim pokoju. Bramę zwieńczały dwie ikony: jedna Matki Boskiej z Dzieciątkiem, druga — św. Mikołaja. Swym surowym pięknem narzucały milczenie. Zauważyłem, że ktokolwiek przechodził obok nich, uspokajał się jakby i cichł wewnętrznie, głośnych rozmów nigdy nie słyszałem.

Wszedłem po czerwonym chodniku do przedsionka cerkwi. Tam znajdowało się malowidło przedstawiające Wniebowstąpienie Chrystusa, którego reprodukcje spotykałem już w książkach z literatury staroruskiej. Znów wypłynął z pamięci wiersz Pasternaka „Sierpień". Pasternak mówi o wschodzie pięciu słońc — o promieniach odbijających się od pięciu złotych kopuł cerkwi Przemienienia Pańskiego. Tu ma swoją siedzibę metropolita moskiewski, lecz ciszę przerywają jedynie dzwony wzywające do modłów.

Wokół willi Pasternaka wśród rozłożystych lip wznoszą się wysokie białe brzozy, jakby struny gigantycznego instrumentu, któremu na imię — natura. Tu na werandzie Ojstrach i Neuhaus grali dla swego przyjaciela utwory jego ulubionych kompozytorów: Chopina, Czajkowskiego, Wieniawskiego, Brahmsa... Pasternak czytał nowe wiersze...

W Pieredielkinie krzyżują się drogi wszystkich prawie radzieckich literatów. Spotkać tu można sławy i debiutantów. Poczta w Pieredielkinie łączy z dowolnym miastem i dowolnym krajem. Zamówiłem Łódź. Na rozmowę pojechałem jednak do Moskwy, bałem się, że będzie zła słyszalność. Tymczasem głos żony i córki słychać było doskonale, jakby mówiły nie przez telefon. Aż do zmierzchu chodziłem po mieście, rozmyślałem o losach naszej rodziny. Późny letni wieczór przypomniał mi, że czas wracać do Pieredielkina. Z pociągu wysiadłem już po północy. Pewnym krokiem wstąpiłem na wąską dróżkę, która gęstymi zaroślami biegła na przełaj wprost ku rzece. Przedzierając się przez gęsty mrok przypominałem sobie różne opowieści o napadach na samotne osoby. Niebo było gwiaździste, bez jednej chmurki i w ostrym cieniu drzew i krzewów co rusz ukazywały mi się jakieś widziadła. Od rzeki płynęła gęsta, szara mgła. Starałem się cicho stawiać kroki, by ewentualnego wroga usłyszeć. Miałem świadomość, że o tej porze nie ma wokół mnie żywej duszy. Cmentarza się nie bałem. Zresztą, prawdę mówiąc, jakoś wypadło mi z głowy, że trzeba iść koło cmentarza. Dopiero gdy wyszedłem z zarośli i zobaczyłem tuż przed sobą wyłaniające się z szarej mgły marmurowe krzyże i nagrobki nerwowy dreszcz wstrząsnął mym ciałem. Mimo woli odwróciłem głowę w kierunku grobu Pasternaka, gdzie byliśmy z Borysem przed kilku dniami. Stamtąd doniósł się nagle szum listowia i suchy trzask drzewa. A przecież nie było wiatru! No i oczywiście obleciał mnie zwykły, chyba atawistyczny strach. W mroku mijały mnie jakieś chude białe postacie. Zatrzymałem się. One również. W tym momencie gdzieś niedaleko zaczął szczekać pies i ten zwyczajny odgłos wrócił mi przytomność umysłu. Toż to białe słupki ogrodzenia! Ruszyłem szybkim krokiem na głos psa. Przeszedłem mostek nad Setuniem i wkrótce już ujrzałem oświetlony podjazd „mojego" domu. Pies szczekał na naszym podwórku.

Rano przy śniadaniu pochwaliłem się swoim bohaterstwem, bagatelizując nawet skrzypienie drzewa, bo mógł to być krzyk ptaka nocnego, a szum listowia — wytworem mojej wyobraźni. Simonow słuchał mnie z takim przerażeniem, jakiego nie odczuwałem nawet w nocy, pozostali śmiali się razem ze mną.

Od kilku dni pada deszcz. Koło domu Brunona Jasieńskiego pusto, nawet ptaki gdzieś się pochowały. Pieredielkino ogląda film o Rasputinie „Agonia". Postać Rasputina jest demoniczna. Książę Jusupow strzela raz za razem w portret Rasputina, lecz w pierś samego Rasputina nie ma odwagi. Boi się jego strasznego przeszywającego wzroku. Strzela mu w plecy. Nie trafia? Rasputin wstaje i ucieka. Polują na niego, jak na dzikiego zwierza. W końcu dosięga go któraś z kul.

Po filmie nie rozchodzimy się do swoich domów. Każdy ma nieprzepartą ochotę podzielić się z innymi swymi uwagami, zastrzeżeniami, aprobatą. Siadamy na ganku. Elegancki siwy Cygan, Rom-Lebiediew znany dramaturg moskiewski opowiada, jak to wyglądało w rzeczywistości. Ma sporo wiedzy o tamtej epoce, co widać było z serii artykułów pod wspólnym tytułem „Notatki Cygana moskiewskiego", jakie publikował w miesięczniku „Teatr". Jego matka była tancerką pałacową za Mikołaja II, film sugeruje nawet, że była kochanką Rasputina. Rom-Lebiediew jest oburzony — to nieprawda, jego matka nienawidziła tego mnicha. Cóż, uspokajamy go, żaden film fabularny nie jest dokumentem epoki, a potrzeby dramaturgii filmowej zmuszają często do odejścia od prawdy cząstkowej na rzecz prawdy ogólnej. Zaperzony Rom-Lebiediew wykrzykuje, iż Cyganie opuścili swe pragniazdo Pendżab dwa tysiące lat temu. Przez ten czas wszystko się wokół ich taborów zmieniło i zmienia, a oni trwają. Dzięki komu i czemu? Dzięki wierności Cyganek. Więc jego matka na pewno nie była kochanką Rasputina.

Mam szczęście do Cyganów. Dwa lata temu w innym Domu Literatów zaprzyjaźniłem się z poetą cygańskim Mikołajem Sadkiewiczem, który zachwycony był poezją polskiej Cyganki Papuszy. Myślał, że ona jeszcze żyje.

A teraz Rom-Lebiediew na pieredielkińskich dróżkach poświęca mi zagadkową i tajemniczą jak etruskie pismo historię Cyganów.

W okolicach Moskwy mieszka sporo Cyganów. Prawie codziennie kilka młodych Cyganek kręci się koło mnie, namawiają do wróżenia. Nie mam na to ochoty, lecz one nie odstępują. Korzystam z okazji i radzę się Lebiediewa. — Trzeba je postraszyć — powiada. Wymówił kilka słów po cygańsku, których się nauczyłem i od tej pory używam ich, gdy zajdzie tego potrzeba. „Me tut kamám, o łowé mânde nané. Me czororo manusz" — działa to błyskawicznie. Cyganka znika i więcej nie nagabuje. Z początku myślałem, że to wyzwiska. Nic podobnego. Słowa te znaczą: „Kocham cię, lecz nie mam pieniędzy. Jestem biedny".

Następnego dnia, gdy na peronie w Pieredielkinie otoczyły mnie natrętne kobiety i krzykliwie proponowały powróżenie, na chwilę straciłem kontenans. O kilka kroków dalej stali mężczyźni i obserwowali, jak ich kobiety „pracują". Zanim zdążyłem się opamiętać już jedna z nich trzymała moją rękę w swojej i gardłowo szczebiotała: — *Sokole jasny, Pana los wypisany jest na tej dłoni.*

— Raczej siwy sokole — poprawiłem i zdobywając się na odwagę krzyknąłem: — Me czororo manusz.

Zamilkły jak piorunem rażone i uciekły. Po chwili peron był cichy i pusty.

Zastanawiające jest, jak wielu ludzi ze środowiska literackiego (i nie tylko) szuka swoich korzeni w przodziejach. Na pewno jest to oznaką swoistego zagubienia się jednostki w dzisiejszym skłóconym świecie, psychiczną potrzebą wydostania się z anonimowego tłumu, autokreacją. Zjawisko to, samo w sobie pożyteczne, może okazać się niebezpieczne. Czyżbyśmy zwracając się ku przeszłości wyrażali swój lęk przed przyszłością? A może obojętność wobec teraźniejszości?

Wysoki, błękitnooki starzec z Kostromy, Wasyl Starostin, rześki i czerstwy, z długą po pas brodą, twierdzi, że jest Wenedem. Z dumą podkreśla, iż jego starodawne plemię (jak i Polanie należące do Słowian Zachodnich) wymienione jest w średniowiecznym zabytku piśmiennictwa „Powieści lat minionych". Ich legendarny przodek Wiatko przybył na wschód od Lachów i osiedlił swój ród w dorzeczu Dniepru i Wołgi. Nazywano tych Wenedów Wiaticzami. Starostin poważnie wierzy w legendę o trzech braciach — Lechu, Czechu i Rusie. Równie głęboko wierzy w wynalezioną przez siebie metodę wykrywania „prawdziwego" talentu literackiego, która wygląda następująco: w ciągu kwadransa delikwent czyta swoje utwory w absolutnej ciszy, zaś Starostin mierzy przy pomocy sekundnika jego tętno. Jeśli jest przyspieszone, to znaczy, że badany posiada talent, jeśli zaś normalne — jest grafomanem. Moje eseje z literatury staroruskiej wybroniły się, ale wiersze — nie wszystkie. Wyszesławski okazał się dobrym poetą i fatalnym prozaikiem.

Choć wszyscy śmiali się i kpili z tej metody, to jednak z jakimś fatalizmem poddawali się jej i byli szczęśliwi, gdy wychodzili na plus. Zabobonny strach, by nie zostać „beztalenciem" znakomicie przyspieszał bicie serca.

Starostin był ciekawym człowiekiem, miał duże doświadczenie życiowe, lecz rozmówcą był trudnym, nie sposób było przekonać go, że się w czymś myli. Twierdził na przykład, iż Słowianie mieli już piśmiennictwo 2000 lat temu. Na ten okres datował słynną księgę proroctw kapłanów pogańskich, tzw. „Księgę Welesa", o której wiadomo, że jest falsyfikatem. Żadne argumenty do Starostina nie trafiały.

W kręgu „nieuznanych" znalazł się również Siergiej Paniuszkin, poeta z Lipiecka — podróżnik i historyk zarazem. W poszukiwaniu legendarnej Scytii Herodota zwiedził całe południe Europy Wschodniej. Ostatnio bada deltę Wołgi, szuka równie legendarnej Chazarii. Jest urzeczony krainą Chazarów, uważa ją za swą praojczyznę. Jego poetycki tomik „Łabędia" jest w całości jej poświęcony. Łabędź był totemem Chazarów, ujście Wołgi do dziś nazywa się „Łabędzim".

I na koniec zabawny epizod z ostatnich dni w Prieredielkinie. Siedzimy z Paniuszkinem i po raz któryś mówimy o Wielkiej Chazarii, gdy nagle drzwi otwierają się z trzaskiem i w progu staje Simonow.

— *Alarm! Ogłoszono prohibicję od jutra! Chodźmy, może jeszcze złapiemy parę butelek.*

Rzuciliśmy się pędem do sklepu. Tam zebrał się już tłum spragnionych. Drzwi były zamknięte. Podbiegłem do nich i waląc pięścią sparafrazowałem:

— Koniak! Koniak! Królestwo za koniak!

Nie wiem, czy ekspedientka znała Szekspira, czy też zrozumiała mój okrzyk dosłownie, dość, że drzwi otworzyła natychmiast. I to dopiero wywołało wśród reszty huragan śmiechu, który zdaje się mocno ją obraził, bo postraszyła nas gniewnie:

— *Jutro nic wam nie sprzedam! Zobaczymy, czy będzie wam tak wesoło!*

Polemiki • Listy • Opinie

ICH WRZESIEŃ

Pierwszego września 1939 r., rankiem o godz. 4.50 dowódca polskich oddziałów na Westerplatte major Henryk Sucharski nadał do Warszawy następujący meldunek: „O godzinie 4.45 pancernik „Schleswig-Holstein" otworzył ze wszystkich dział ogień na Westerplatte. Obstrzał trwa".

Jak wyglądały pierwsze dni września na ziemi polskiej w oczach samych najeźdźców hitlerowskich? Powiedzą o tym relacje niemieckich korespondentów wojennych, przesyłane wprost z frontu do czołowych hitlerowskich czasopism.

Oto niektóre z nich:

Korespondent Kurt Frowein-Wilfried von Owen w jednym z pism frontowych takie epitafium poświęca pogranicznym żołnierzom polskim:

„To był pierwszy polski żołnierz, którego ujrzałem. Na progu granicznej zagrody leżał we krwi z ziemistą twarzą, skurczony z bólu, z kolanami przy piersiach. Z jego zaciśniętych warg wyrwał się ledwie dosłyszalny szept: „Wody". Napojony skonał z uśmiechem. Spoczywa teraz na miejscu, na którym padł, pod prostym drewnianym krzyżem, ozdobionym jedynie polskim hełmem i napisem: „10 polskich żołnierzy". Ten polski piechur zginął jak prawdziwy żołnierz (...). A obok przy oknach zagrody, zamienionych w strzelnice, we wnękach strzeleckich, wykopanych w ogrodzie, hen, gdzieś na granicy, śniło w tym momencie już swój wieczny sen 9 jego towarzyszy — piechurów. Drużyna, którą tworzyli, zajmowała stanowisko w zagrodzie na kilkaset metrów od granicy. Tu 10 ludzi z jednym ręcznym karabinem maszynowym i 10 karabinami, oczekiwało naszego natarcia. Nie mieli za sobą innych silniejszych oddziałów. Wojska polskie koncentrowały się o kilkadziesiąt kilometrów w głąb. By spełnić swe zadanie (...) musieli decydować się na śmierć, niewolę albo gwałtowny odwrót po kilku strzałach (...) Tych 10 nie myślało jednak o odwrocie. Nie przyszło im do głowy wsiąść na stojące w pogotowiu na tyłach zagrody rowery. Zostali w zagrodzie, trwając w pogotowiu. Gdy w mglistym świcie dnia 1 września 1939 roku świsnęła od naszej strony pierwsza kula, złożyli się ze swych karabinów, odpowiadając strzałem na strzał. Montonnie terkotał karabin maszynowy i każdy pełnił swą służbę tak, jak na mustrze w koszarach. Żaden z nich nie opuścił żywy zagrody na granicy. Taki był żołnierz polski wytrwały i zacięty, a jednocześnie skromny i niewymagający.

Widzieliśmy grupy rozbitków, które w lasach i błotach trzymały się jeszcze całymi dniami bez żywności i uzupełnienia amunicji, odcięte od swoich pułków, bez jednolitego dowództwa. Przyprawiały nas one często o ciężkie straty, napadały na nasze kolumny zaopatrzeniowe i jeszcze długo niepokoiły obszar leżący za naszym frontem. Oddziały polskiej kawalerii przebijały się często z okrążenia z szaleńczą odwagą. Prości piechurzy, okopawszy się przed jakąś wsią, bronili stanowiska tak długo, aż każdy rażony kulą w swym wnęku strzeleckim kończył walkę wraz z życiem. Nigdy nie zapomnę obrazów takich okopów, głębokich na człowieka. W każdym z nich, jak we własnoręcznie wykopanym grobie, opadła ku ziemi postać strzelca o woskowym obliczu i w skrwawionym mundurze..."

A oto relacja samego feldmarszałka lotnictwa Alfreda Kesselringa o przygodzie, jaka spotkała go na froncie:

„1 września z jednego z lotnisk pod Olsztynem w Prusach Wschodnich startuje niemiecki samolot rozpoznawczy z zadaniem rozpoznania lotnisk i ruchu kolejowego w obszarze Brześć Litewski — Równe — Sarny — Bielsk Podlaski. W drodze powrotnej na trasie Warszawa — Białystok spostrzegamy polski pociąg towarowy. Nadlatujemy lotem przyziemnym w kierunku lokomotywy. Po oddaniu krótkiej serii, z kotła lokomotywy tryska pionowo strumień pary. Lokomotywa zatrzymuje się. Zawracamy ostro, lecimy tak nisko, że szczyty drzew uginają się od pędu powietrza. Jest to nieskończenie długi pociąg towarowy. Paru ludzi — hamulcowi — biegną jak szaleni przez pole w stronę pobliskiego lasu. Tylko z przodu, jeden z nich, czarny drab, stoi na miejscu i składa się z karabinu. Widocznie maszynista. Obserwator wali znowu serię w gruby połyskujący brzuch kotła. Wtem szczęk tuż za mną. Odwracam się gwałtownie. Pocisk karabinowy przebił siedzenie obserwatora i trafił w pompkę benzynową. Gdybym siedział na swoim miejscu, byłaby to prawdopodobnie moja ostatnia chwila. Jeszcze jeden wiraż, jeszcze jeden nalot, a drab jak stał tak stoi. W swoim niebieskim zasmarowanym kombinezonie stoi przy lokomotywie i składa się znów z karabinu. Nie, tego już za wiele. Nacieramy gwałtownie. Lokomotywę z maszynistą tym razem diabli wzięli".

Podoficer Sedlatzek z brygady piechoty „Metze" tak opisuje walkę o zdobycie Nakła w dniu 3 września 1939 r.:

„O świcie nasi forsują wejście do Nakła od strony północnej. Wojska polskie miały się już z miasta wycofać. Miasto jak wymarłe. Wtem — verfluchte — krach, jiuh, jiuh, jiuh! Kilka kul uderza po bruku aż skry lecą. I znowu krach. Do diabła. To strzelają cię przeklęci z poddaszy. Pierwsze strzały stały się hasłem do ogólnej strzelaniny. Grzmi teraz zewsząd. Między strzały z karabinów miesza się terkot maszynek. Można odróżnić bardziej głuche strzały z dubeltówek. Podoficerowie nasi orientują się i podają rozkaz od żołnierza do żołnierza: Wszyscy w tył! Byłoby nonsensem przelewać krew w tej bezplanowej strzelaninie ulicznej. Strzelcy powoli przekradają się z powrotem, wykorzystując każdy występ domu jako osłonę. Ogień nieprzyjacielski powoli gaśnie. Teraz rozpoczyna się nieuporządkowane natarcie. Pionierzy i piechurzy siekierami i granatami ręcznymi wywalają kolejne drzwi domów, wypędzając ludność na ulicę i pędząc do tyłu. Uważnie badają poddasza. Jeden z domów zdaje się pozornie głuchy, zwrócony ku nam ślepym murem. Podoficer dostrzega jednak w ścianie małą dziurę. Coś się w niej porusza i nagle błyska ogień. Nasi ostrzeliwują, wywalają drzwi granatem i wpadają do domu. Na poddaszu leży martwy cywil z dubeltówką".

Korespondent wojenny Max Euller pierwszy swój chrzest bojowy odbył pod Jordanowem:

„...Trzeciego września o świcie wyruszają pułki do decydującego natarcia na 600-metrową wyżynę pod Jordanowem. Pod osłoną czołgów dobijamy się do leżącego na połowie drogi folwarku i czekamy na dalsze wypadki. Nagle odzywa się z prawej strony polska artyleria, która już była zamilkła od jakiegoś czasu. Szukamy osłony. Przed folwarkiem znajduje się mały brzozowy lasek, niektórzy koledzy tam się chowają. Część pozostaje w zabudowaniach a reszta kryje się w rowach przydrożnych. Wybieram to ostatnie i obserwuję zbliżające się białe obłoczki. Musiano nas już zauważyć i wzięto nas w planowy ogień. Naprzód dwieście metrów, potem sto metrów, w końcu strzelają nam nad głowami. No, teraz już nas niedługo dostaną. Z pewną obawą zezuję spod mego hełmu na przeklęte białe kule, które wykwitają w powietrzu na 30 metrów nad głową. Teraz walą do folwarku, raz, drugi, dziesiąty... i wkrótce potem w lasek brzozowy. Z ciężkim hukiem pękających szrapneli miesza się wstrętne syczenie rozpryskujących się ułamków. Wciskamy nosy mocno w ziemię. Następna seria przechodzi ponad nami. Ale już i nasza artyleria wykryła stanowiska przeciwnika. Poznaję to po kierunku odstrzału. Ciężkie pociski huczą wysoko w powietrzu. Towarzyszą im nasze serdeczne życzenia. Podczas tego pojedynku artyleryjskiego czym prędzej się wycofujemy, zabrawszy wpierw rannych i zawinąwszy w płótno namiotowe zabitego towarzysza, którego zostawiamy na miejscu..."

I jeszcze jedno wspomnienie z dziennika gen. brygady Hansa Felbera o bitwie nad Bzurą:

„10—11. IX: To były dwa dni prawdziwej walki. Należał do nich szczególnie dzień wczorajszy. Poprzedniej nocy spaliśmy zaledwie półtorej godziny. Gdy odjeżdżaliśmy, trwały właśnie silne ataki nieprzyjaciela. Przez cały dzień dochodziły nas następnie ponure wieści. Zmagania były stosunkowo twarde. Szczególnie w godzinach wieczornych jedno wydarzenie goniło drugie. Wróg zaatakował nas pod wieczór. Miał także pewne sukcesy. Rzuciliśmy do walki pokaźne siły. Trzeba było dużego opanowania i spokojnych nerwów, aby w sztabie dodać otuchy ogarniętym niepewnością. Około północy wypadło podejmować poważne decyzje. Najwidoczniej był to w tej bitwie o Warszawę dzień kryzysowy. Dzisiaj było już lżej. Tylko pod wieczór łobuz znów zaatakował. Spotkał się jednak z odprawą. Siedzi w swym worku, który z dnia na dzień staje się węższy. Siłą rzeczy musi go on rozerwać albo poddać się.

12. IX.: Noc minęła spokojnie, natomiast już wczesnym rankiem paskudztwo znów się zaczęło. O siódmej rano, gdy kończyłem właśnie ubierać się, otrzymałem sygnał od jednego z korpusów. Sytuacja bardzo krytyczna: wróg przełamał nasze linie w pewnym i to dość czułym miejscu. Nie mieliśmy nic pod ręką, by zatkać dziurę. Sytuacja była fatalna. Poza tym uderzenie wroga skierowane było na naszą kwaterę (...)

15.IX.: Dzień wczorajszy był znów dniem wielkiej bitwy. Wróg zaatakował ponownie, jednakże my spodziewaliśmy się tego i byliśmy temu radzi, ponieważ w takiej sytuacji nadarzy się okazja, by wziąć łup i jeńców. Polski dowódca, którego mamy naprzeciwko siebie, to wspaniała głowa. Ma to być ich najlepszy i najmłodszy dowódca. Facet broni się z największą brawurą (mowa o generale Tadeuszu Kutrzebie — przyp. F. L.). Sytuacja zamkniętej w kotle masy z pewnością nie jest wesoła. Mimo wszelkich trudności z zaopatrzeniem Polak ustawicznie naciera..."

Wybrał i podał do druku:
FR. LEWANDOWSKI

REGULAMIN NAGRODY IMIENIA KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO

Pragnąc przyczynić się do podniesienia rangi twórczości dziennikarskiej dla dzieci, a także dla podkreślenia roli, jaką ma do spełnienia prasa, radio i telewizja dla dzieci — Prezydium Zarządu Głównego SD PRL ustanowiło w roku 1984 — w setną rocznicę urodzin wybitnego twórcy dla dzieci Kornela Makuszyńskiego — doroczną nagrodę jego imienia.

Nagroda może być przyznana za przeznaczane dla dzieci artykuły prasowe, audycje radiowe i telewizyjne, akcje redakcyjne, formy współpracy z odbiorcami, zrealizowane pomysły nowatorskich form wychowania przez prasę, radio i telewizję, a także za kolumny w prasie dla dorosłych, adresowane do dzieci.

Kandydatów do nagrody zgłaszać mogą kolegia redakcyjne, koła i oddziały SD PRL, Prezydium SD PRL. Dziennikarze mogą zgłaszać swoje kandydatury także indywidualnie.

Przewiduje się możliwość przyznawania nagród indywidualnych i zespołowych.

Kandydatów do nagrody — wraz z uzasadnieniem i wybranymi pracami — należy zgłaszać do Sekretariatu Generalnego SD PRL w terminie **do 31 października każdego roku.**

Jury nagrody imienia Kornela Makuszyńskiego powoływane jest co roku przez Prezydium ZG SD PRL w składzie pięciu osób.

Nagroda imienia Kornela Makuszyńskiego jest trzystopniowa: I — 50.000 zł, II — 40.000, III — 30.000.

Jury może dokonać innego podziału funduszu przyznanego na nagrody. Decyzje jury nabierają mocy po ich zatwierdzeniu przez Prezydium ZG SD PRL.

Wręczenie nagród nastąpi w grudniu.

XI KONKURS IM. FRANCISZKA GILA NA REPORTAŻ

Konkurs nawiązuje do dorobku twórczego Franciszka Gila, który małopolską wieś uczynił terenem płodnych obserwacji dziennikarskich i literackich. Organizatorom zależy więc na reportażach ukazujących w sposób pełny i artystyczny wszechstronny rozwój życia na wsi, kształtowanie się i dojrzewanie postaw ludzi i zespołów będących współtwórcami socjalistycznych przemian, z uwzględnieniem trudności, konfliktów i sukcesów. Intencją organizatorów jest również uzyskanie prac, będących plonem obserwacji i analiz złożonej sytuacji społecznej wsi, miejsca w niej dla organizacji samorządowych i społeczno-zawodowych oraz postaw ludzi tworzących na wsi klimat dla społecznej aktywności swego środowiska.

Konkurs jest otwarty, o zasięgu ogólnopolskim. Nagrody w nim mogą być przyznane jednak wyłącznie za reportaże nie opublikowane wcześniej w jakiejkolwiek formie. Organizatorzy nie ograniczają rozmiaru prac. Przewiduje się przyznanie następujących nagród i wyróżnień: I nagroda — 50.000 zł, II nagroda — 35.000 zł, III nagroda — 25.000 zł oraz wyróżnienia po 15.000 zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród i wyróżnień, a także zmiany ich wysokości, z tym jednak, że ogólny fundusz przeznaczony przez organizatorów na nagrody nie ulegnie zmniejszeniu.

Organizatorami konkursu są: Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL w Rzeszowie, redakcje: „NOWINY" i „PROFILE", Rozgłośnia Polskiego Radia, Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej w Rzeszowie, Zarząd Wojewódzki ZSMP, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie oraz Rzeszowskie Towarzystwo Przyjaciół Prasy, Radia i Telewizji.

Podpisane godłem teksty należy nadsyłać w terminie do 30 października (decyduje data stempla pocztowego) pod adresem: Oddział SD PRL w Rzeszowie, Al. Komunistów 10, z dopiskiem: „Konkurs im. F. Gila". Należy przedstawić prace w 3 egzemplarzach, a do przesyłki dołączyć zaklejoną kopertę, zawierającą imię i nazwisko oraz adres autora.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w rocznicę urodzin F. Gila — 4.XII.86 r. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwodruku prac konkursowych.

W SKLEPACH GS LATEM...

Nawiązując do artykułu pt. „Bizon w niełasce" zamieszczonego w tygodniku 23 sierpnia 1986 r. uprzejmie informuję, że sklepy spółdzielczości „Samopomoc Chłopska" województwa łódzkiego w minionym sezonie letnim były należycie zaopatrzone w artykuły o pełnej podaży tak hurtowe, jak i pozahurtowe, w tym również w pozycje wykazane w artykule, tj. słoninę i smalec, szeroki asortyment napojów chłodzących pochodzących z własnych wytwórni wód gazowanych, konserwy rybne, warzywno-mięsne i warzywne itp.

Brak konserw mięsnych, podrobów i wody mineralnej mógł wystąpić, ponieważ przydziały nie gwarantowały utrzymania ciągłości sprzedaży i tak na okres sezonu letniego spółdzielczość nasza otrzymała zaledwie 11 ton konserw mięsnych reglamentowanych, a na zamówione 320 tys. butelek wody mineralnej przemysł przyjął do realizacji tylko 200 tys. sztuk. Sytuacja w podaży wszelkiego rodzaju podrobów jest znana. Ilości są minimalne, w większości przeznaczone do produkcji wyrobów podrobowych takich jak: kaszanka, salceson, czarne, pasztetowa, podgardlana itp. których w skali miesięcznej masarnie GS województwa wytwarzają ponad 20 ton, jednak ilości te nie pokrywają zapotrzebowania społeczeństwa obsługiwanego przez naszą spółdzielczość.

Natomiast brak w sklepie spożywczo-przemysłowym w Skoszewach słoniny i smalcu należy uznać jako nieuzasadniony, gdyż podaż tych artykułów w pełni zabezpiecza utrzymanie ciągłości sprzedaży. Ten negatywny fakt należy jednak do nielicznych, jakie wystąpiły w okresie trwania tegorocznego sezonu wczasowo-turystycznego i wzmożonych prac w rolnictwie.

Pragnę podkreślić, że tego rodzaju niedociągnięcia w pracy sieci handlowej były likwidowane w trybie operatywnym w drodze dostaw interwencyjnych.

Do wiadomości: CZS „Samopomoc Chłopska", Biuro Organizacji Handlu, Warszawa ul. Kopernika 30.

MGR INŻ. M. PETRYNIAK
(Wiceprezes Zarządu WZGS)

VI OTWARTY TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA

Stowarzyszenie PAX, Oddział Wojewódzki w Piotrkowie Trybunalskim ogłaszają VI Otwarty Turniej Jednego Wiersza.

Od uczestników Turnieju oczekujemy utworów poetyckich o dowolnej objętości nie publikowanych w wydawnictwach zwartych i nie nagrodzonych na innych konkursach.

Każdy wiersz powinien być opatrzony godłem. Uczestników Turnieju prosimy o nadsyłanie wierszy pod adresem: — OW. Stowarzyszenia PAX — Piotrków Tryb. 97-300, ul. Dąbrowskiego 18 w terminie do dnia 31.10.86 r. Nazwisko i adres prosimy umieścić w osobnej kopercie opatrzonej również godłem.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody: I — 5.000,— zł, II — 4.000,— zł, III — 3.000,— zł. oraz dwa równorzędne wyróżnienia po 2000,— zł.

Wysokość i podział nagród może ulec zmianie w zależności od opinii jury.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w listopadzie 1986 roku. O dokładnym terminie laureaci i uczestnicy turnieju zostaną poinformowani listownie.

Turniej poświęcony jest tematowi przeżyć i refleksji związanych ze ŚWIĘTEM ZMARŁYCH.

WSIE TYLKO NA MAPIE

W nr 38 „Odgłosów" z dnia 20 września br. ukazał się list Zdzisława Piaseckiego pt. „Kto zniszczył lagry w Gałkówku?", w którym autor pragnie wyjaśnić, lub rzucić jakąś informację o wybuchach jakie miały miejsce w okresie okupacji na terenie byłej składnicy wojskowej 28 pułku strzelców kaniowskich w Gałkówku tzw. prochowni. O wybuchach tych słyszano w okresie lat 1939—1945. Krążyły o nich legendy i niesamowite opowieści. Od października 1940 roku nie byłem w Łodzi i w związku z tym nie mógłbym dać wiążącej odpowiedzi w wiadomej sprawie, ale w liście tym zaciekawił mnie pewien szczegół, o którym autor pisze:

— „Trzeba nam jednak rzetelnej prawdy, choćby była bardzo gorzka. Na skutek działalności „Hubala" (mjr Henryk Dobrzański — przyp. aut.) hitlerowcy spalili i wymordowali m. in. wsie Gałki i Huciska. Michniów przestał istnieć za sprawą „Ponurego", a przecież i „Hubalowi" i „Ponuremu" stawiamy pomniki. Ofiary choć bardzo bolesne nie poszły na marne.

Myśl bardzo słuszna, choć wymagająca uzupełnień. Zima 1940 roku. Wydzielony Oddział Wojska Polskiego pod dowództwem mjra Henryka Dobrzańskiego zakwaterował we wsi Gałki pod Gielniowem (do niedawna był to powiat przysuski). Wieś była biedna, grunty piaszczyste, ale ludność serdeczna, z ochotą pomagająca wojsku, zaopatrując je w żywność i odzież. Tu oddział wchłaniał ochotników, szkolił ich, przysposabiając do dalszych walk z okupantem. Kilkutygodniowy pobyt oddziału „Hubala" w Gałkach wydał hitlerowski wyrok na tę wieś. W kwietniu 1940 roku pacyfikacyjne oddziały hitlerowskie spaliły nie tylko Gałki i Huciska, ale także wsie Skłoby, Szałas, Stefanów i Królewiec. W Gałkach rozstrzelano 56 mężczyzn. W Szałasie i Stefanowie wymordowano wszystkich mężczyzn od 12 roku życia.

Gałki i Stefanów zaleczyły częściowo swoje rany odbudowując prowizoryczne pomieszczenia mieszkalne. We wsiach tych znajdowały schronienie oddziały partyzanckie, które często kwaterowały we wsiach, jako że leżały one wśród lasu przysuskiego.

W roku 1944 w lasach tych bazowały oddziały 25 pp AK im. Ziemi Piotrkowsko-Opoczyńskiej z Okręgu „Barka" (Łódź — wieś Stefanów), a także 72 pp AK Ziemi Radomskiej im. gen. Dyonizego Czachowskiego (Okręg „Jodła" — kielecki — wieś Gałki). Pułki te były celem hitlerowskich akcji pacyfikacyjnych, których celem było zniszczenie obydwu pułków partyzanckich. Pułki wydostały się z okrążenia, ale Niemcy spalili ponownie wieś Gałki i leżący w głębi lasu Stefanów. Po wojnie Gałki zostały ponownie odbudowane. Nie odbudowano już Stefanowa. W głębi lasu przysuskiego znajdują się tylko resztki ruin domów oraz głaz, na którym wyryto, że była tu niegdyś wieś.

Kiedy nakładem Państwowego Przedsiębiorstwa Wydawnictw Kartograficznych Warszawa—Wrocław ukazała się mapa przeglądowa województw kaliskiego, konińskiego, miejskiego łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego figurowały na niej wsie Gałki i Stefanów. Na wydanej później takiej samej mapie nie było już Gałek, lecz figurował na niej Stefanów (choć winno być odwrotnie).

Nasuwa się logiczny wniosek, nasz postulat w stosunku do Państwowego Przedsiębiorstwa Wydawnictw Kartograficznych. Na terenie całego kraju w pożodze wojennej, hitlerowskich akcjach pacyfikacyjnych zginęło z powierzchni ziemi wiele wsi polskich. Niektóre nazwy zostały już zapomniane, inne figurują jeszcze na mapach wprowadzając de facto w błąd turystów.

Czy nie warto byłoby się zastanowić, aby Wydawnictwo to wydając mapy umieszczało nazwy tych wsi zmienionym drukiem, zaznaczając w legendzie, że wieś taka istniała, lecz zniknęła na skutek represji okupanta. W ten sposób zostałaby zachowana pamięć tych nazw, a interesujących się naszą najnowszą historią turystów zachęcałoby do zwiedzania powyższych okolic. Takim drukiem powinna być zaznaczona wieś Stefanów, zaś wieś Gałki, która podwójnie przeszła terror okupanta powinna wrócić na mapy przeglądowe, tym bardziej, że co roku w końcu września zbierają się w niej byli partyzanci z 3, 25 i 72 pp AK, aby snuć stare wojenne wspominki.

MIECZYSŁAW KOZAK

„...będą szaleć za świadomością Kriszny"

ANDRZEJ KAROLCZAK

HARE KRISZNA
HARE KRISZNA
KRISZNA KRISZNA
HARE HARE
HARE RAMA
HARE RAMA
RAMA RAMA
HARE HARE

Te, znane raczej choćby z filmu Formana „Hair", słowa to „mantra" — modlitwa, pieśń sławiąca jedynego Boga — Krisznę. Ta akurat mantra jest najważniejsza, największa. Można ją odmawiać szeptem lub głośno („mantrować" — modlić się) można ją śpiewać, zresztą na różne melodie, można tańczyć w jej rytm. W odróżnieniu od innych ta modlitwa nosi nazwę „Mahamantra" — wielka mantra. Wyznawcy Krisznaizmu — bhaktowie (w sanskrycie „bhakta" znaczy „wielbiciel" i „sługa") odmawiają lub śpiewają Mahamantrę jak najczęściej. Zresztą nie tylko w celu spełnienia religijnego obowiązku — oddania czci i zadeklarowania miłości do Kriszny. Także dla własnej korzyści: mantrowanie, a zwłaszcza intonowanie Mahamantry przynosi wiele pożytku bhakcie. Umacnia go w wierze, rozjaśnia umysł, ułatwia oczyszczanie ciała. Daje siłę i spokój duchowy. Pozwala rozumieć słowa świętych ksiąg i naukę, głoszoną przez guru. Zbliża do absolutu, do Boga...

Nauki, głoszone przez mistrzów duchowych „Ruchu świadomości Kriszny" dotarły do Polski przed kilkoma laty z zachodniej Europy, dokąd przynieśli je propagatorzy tego ruchu wprost z Indii. W naszym kraju jest już przeszło czterystu bhaktów, a liczba ta powoli ale systematycznie rośnie. Polscy bhaktowie spodziewają się w najbliższej przyszłości oficjalnej rejestracji w Urzędzie do Spraw Wyznań.

Ktokolwiek kojarzy hinduskie wierzenia religijne z erotycznymi płaskorzeźbami indyjskimi, z Kamasutrą czy krwawymi obrzędami ku czci bogini Kali — ten, przynajmniej w odniesieniu do Krisznaizmu, myli się głęboko. Dużo trafniejsze będą tu skojarzenia z absolutnym wegeterianizmem, z ascetycznymi prorokami i mnichami, spędzającymi dnie i noce na medytacjach.

DOKTRYNA RELIGIJNA I FILOZOFIA

Ruchu świadomości Kriszny nawiązuje do najstarszych wierzeń hinduizmu, jest jednak wolna od politeizmu. Z całej literatury wedyjskiej (Weda — wiedza) bhaktowie — jak zdążyłem się zorientować — najbardziej cenią sobie księgę o nazwie „Bhagawadgita". Jest to około 7000 dwuwierszy z VI księgi Mahabharaty, spisanych ok. V wieku p.n.e. (wg Encyklopedii Popularnej PWN).

Nie jest moim zamiarem wykład teologiczny czy filozoficzny, nie czuję się zresztą do tego stopnia kompetentny. Zdołałem tylko zapoznać się z podstawowymi założeniami, które dla zrozumienia mej dalszej narracji są konieczne i dlatego pozwalam sobie je — być może nieudolnie — streścić:

1) Kriszna („Wszechatrakcyjny") jest jedynym Bogiem, najwyższym prawodawcą, absolutną mądrością, absolutną doskonałością.

2) Swe boskie funkcje Kriszna realizuje przez półbogów, którzy — podobnie zresztą jak ludzie — są tylko emanacją Kriszny. Wśród wielu półbogów szczególne miejsce zajmują Brahma, Wisznu i Siwa. Ta trójka, jak również reszta półbogów ma funkcje, rzec można, „resortowe" — zajmują się określonymi zjawiskami i przejawami egzystencji ludzi, zwierząt i roślin na Ziemi, a także wszystkimi zjawiskami w całym kosmosie. Niejako wyręczają Krisznę i wykonują za niego szczegółowe interwencje w jednostkowych sprawach. Jednak realizują tylko jego wolę.

3) Dusza jest nieśmiertelna. Ciało jest jej tymczasowym „opakowaniem". Nieśmiertelność duszy realizuje się przez reinkarnację (sansara).

4) W jednym życiu popełnia się złe i dobre czyny. Suma tych uczynków (karman) decyduje o tym, w jakie kolejne ciało przyoblecze się dusza: ludzie szlachetni i pobożni zostaną nagrodzeni ciałem człowieka szczęśliwego lub nawet półboga. Grzesznicy, nie przestrzegający praw religijnych i czyniący zło ukarani zostaną wcieleniem w zwierzęta. Np. mięsożerca może zostać po śmierci tygrysem, obżartuch — świnią, erotoman — gołębiem (?)

O przyszłości, o drugim wcieleniu, decyduje prawo karmy — prawo akcji i reakcji. Jeśli zrobiłeś źle — spotka cię przykrość. W tym lub może w następnym wcieleniu. Podobnie dobre uczynki. Zostaną prędzej czy później nagrodzone. Prawo karmy można nazwać „prawem zachowania masy" zastosowanym ...w etyce!

Po niezwykle prawym i szlachetnym życiu, życiu poświęconym Krisznie można liczyć na przerwanie działania prawa reinkarnacji. Dusza czysta ma szanse przenieść się na wieczność do krainy duchowej: krainy prawdziwego szczęścia, pełnej świadomości (w krainie duchowej nawet martwe przedmioty obdarzone są świadomością), krainy, w której obcuje się z samym Krisznę. Nie trzeba chyba dodawać, że dążeniem każdego bhakty jest osiągnięcie takiego szczebla doskonałości, który pozwoli duszy na przeniesienie się do tej krainy.

Kategoria szczęścia jest dla mnie w filozofii krisznaizmu cokolwiek niejasna: z jednej strony hasłem bhaktów jest „bądź szczęśliwy i czyń szczęśliwymi innych ludzi". Z drugiej strony prawdziwego szczęścia tu, na ziemi, w życiu materialnym, być nie może. Jest ono złudne, krótkotrwałe, niepewne. Tak to zresztą sformułował jeden z mistrzów duchowych bhakta-yogi w rozmowie z Johnem Lennonem, Georgem Harrisonem i Yoko Ono: „Tu nie może być szczęścia" („Tu" oznacza w tym przypadku „na ziemi", „w tym, materialnym świecie", „w tym życiu").

Centrum życia religijnego polskich bhaktów jest

OŚRODEK ŚWIADOMOŚCI KRISZNY

w województwie płockim. Bliższego adresu nie podaję, bo nie zostałem do tego upoważniony. Tym niemniej jest to placówka otwarta dla każdego, goście są mile widziani i nietrudno tam trafić.

Ośrodek jest niewielką farmą (niewiele ponad hektar ziemi), na której gospodaruje kilkoro bhaktów — pięciu, sześciu młodych chłopców, dwie dziewczyny. Uprawiają warzywa metodami naturalnymi (bez sztucznych nawozów, opylania itp.), hodują pszczoły, prowadzą usługowy warsztat stolarski. Z dala od miast, przemysłu, całego cywilizacyjnego zgiełku prowadzą skromne, surowe życie i organizują cały swój czas zgodnie z tradycją i wskazaniami mistrzów.

Taniec bhaktów.

W czasie wakacji, a zwłaszcza w czasie świąt krisznaidzkich Ośrodek jest pełen bhaktów — do dwustu ludzi! Także na weekendy przyjeżdżają grupki wyznawców z Warszawy, Poznania, Łodzi. Właśnie w czasie jednego z wrześniowych weekendów odwiedziłem, po uzyskaniu zaproszenia, to egzotyczne — dla mnie przynajmniej — miejsce. Wraz z reżyserem Maćkiem Henem, który robił dokumentację do filmu o bhaktach, obserwowaliśmy codzienne życie Ośrodka, a także, w pewnym stopniu, uczestniczyliśmy w nim.

DZIEŃ BHAKTÓW

zaczyna się ...w nocy. Wstają bowiem o pierwszej, drugiej w nocy. Najpóźniej — przed czwartą, bowiem kwadrans po czwartej, już po kąpieli(!) z reguły w zimnej wodzie, zbierają się w świątyni. Zanim zacznie się poranny program świątynny przechadzają się po sali wielkości klasy szkolnej i mantrują, trzymając dłoń w zawieszonym na szyi woreczku. Zawiera on paciorki nanizane na sznurek. Przesuwanie paciorków pozwala liczyć odmówione mantry.

Charakterystyczne „buczenie" muszli, w którą dmie celebrujący, oznajmia początek porannego nabożeństwa — mangala arati. Celebrant odsłania kotary zasłaniające ołtarz i tzw. wisaszany — miejsca, gdzie spoczywają portrety mistrzów duchownych. Bhaktowie padają na twarz i odmawiają krótką mantrę. Potem stojąc, śpiewają mantry chóralnie. Przewodzi im kantor, który intonuje mantry i wybija rytm na sporym, stożkowatym bębnie.

Wtórują mu bhaktowie na miniaturowych czynelach. Rytm staje się coraz bardziej kołyszący, wzrasta nieco tempo (a może to złudzenie, podobne do jazzowego swingu?) bhaktowie kołyszą się rytmicznie, kołysanie przechodzi w ekstatyczny taniec. Tańczą wszyscy, jedni mniej, drudzy bardziej ekstatycznie. Tańczą mężczyźni, zgrupowani przed ołtarzem, tańczą stojące nieco dalej dziewczęta.

Mimowolnie zaczynam przestępować rytmicznie z nogi na nogę... Kątem oka widzę, że Maciek roztańczył się już na dobre!

W tym czasie celebrant kolistymi, płynnymi ruchami okadza posążki bóstw. Potem jeszcze „rozprowadza" dym czymś w rodzaju miotełki. Manipuluje coś przy zapalonych świecach i innych przedmiotach liturgicznych. Nie bierze udziału w śpiewie i tańcu. Wreszcie kończy swoje czynności, znów „buczy" na muszli i po chwili śpiewa i tańczy ze wszystkimi. Ubrany jest w suknię do kostek, przemyślnie związaną tuż pod kolanami. Na ramionach ma wzorzystą chustę z cienkiej tkaniny. Pozostali bhaktowie ubrani najzwyczajniej, w prosie, robocze stroje. Tylko niektórzy mają workowate, płócienne spodnie i wypuszczone na nie koszule bez kołnierzyków. Dziewczęta nie umalowane, w roboczych spodniach lub sukienkach, włosy mają związane prostymi, jednobarwnymi chustkami.

Krótka przerwa. Celebrant zasłania posążki bóstw. Następuje kolejne arati, tym razem do Mistrzów Duchowych. Na ich portrety pada teraz światło, do nich zwracają się bhaktowie, kantor intonuje pieśń, której każda strofa zaczyna się od słów „Śri guru...".

Ceremoniał jest taki sam. Kadzidła, „miotełka", śpiew, ekstatyczny taniec, „buczenie" muszli.

Po arati bhaktowie zasiadają na podłodze, jeden z nich, najwyraźniej bardziej zaawansowany w wiedzy wedyjskiej, odczytuje fragment świętej księgi i wygłasza wykład. Potem odpowiada na pytania, niekoniecznie związane z tematem wykładu. Atmosfera daleka jest od celebracji i sztampy — to luźna rozmowa, wymiana zdań, czasem rozbrzmiewa śmiech...

Wykład kończy się o siódmej piętnaście. Teraz bhaktowie udają się na poranny posiłek — prasadan. „Prasadan" oznacza „to co jest ofiarowane Krisznie". Nie musi to być akurat jedzenie, kwiaty też mogą być „prasadan". Na drzwiach kuchni krótka instrukcja, dotycząca warunków higienicznych, niezbędnych dla przygotowania prasadan. Gotujący musi być czysty, może dotykać tylko produktów spożywczych i naczyń, w których są przyrządzane. Przypadkowe dotknięcie czegokolwiek, choćby własnego ciała czy odzieży, powoduje konieczność mycia rąk. Prasadan to ofiara. Toteż bhaktowie nakładają z garnków na talerze w ten sposób, żeby jedno naczynie nie dotknęło drugiego, żeby łyżka, którą nakłada się potrawy nie dotknęła łyżki lub talerza, z którego się je.

Posiłek — oczywiście jarski — jest obfity, bez wątpienia pożywny i bardzo smaczny! To wynik stosowania wielu przypraw, nadających oryginalny smak prostym potrawom. Wbrew pozorom kuchnia wegetariańska jest bardzo urozmaicona. Po posiłku wertujemy z Maćkiem broszurę pt. „Kuchnia wedyjska" ...i opuszczamy farmę. Obaj jesteśmy palaczami, a w obrębie farmy obowiązuje ścisły zakaz palenia. Nie tylko palenia zresztą. Bhakta nie może spożywać alkoholu, używać narkotyków ani żadnych używek. Na kawę też idziemy do miejscowej gospody. W ośrodku kawa i herbata są wyklęte! Ten ścisły zakaz zatruwania organizmu obejmuje także mięso. Z dwóch co najmniej powodów — po pierwsze, spożywanie mięsa wiąże się nieuchronnie z zabijaniem, po drugie — przekonują nas bhaktowie — uzębienie i przewód pokarmowy człowieka wskazują na to, że jest on urodzonym roślinożercą, mięso mu szkodzi! I zatruwa ciało, a więc utrudnia osiągnięcie wyższej świadomości, przeszkadza w osiągnięciu wyższego stopnia doskonałości duchowej.

Po zjedzeniu śniadania — prasadan bhaktowie rozchodzą się do pracy. Pracują chętnie, pracują bowiem dla Kriszny. Nie do nich należy efekt pracy, nie traktują jej zatem jako środka dla zdobycia czegokolwiek — poza łaską Boga...

WIEK KALI

Obok wymienionych wyżej trucizn — używek i mięsa — religia zabrania im kierowania się jakimikolwiek materialnymi dążeniami. Dotyczy to nie tylko różnych dóbr materialnych, ale także chęci zdobycia sławy, zaspokojenia pragnień seksualnych, wywyższania się, podporządkowania sobie innych ludzi. Krisznaizm surowo zabrania hazardu i seksu pozamałżeńskiego. Najlepiej w ogóle wyzbyć się dążeń i pragnień seksualnych. Jeśli jednak są one silne, należy zawrzeć małżeństwo. Zresztą w małżeństwie seks jest też ściśle „reglamentowany" — ma służyć prokreacji, a nie zaspokajaniu zmysłów.

Andrzej Konopka — organizacyjny szef ośrodka i nominalny właściciel warsztatu stolarskiego (w ośrodku istnieje coś w rodzaju wspólnoty majątkowej, ale ktoś musi być formalnym właścicielem) zdaje sobie sprawę, że tak surowy tryb życia może odstraszać. *Zwłaszcza kategoryczne tabu seksualne, jeśli jeszcze weźmie się pod uwagę, że bhaktowie nasi to ludzie młodzi, studenci, wielu licealistów. Czystość cielesna i duchowa, mantrowanie i całe to nasze skromne życie daje nam w zamian tyle rozkoszy duchowych, że karmita nie może sobie tego wyobrazić* (karmita — niewtajemniczony, żyjący nieczysto, biernie poddający się prawu karmy) — mówi Andrzej — *są wśród nas byli narkomani i byli alkoholicy, są byli namiętni palacze. Już kilka dni przestrzegania naszego rytuału i regularnego mantrowania powoduje, że „apetyt" na owoce zakazane maleje, a później zanika całkowicie. Nikt z nas nie chce wrócić do dawnego życia, nie tęskni za nim. Nie pisz co studiowałem, gdzie pracowałem. To nie ma znaczenia... Kogo zrzeszamy? Różnych, na ogół bardzo młodych ludzi. Choć są wyjątki, jak choćby mama jednego z bhaktów, która przyjechała tu na inicjację syna. Bhaktowie nasi to w większości byli katolicy lub ateiści. Tu znaleźli prawdę i spokój duchowy, tu uciekli od strasznego świata materii. Literatura wedyjska rozróżnia cztery powody, dla których człowiek skłania się ku religii: chęć wiedzy, ciekawość, nieszczęście i cierpienie oraz korzyść materialną. To ostatnie nie wchodzi u nas w rachubę* — śmieje się — *ale wszystkie trzy pozostałe powody — owszem. Główny jednak powód — to ucieczka od złego świata.*

Na dotychczasową historię ludzkości składają się cztery epoki: pierwsza, swego rodzaju „wiek złoty" była najbliższa ideału. W każdej następnej gatunek ludzki i nie tylko on — degenerował się. Najgorsza jest epoka współczesna — epoka Kali. Człowiek jest zdegenerowany, poniżony, opanowany przez materialistyczne ideały. Epoka ta trwa już pięć tysięcy lat, a potrwa jeszcze przeszło trzysta tysięcy!

Południe. Bhaktowie schodzą się na południowy prasadan około drugiej, pół do trzeciej. Potem czas wolny. O szóstej po południu wieczorne, półgodzinne już tylko arati. I... spać! Bhaktowie kładą się spać między siódmą a ósmą. O ósmej obowiązuje już cisza nocna. Idziemy do wskazanego przez gospodarzy pokoju. Jest w nim jedyne „gościnne" łóżko polowe. Gramy z Maciejem Henem w orła i reszkę. Przegrywam. Śpię zatem jak bhakta — na twardym materacu, rozłożonym na jeszcze twardszej macie. Bhaktowie zasypiają szybko — jutro wstają przed czwartą, niektórzy jeszcze wcześniej, o pierwszej, drugiej w nocy. My wiercimy się na posłaniach — ostatni raz zasypiałem o ósmej chyba w dzieciństwie...

Tylko z warsztatu stolarskiego dochodzi jeszcze wizg elektrycznej piły.

UCIECZKA OD CYWILIZACJI?

Zapewne. Choć nie tylko. A na pewno nie jest to ucieczka od społeczeństwa: pracowite, pełne wyrzeczeń życie, surowość obyczajów i wysokie wymagania moralne bhakta yogi zjednują ośrodkowi okoliczną ludność. Jest on pozytywnym elementem w krajobrazie tej wsi, są akceptowani i traktowani z sympatią, w najgorszym razie — obojętnie.

Przed odjazdem pijemy herbatę w miejscowej gospodzie. Popołudnie. Niewielka salka pełna pijanych, młodych mężczyzn. Spoglądamy po sobie. Nie mówimy nic, ale myślimy o tym samym: o ileż godniejsze życie płynie tam, kilkaset metrów stąd, wśród równie młodych ludzi...

Jakże konstruktywna jest ta ucieczka — nie w narkotyki, dewiacje, alkohol.

Latem przyszłego roku powstanie — już organizujący się — drugi, znacznie większy ośrodek świadomości Kriszny w Sudetach. Szczerze życzę bhaktom powodzenia w ich pracy. Hari boj!

Ostatnie słowa są — jak zdążyłem się zorientować — rodzajem pozdrowienia. Bhakta, zapytany o ich znaczenie, odpowiedział: — to imię Kriszny...

STANISŁAW KAWCZYŃSKI

Czy Matka Boska objawia się w Hercegowinie?

Rzecz dzieje się w małej wiosce Medjugorje, koło Mostaru, w Hercegowinie. 24 czerwca 1981 roku sześcioro dzieci w wieku od 10 do 17 lat ujrzało na okolicznym wzgórzu niezwykłej piękności dziewczynę. Tajemnicza postać przedstawiła się jako „Błogosławiona Maryja Dziewica". Od tego momentu Matka Boska spotykała się z dziećmi prawie codziennie przez pięć lat. Najpierw rozmawiała z nimi poza wioską, później w ich domach prywatnych, a następnie w salce obok zakrystii miejscowego kościoła.

Sensacyjna wieść o cudownym objawieniu szybko rozeszła się po Jugosławii i poruszyła również wiernych w sąsiednich krajach. Kolejnym widzeniom towarzyszyły coraz większe tłumy ludzi. Jednakże pielgrzymi i turyści, choć gorliwie modlili się wraz z dziećmi, choć wytężali wzrok i słuch, niczego nie mogli zobaczyć ani usłyszeć. Objawienia były dostępne wyłącznie wybranej grupce dzieci. Pozostali zaś obserwowali tylko czasami zadziwiające fenomeny natury. Na przykład 2 sierpnia 1981 r. ponad 150 osób oglądało zmiany w normalnym biegu słońca, a w chwilę potem pojawiło się na niebie duże serce otoczone sześcioma małymi.

Maryja ukazywała się w krótkich okresach trwających od kilku minut do pół godziny. Na co dzień ubrana była skromnie, a w dni świąteczne bardziej wytwornie. Przeważnie zjawiała się sama, lecz kilkakrotnie była w towarzystwie Jezusa Chrystusa. Dzieci widziały ją w trzech wymiarach i tak wyraźnie, że mogły nawet jej dotknąć. Matka Boska jest szczupła, ma czarne włosy, niebieskie oczy i skórę koloru różanego.

O czym rozmawiała Matka Boska z dziećmi Medjugorje? Przede wszystkim zdradziła im dziesięć sekretów na temat przyszłości Kościoła i świata. Ale równocześnie nakazała zachować wszystko w tajemnicy, aż do momentu wydania innego polecenia. Poza tym Maryja podkreślała, że świat współczesny potrzebuje więcej wiary, modlitwy, pokuty i ascezy. *„Post i modlitwa — jej zdaniem — mogą powstrzymać nawet wojnę"*. Któregoś dnia powiedziała dzieciom: *„Winniśmy szanować każdego człowieka w jego wierze. Nigdy nie wolno prześladować człowieka z racji jego przekonań. Wierzący oddzielili się jedni od drugich. Ale Bóg prowadzi wszystkie wyznania, jak król swych poddanych, za pomocą swoich ministrów. Jezus Chrystus jest jedynym Pośrednikiem Zbawienia. Potęga Ducha Świętego nie ujawnia się jednakże w takim samym stopniu we wszystkich Kościołach"*.

W Medjugorje i okolicy odnotowano wyraźny wzrost religijności. Wielu ludzi nawróciło się, a niektórzy doznali uzdrowienia. Mała wioska koło Mostaru stała się sławna w katolickiej części Europy. Biura podróży w Austrii i we Włoszech zaczęły organizować specjalne wycieczki. Dzięki temu do republiki związkowej Bośni i Hercegowiny napłynęły dodatkowe dewizy.

W połowie 1984 r. opublikowano w Paryżu książkę René Laurentina i Ljudevita Rupčića pt. „Czy Najświętsza Panna objawia się w Medjugorje?" Pierwszy z autorów jest zakonnikiem francuskim, znanym teologiem i specjalistą w zakresie objawień, drugi zaś teologiem chorwackim i profesorem egzegezy. W książce, wydanej również we Włoszech, zebrano argumenty przemawiające za i przeciw autentyczności objawienia. Po stronie zastrzeżeń znalazły się m.in. i takie, że Matka Boska ukazywała się zbyt często i zdecydowanie za długo. Przez ponad tysiąc dni, do zakończenia pracy nad książką, było zaledwie pięć bez widzeń. Wątpliwości wzbudziły też różnice w relacjach dzieci i przekazach słów Maryi. Niemniej jednak obaj uczeni konfesyjni opowiedzieli się za autentycznością objawień w Medjugorje. Na poparcie owej konstatacji przytoczyli liczne wypowiedzi biologów, psychologów, lekarzy i teologów oraz przedstawicieli innych wyznań.

René Laurentin i Ljudevit Rupčić ogłosili swój werdykt wbrew przestrogom ordynariusza Mostaru, biskupa Pavla Žanicia. W rozmowach z księżmi i dziennikarzami biskup apelował żeby powstrzymali się przed własnymi sądami na temat wydarzeń w Medjugorje do czasu, aż wypowie się specjalna komisja kościelna.

Komisja Biskupia długo badała sprawę i ostateczną decyzję podjęła dopiero 2 maja bieżącego roku. Na 15 członków Komisji 11 uznało, że badane zjawiska nie mają charakteru nadprzyrodzonego. Natomiast tylko 4 osoby wypowiedziały się pozytywnie. W głosowaniu uczestniczyli także ojcowie franciszkanie, którzy najbardziej zdecydowanie obstawali przy faktycznym objawieniu. Niektórzy z nich dali się jednak przekonać, że nie było cudów w Medjugorje.

O wyniku głosowania powiadomiono natychmiast prefekta Kongregacji Nauki Wiary kardynała Josepha Ratzingera. Ten zaś stwierdził, że Stolica Apostolska nie zajmuje się owym przypadkiem, ponieważ leży on w kompetencji ordynariusza Mostaru. Ale ze względu na światowe zainteresowanie rzekomymi objawieniami Matki Boskiej udzielono Komisji Biskupiej odpowiedniej pomocy. Kardynał oświadczył dalej, że wobec negatywnego rozstrzygnięcia Komisji, nie może zezwolić na odbywanie oficjalnych pielgrzymek do Medjugorje.

Jak widać nie tylko w Polsce występuje problem cudów. Każdy „cud" jest w gruncie rzeczy dla Kościoła sprawą kłopotliwą. Trzeba bowiem zająć oficjalne stanowisko. A na jakiej podstawie można wyrokować o istnieniu bądź nieistnieniu zjawisk nadprzyrodzonych?

Według popularnej definicji katechizmowej cudem jest *„nadzwyczajne i zewnętrzne (tzn. mogące być doświadczalnie, zmysłowo poznane) wydarzenie, które wykracza poza możliwości sił przyrody i dlatego można je wytłumaczyć tylko przez bezpośrednią działalność Boga. Cud uważa się za zewnętrzny sprawdzian i cechę wiarygodności objawienia"* (ks. M. Kowalewski). Wiadomo jednak, że ludzie często widzą i słyszą to, co bardzo chcą widzieć i słyszeć. Wiadomo również, że nie tylko osoby wierzące ulegają zbiorowej sugestii. Jeśli większość grupy — jak wynika ze słynnego eksperymentu psychologicznego S.E. Ascha — wypowiada się niezgodnie z rzeczywistością, to pozostali mają skłonność do poważnego zniekształcania własnych spostrzeżeń lub procesów myślowych. *„W warunkach naturalnych* — pisze Stanisław Mika — *wpływ innych osób może nawet prowadzić do wystąpienia zjawisk mających charakter zbiorowych halucynacji, kiedy znaczna liczba osób spostrzega zjawiska nie istniejące w rzeczywistości (np. cuda)"*.

Na temat cudownych wizji ukazała się niedawno książka Ericha von Daenikena pt. „Objawienia". Wydana przez KAW w stutysięcznym nakładzie, szybko zniknęła z półek księgarskich. Autor deklaruje w niej, że został wychowany w duchu katolickim i wierzy w Boga, ale jednocześnie odrzuca dogmaty o Trójcy Świętej, o Niepokalanym Poczęciu i o boskości Jezusa Chrystusa. Opisując różne przypadki „objawień" dochodzi do wniosku, że były to przejawy oddziaływania sił pozaziemskich. Wszyscy wizjonerzy mieli po prostu stanowić „medium" dla impulsów pochodzenia kosmicznego. Katoliccy entuzjaści Daenikena, po zapoznaniu się z jego argumentacją, łatwiej jednak mogą stracić wiarę niż ją ugruntować, ponieważ ów badacz-amator podważa autentyczność Nowego Testamentu i oryginalność nauki Jezusa Chrystusa.

Fenomen cudów zainteresował ostatnio również dziennikarzy „Odgłosów". W tym samym 31 numerze tygodnika przeczytałem artykuły Jolanty Wrońskiej i Jerzego Kwiecińskiego. Rozumiem ich zaniepokojenie i zasadniczo zgadzam się z przedstawionymi tezami. Myślę tylko, że nie ukazali w pełni złożoności problemu. Rozmaite „cuda" zdarzały się zawsze i wszędzie i najprawdopodobniej będą się zdarzać. Dlaczego? Na to pytanie odpowiedział już w XVII wieku Baruch Spinoza. *„Gdyby ludzie* — czytamy — *mogli zarządzać wszystkimi swoimi sprawami z wyrachowaniem niechybnym, albo też gdyby szczęście zawsze im sprzyjało, to byliby całkiem wolni od zabobonu. Ponieważ jednak często wpadają w zakłopotanie, nie umiejąc sobie nijak poradzić i przeważnie przy swym nieumiarkowanym pożądaniu niepewnych dóbr losu chwieją się nędznie pomiędzy nadzieją i obawą, więc są najczęściej pochopni do uwierzenia w cokolwiek"*.

Nie znam społeczeństwa i religii, w której nie występowałyby „cuda". Z tym tylko, że w odległych wiekach było tych „cudów" znacznie więcej, a dziś zdarzają się coraz rzadziej i coraz mniej ludzi skłonnych jest w nie wierzyć. Już zresztą w XII stuleciu dziejopis normandzki, Orderyk Vitalis, ubolewał: *„Jakże dzisiaj wszystko stało się inne — miłość ostygła, zło zwycięża. Cuda, będące dawniej rękojmią świętości, ustały, a udziałem historyków stało się tylko opisywanie wszelakich przestępstw... Zbliża się czas Antychrysta"*.

Nie ulega wszak wątpliwości, że na tle innych krajów europejskich współczesna Polska przoduje zdecydowanie pod względem liczby „cudów" i wiary w cuda. Z badań socjologicznych wynika, że wierzy w to, iż zdarzają się cuda, czyli zjawiska nadprzyrodzone, aż dwie trzecie uczniów klas maturalnych oraz przeszło połowa studentów kierunków humanistycznych. Chodzi więc o ludzi wysoko wykształconych, a nie prostych analfabetów. I na tym polega prawdziwy fenomen polskiego katolicyzmu.

Trzeba przyznać, że władze kościelne nie popierają tej predylekcji do cudów. Nie słyszałem, żeby Kościół nasz w ostatnich latach uznał oficjalnie autentyczność jakiegoś cudu. Są tam przecież światli ludzie. A mimo to z różnych regionów kraju napływają doniesienia o cudownych objawieniach. Najczęściej, co bardzo symptomatyczne, dostrzega się coś na drzewach. Czyżby w ten sposób pogaństwo brało odwet na zwycięskim chrześcijaństwie?

Rację mają Jolanta Wrońska i Jerzy Kwieciński, że naiwna wiara w cuda sprzeczna jest w istocie z podstawami chrystianizmu. Słusznie też twierdzą, że Kościół zbyt opieszale i niezbyt stanowczo reaguje. Przez to stajemy się pośmiewiskiem w Europie.

Wiara w cuda dowodzi niskiego poziomu intelektualnego religijności. Wskazuje na ubogą filozoficznie koncepcję Boga. W znakomitym dziele Antoine'a Saint-Exupéry'ego „Twierdza" znajdujemy interesujący fragment, który polecam pod rozwagę szerokim rzeszom Polaków-katolików:

— *„Panie — powiedziałem (a nie opodal siedział na gałęzi czarny kruk) — rozumiem, że milczenie jest cechą Twojego majestatu. Ale ja potrzebuję jakiegoś znaku. Rozkaż, aby w chwili, gdy skończę się modlić, ten kruk odleciał. Będzie to jak zwrócone ku mnie spojrzenie czyichś oczu i poczuję, że nie jestem sam na świecie. Połączy mnie z Tobą choćby mgliста ufność. Nie żądam nic więcej, tylko znaku, że jest tu coś, co trzeba zrozumieć.*

I przyglądałem się krukowi. Ale ptak siedział bez ruchu. Wtedy pochyliłem się ku skalnej ścianie.

— *Panie — powiedziałem — niewątpliwie masz rację. Stosować się do moich próśb byłoby sprzeczne z Twoim majestatem. Gdyby kruk odleciał, mój smutek byłby jeszcze większy. Gdyż taki znak mogę otrzymać tylko od kogoś równego sobie, a zatem tak jakby od siebie samego, byłoby to więc znowu odbicie mojego pragnienia, i znowu spotkałbym tylko własną samotność"*.

Na zakończenie pragnę przedstawić swój pogląd w jeszcze jednej ważnej sprawie. Jak winny zachować się władze państwowe w obliczu następnych „cudów", które z pewnością będą tu i ówdzie się zdarzać? Największy bodaj politolog wszechczasów Niccoló Machiavelli cynicznie radził, żeby popierać — dla dobra państwa — nawet zupełnie absurdalne rzeczy w wierzeniach religijnych. Pisał on: *„W istocie mędrcy zawsze trzymali się tej zasady; powstała stąd wiara w cuda, istniejąca we wszystkich religiach, nawet najbardziej fałszywych. Ponieważ ludzie mądrzy uznawali cuda za prawdziwe bez względu na to, w jakich okolicznościach się zdarzały, za sprawą ich autorytetu uwierzyli w cuda wszyscy inni"*. Być może jest to dobra rada socjotechniczna, lecz w naszych warunkach ustrojowych nie do przyjęcia z oczywistych względów.

Co zatem robić? Otóż najlepiej, jak sądzę, cierpliwie tolerować wszelkie „objawienia". A poza tym konsekwentnie upowszechniać wiedzę o historii i istocie najważniejszych religii świata. W tej dziedzinie potrzeba jak najwięcej uczciwego pluralizmu i całkowitej swobody wyboru światopoglądu. Taką funkcję, moim zdaniem, powinno spełniać w szkołach religioznawstwo.

Nie należy jednak żywić złudzeń, że kiedykolwiek uda się całkowicie wyeliminować przesądy i zabobony z życia społecznego. Zgadzam się w tej kwestii z Davidem Hume'em, który dwa i pół wieku temu pisał następująco: *„Cuda, znaki, wróżby i wyroki przesłaniają nam skutecznie naturalność splecionych z nimi zdarzeń. Gdy jednak te pierwsze rzedną stopniowo, w miarę jak zbliżamy się do oświeconych wieków, zaczynamy pojmować, że nie ma w tej sprawie nic tajemniczego ani nadprzyrodzonego, ale ze wszystko to bierze się ze zwykłego ludzkiego upodobania do rzeczy cudownych; i że chociaż ta skłonność może być od czasu do czasu powściągana przez rozsądek i naukę, to przecież nigdy nie zostanie doszczętnie wytrzebiona z natury ludzkiej"*. No, właśnie — taka jest natura czy psychologia człowieka. I na to chyba nie ma rady.

Kryzys katolicyzmu we Francji

Jest 28 czerwca 1986 r. W zimnym, monumentalnym wnętrzu kościoła Saint-Sulpice w Paryżu dwóch młodych mężczyzn odzianych w białe alby leży na marmurowych płatach posadzki, z głową ukrytą w ramionach. Kardynał Lustiger w mitrze na głowie wyświęca ich na księży. Będzie ich tylko dwóch na całą diecezję paryską. Jak mało! Tego samego dnia w Lyonie, gdzie jeszcze przed kilku laty biskup wyświęcał w ciągu jednego popołudnia 850 nowych kapłanów, bp Decourtray wyświęca tylko jednego, zaś biskup Nicei udziela święceń kapłańskich dwom młodym duchownym. W innych miastach nie jest wcale lepiej. Gdybyśmy objechali całą Francję, nie wiem, czy znaleźlibyśmy stu nowych kapłanów, podczas gdy w 1985 r. było ich 116, zaś w roku 1951 — 1050. (...).

Ale co za zmiany w ciągu 20 lat. Podczas, gdy w 1965 r. było u nas 40 tys. księży, obecnie jest ich już tylko 28 tys., a co trzeci kapłan ma powyżej 65 lat. Tak wygląda rzeczywistość. Prognozy ekspertów na rok 2000 są wręcz dramatyczne. Najbardziej optymistyczni eksperci oceniają liczbę księży w tym okresie na 16 tys., zaś najwięksi pesymiści — na 10 tys. i jest prawdopodobne, że oni właśnie będą mieli rację, jeśli wziąć pod uwagę starzenie się kleru i niewielką liczbę dorocznych święceń. Oznacza to, że 3/4 naszych dawnych parafii pozostanie wkrótce bez księży i Francja będzie przypominała pustynię religijną, kraj misyjny, chyba że ściągniemy na pomoc duchownych afrykańskich, których jest coraz więcej, zwłaszcza w Zairze lub księży polskich, gdyż po drugiej stronie żelaznej kurtyny nie brak powołań.(...)

Agnostycyzm szerzy się, ponieważ Kościół nie może dać odpowiedzi nauce, co pociąga za sobą ogólny sceptycyzm. Trzeba sobie uświadomić, że Francja szybko się dechrystianizuje, przynajmniej w sensie teologicznym. Może to jest złe, ale może i dobre w pewnym sensie, gdyż wiara fasadowa, często przesądna, ustępuje miejsca wierze opartej na pewności. (...).

Na razie pali się czerwone światło. Oto kilka liczb: w latach 1946—64 36 proc. katolików francuskich praktykowało regularnie. Dzisiaj praktykujących katolików jest 8—10 proc. W 1958 r. ponad 91 proc. dzieci było ochrzczonych. Teraz chrzci się nieco więcej niż 67 proc. dzieci i to często, aby zrobić przyjemność dziadkom! Co gorsza, wskaźnik dzieci w wieku od 8 do 12 lat uczęszczających na katechizację nie przekracza 50 proc. w całej Francji. W Cannes np. na 14.600 uczniów wyższych klas licealnych i gimnazjalnych uczęszcza na katechizację tylko 300. Jest to bardzo niepokojące zjawisko, gdyż w ten sposób eliminuje się zasadniczą część naszej kultury. Jak temu zaradzić? Jedyny prefekt wszystkich liceów i gimnazjów w Cannes, młody 28-letni ksiądz, magister filozofii, nie załamuje rąk i nawet nie jest specjalnie zaniepokojony. Mówiąc o księżach ze swego pokolenia, powiedział mi: „My nie pamiętamy przełomu w 1968 r. Wzrastaliśmy w Kościele diaspory, który nie zajmował już pierwszego miejsca. Dzięki temu, w przeciwieństwie do poprzednich pokoleń, możemy patrzeć na sprawy pogodnie, bez paniki. Trzeba wiedzieć, że zmierzamy ku nowym formom Kościoła, którego pewne elementy, jak parafia, chrzty i śluby, załamują się. Tak, wszystko się załamuje, m.in. z powodu obojętności. Trzeba przede wszystkim przywrócić wiarygodność chrześcijan. Zanim wymówimy imię Jezusa Chrystusa, nauczmy się kochać tych, których spotykamy". Ale na pytanie, jak widzi przyszłość chrystianizmu, ksiądz pokazuje mi fragment homilii wygłoszonej przez biskupa Nicei, podczas ostatnich święceń kapłańskich. Zwracając się do dwóch nowych księży, biskup powiedział: „Nie mogę wam ukazać, jak dawniej, wizerunku przyszłości. Mogę wam tylko zaproponować dalekie przygody. Ale nie wahajcie się: miejsce jest i droga jest dobra".

Dla Jean-Louis Balsa, mojego znajomego prefekta z Cannes, droga jest rzeczywiście dobra. Mieszka sam, jak przystało na księdza, ale nie robi z tego problemu. Reprezentuje typ nowoczesnego kapłana, zadziwiając niekiedy tych, którzy spotykają go w Antibes w kąpielówkach, hasającego na nartach wodnych razem ze swymi uczniami. Postęp zobowiązuje — ksiądz Balsa poznał tajniki informatyki. Prowadzi katechizację za pośrednictwem Minitel, dociera do swych owieczek wszędzie, gdzie się znajdują. Jest to ksiądz w stylu całkowicie „new look". Kręci filmy video, gdy ma chwilę czasu pomaga kolegom w parafiach Cannes. W październiku zabierze 200 licealistów do Lyonu, aby zobaczyli papieża, którego nazywa „wspaniałą gwiazdą". Utrzymuje się jak może ze skromnego wynagrodzenia „szczodrze" wypłacanego przez biskupa. Zresztą, księża paryscy nie są wcale lepiej sytuowani. Otrzymują 4.200 franków miesięcznie i z tego muszą często opłacać komorne, wyżywienie i świadczenia socjalne, a opłaty za msze wpływają coraz rzadziej. Zresztą są to opłaty niskie — w Paryżu płaci się 50 franków.

Dlaczego wynagrodzenie jest tak małe? Po prostu dlatego, że Kościół francuski, z winy wiernych, jest na progu bankructwa. Przed trzema laty Kościół zmobilizował wszystkie środki przekazu, aby przypomnieć chrześcijanom, że mają obowiązek wspierać finansowo swych duszpasterzy. Apel ten poskutkował, ale ostatnio entuzjazm znów opadł. Nic więc dziwnego, że żyją niehigienicznie i niekiedy popadają w depresję lub pocieszają się alkoholem. Taka jest prawda i biskupi dobrze o tym wiedzą, chociażby z raportu opracowanego dla nich przez księdza psychoanalityka Tony Anatrelle, dobrze poinformowanego o sytuacji moralnej kleru francuskiego.

Fundusze zmniejszają się również dlatego, że jest coraz mniej ceremonii religijnych. Weźmy chociażby śluby — już śluby cywilne wychodzą z mody, a co dopiero mówić o ślubach kościelnych? Oto jedna z liczb: na 300.000 ślubów cywilnych w 1983 r. tylko 183.752 pary wzięły następnie ślub w kościele. Tak, ludzie coraz rzadziej zawierają ślub i to we wszystkich środowiskach. Młodzi ludzie wolą żyć „na kocią łapę". We Francji 800.000 par żyje w wolnym związku. W Paryżu co piąta para nie jest małżeństwem, a co czwarte małżeństwo kończy się rozwodem. Wolny związek zastępuje skarament. Coraz trudniej więc traktować dwa miliony konkubinów jako ludzi z marginesu. Co robi Kościół w obliczu tego faktu? Najwyżej może powtarzać nudne wypowiedzi na temat rodziny i seksu, których nikt już nie ma siły słuchać. Kościół musiałby znaleźć inny język, ale jaki? Przyznaję, że to niełatwe.

Obyczaje się zmieniają. Jest więc rzeczą normalną, że zmieniają się także księża. Jest rzecza normalną, że na trzech księży, dwóch uważa za coś zupełnie naturalnego wykonywanie jakiegoś zawodu, jak np. księża robotnicy (jest ich obecnie tysiąc), którzy pracują we wszystkich dziedzinach — w przemyśle metalurgicznym, w transporcie, w marynarce handlowej, w hotelarstwie, w szpitalach itp. Co się zaś tyczy owych księży, którzy biegają od parafii do parafii — niektórzy obsługują aż 25 parafii — przemierzając po 4 tys. km w ciągu miesiąca — to już są ostatni Mohikanie. Kto przyjdzie na ich miejsce?

„Paris Match" z 8.VIII.1986 r.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ernestyna

Nowela szwedzka (1)

D. A. F. DE SADE

Nazwisko markiza Donatiena Alphonse'a François de Sade'a bulwersowało opinię publiczną, odkąd wydana została jego pierwsza książka. Prześcigano się w wymyślaniu wyzwisk i anatem. Określenia „potwór moralny", „zbrodniarz", „szaleniec" przylgnęły doń na długie lata. Tę złą sławę przenoszą od stuleci po dziś dzień słowa „sadyzm", „sadysta" utworzone od jego nazwiska. Drukowane poniżej po polsku po raz pierwszy, opowiadanie pochodzi z tomu „Zbrodnie miłości" (z tomu tego polski czytelnik zna dwie nowele „Eugenia de Franval" oraz „Florville i Curval" wznowione ostatnio przez Wydawnictwo Łódzkie).

(B.B.)

Niewiele krajów w Europie, obok Italii, Anglii i Rosji, wydawało mi się równie ciekawych jak Szwecja. Ale jeśli moją wyobraźnię rozpalało pragnienie ujrzenia słynnych krain, z których wiedli niegdyś swój ród Alaryk, Attylla, Teodoryk, wszyscy ci bohaterowie, którzy, w otoczeniu nieprzeliczonego tłumu żołnierzy potrafili przyprawić o drżenie Rzymian u samych wrót ich stolicy i docenić orła cesarskiego, którego skrzydłami usiłowali ogarnąć świat, tak też, z drugiej strony, duszę mą paliło pragnienie ujrzenia kraju Gustawa Wazy, Krystyny i Karola XII..., trojga wielkich niewątpliwie w całkiem odmienny sposób, skoro pierwszy wsławił się rzadką i wyszukaną filozofią władzy, tą godną szacunku roztropnością, która stratowała systemy religijne, gdy sprzeciwiły się autorytetowi władzy, któremu winny się podporządkować, oraz szczęściu narodu, jedynemu celowi prawodawstwa; druga sławna tą wielkością duszy, która przedkładała samotność i literaturę nad próżny blask tronu... trzeci zaś, heroicznymi cnotami, które zjednały mu na zawsze przydomek Aleksandra. Jeśli te trzy różne postacie były dla mnie zachętą jak mógłbym nie pragnąć z większym jeszcze zapałem podziwiać ów mądry, cnotliwy, trzeźwy i wspaniałomyślny naród, który można by nazwać wzorem Północy.

Z taką właśnie intencją wyjechałem z Paryża 20 lipca 1774 roku i po przebyciu Holandii, Westfalii i Danii, przybyłem do Szwecji w połowie następnego roku.

Po upływie trzymiesięcznego pobytu w Sztokholmie, pierwszym obiektem mego zainteresowania stały się słynne kopalnie, których tyle opisów czytałem, i w których wyobrażałem sobie spotkać, być może, przygody podobne do tych, jakie w pierwszym tomie swych anegdot, opisał ksiądz Prévost. Powiodło mi się..., ale jakaż różnica!...

Znalazłem się najpierw w Upsali, usytuowanej nad rzeką Fyris, dzielącą miasto na dwie części. Upsala, będąca długi czas stolicą Szwecji, jest dziś jeszcze, obok Sztokholmu, miastem najważniejszym. Po trzytygodniowym tam pobycie, zajechałem do Falhum, dawnej kolebki Scytów, po których mieszkańcy stolicy Dalekarii zachowali jeszcze obyczaje i ubiory. Opuściwszy Falhum, osiągnąłem kopalnię Taperg, jedną z najwspanialszych w Szwecji.

Kopalnie, długi czas największe zasoby państwa, popadły wkrótce w uzależnienie od Anglii, z powodu długu zaciągniętego przez właścicieli od tamtej nacji, zawsze gotowej służyć tym, których, jak sądzi, będzie mogła pewnego dnia pochłonąć drogą lichwiarskich pożyczek, rozstroiwszy ich handel albo osłabiwszy siły.

Gdy przybyłem do Taperg, wyobraźnia moja zaczęła pracować nim jeszcze zszedłem w podziemia, które skutkiem luksusu i skąpstwa kilku ludzi, pochłonęły tak wielu innych.

Jako że niedawno powróciłem z Italii, wyobrażałem sobie najpierw, że kamieniołomy te winny być podobne do katakumb w Rzymie czy Neapolu; myliłem się; w jeszcze większej głębinie, miałem znaleźć samotność mniej przerażającą.

Przydzielono mi w Upsali dobrze poinstruowanego człowieka, aby mnie prowadził, człowieka zajmującego się literaturą i dobrze ją znającego. Szczęśliwie dla mnie, Falkeneim (takie nosił nazwisko) mówił, nie wiedzieć niemieckim czy angielskim, za pomocą idiomów Północy, dzięki czemu mogłem się z nim porozumieć. Przy pomocy pierwszego z tych języków, który obaj woleliśmy, mogliśmy rozmawiać na wszelkie tematy, i łatwo mi było dowiedzieć się odeń anegdoty, którą niezwłocznie opowiem.

Za pomocą kosza i sznura, maszyny przygotowanej w ten sposób, że trasa przestawała być niebezpieczna, zjechaliśmy na dno kopalni, i znaleźliśmy się w jednej chwili sto dwadzieścia sążni pod powierzchnią ziemi. Nie bez zdziwienia ujrzałem ulice, domy, świątynie, gospody, ożywienie, robotników, policję, sędziów, wszystko, co mogło zaoferować cywilizowane miasteczko Europy.

Po przebyciu tych osobliwych miejsc zamieszkania, weszliśmy do tawerny, w której Falkeneim dostał od gospodarza wszystko, co było potrzebne, by się orzeźwić; dość dobre piwo, suszona ryba i rodzaj szwedzkiego chleba jedzonego na wsi, robionego z kory świerku i brzozy mieszanej ze słomą, z kilkoma dzikimi korzeniami, i gniecionej na ciasto z mąką owsianą; czyż trzeba czegoś więcej, by zaspokoić prawdziwą potrzebę? Filozof, który przemierza świat, by się kształcić, powinien pogodzić się z wszelkimi obyczajami, wszelkimi religiami, wszystkimi epokami, klimatami, łóżkami, pożywieniami, i pozostawić nieczułym lubieżnikom stolicy ich przesądy..., ich luksus..., ów nieprzyzwoity luksus, który, nie zadowalając nigdy rzeczywistych potrzeb, tworzy wciąż sztuczność ze szkodą dla fortuny i zdrowia.

Zbliżaliśmy się do końca naszego skromnego posiłku, gdy jeden z robotników kopalni, w niebieskiej koszuli i spodniach, z głową przykrytą małą, złą peruką blond, pozdrowił Falkeneima po szwedzku. Mój przewodnik odpowiedział po niemiecku z grzeczności wobec mnie, i więzień (gdyż nim był) pozostał przy tym języku. Nieszczęśnik ten widząc, że zachowanie takie mnie miało na względzie, i mając nadzieję rozpoznać me pochodzenie, zwrócił się do mnie z francuskim pozdrowieniem, które wygłosił bardzo poprawnie, potem zaś zaczął wypytywać Falkeneima czy nie ma jakichś nowin ze Sztokholmu; wymienił kilka osób z dworu, mówił o królu, a wszystko to z rodzajem swobody i śmiałości, które skłoniły mnie do słuchania go z uwagą. Pytał Falkeneima, czy nie sądzi, by pewnego dnia przyszło dlań jakieś ułaskawienie, czemu mój przewodnik, ściskając mu dłoń z przygnębieniem, zaprzeczył. Więzień, mimo usilnych nalegań z naszej strony, nie chciał przyjąć poczęstunku i oddalił się wnet ze smutkiem w oczach. Chwilę później powrócił i zapytał Falkeneima czy nie zechciałby zająć się listem, który spiesznie by napisał. Mój towarzysz przyrzekł mu to i więzień wyszedł.

Gdy zniknął, zapytałem Falkeneima:

— Kim jest ten człowiek?

— Jednym z pierwszych szlachciców Szwecji odpowiedział mi.

— Zadziwiasz mnie, panie.

— To szczęście dlań być tutaj, tolerancja naszego władcy mogłaby się równać ze szlachetnością Augusta wobec Cinny. Człowiek, którego przed chwilą widziałeś, panie, to hrabia Oxtiern, jeden z senatorów najbardziej nieprzychylnych królowi w czasie rewolucji 1772 roku. Odkąd zapanował spokój, uznany został winnym bezprzykładnych zbrodni. Gdy prawo skazało go, król, przypominając sobie o nienawiści, jaką ten mu niegdyś okazywał, kazał go sprowadzić i powiedział: „Hrabio, sędziowie moi skazali cię na śmierć..., tyś mnie wypędził przed kilku laty, co sprawia, że zachowam cię przy życiu; chcę byś zobaczył, że serce tego, którego nie uważałeś za godnego tronu, nie jest jednak pozbawione cnoty". Oxtiern padł Gustawowi do stóp zalewając się strumieniem łez. „Chciałbym móc zupełnie cię uchronić, powiedział król podnosząc go, lecz potworność twych czynów nie pozwala mi na to; wysyłam cię do kopalni, nie będziesz szczęśliwy, ale przynajmniej będziesz żył... Odejdź". Zaprowadzono Oxtierna do miejsca, w którym go, panie, widziałeś. Ruszajmy, dorzucił Falkeneim, już późno, po drodze weźmiemy list.

— Panie — zwróciłem się do mego przewodnika — mieliśmy spędzić tu osiem dni; nazbyt pobudziłeś mą ciekawość, nie opuszczę wnętrza ziemi, aż nie wyjawisz mi przyczyny, która pogrążyła tu na zawsze tego nieszczęśnika. Choć zbrodnicza, postać ta jest interesująca; nie ma on chyba jeszcze czterdziestu lat?... Pragnąłbym widzieć go wolnym; może stanie się na powrót uczciwy.

— Uczciwy, on?... nigdy..., nigdy.

— Na Boga, panie, zaspokój mą ciekawość.

— Zgoda, odpowiedział Falkeneim, zwłoka ta da mu czas na przygotowanie korespondencji; powiedzmy mu, że nie musi się spieszyć, i chodźmy do pokoju w głębi, gdzie będzie znacznie spokojniej niż tu, przy ulicy... O wydarzeniach tych opowiem ci jednak, panie, z przykrością, zaszkodzą one uczuciu litości, jakie zbrodniarz ów w tobie wzbudza, wolałbym iżby jej nie utracił i byś pozostał w niewiedzy.

— Panie — powiedziałem do Falkeneima — błędy ludzkie niosą naukę, podróżuję po to, by się uczyć; im bardziej człowiek ten oddalił się od zapory, jaką stanowią prawa czy natura, tym bardziej poznanie go jest interesujące, i tym bardziej wart jest mych badań i współczucia. Cnota potrzebuje jedynie kultu, jej kariera jest niczym kariera szczęścia..., powinna taka być, tysiąc ramion otwiera się, by przyjąć jej zwolenników, jeśli towarzyszą im przeciwności. Ale wszyscy pozostawiają winnego..., wstydzimy się zająć nim czy też wylewać nad nim łzy, zarażenie przeraża, wypędzamy go ze wszystkich serc, i z powodu pychy pognębiamy, choć, z racji jego człowieczeństwa, winniśmy przyjść mu z pomocą. Gdzież zatem, panie, znaleźć śmiertelnika bardziej interesującego niż ten, który ze szczytu wielkości spadł nagle w przepaść zła, który, urodzony dla przychylności losu, doznawał tylko niełaski..., którego otaczała tylko klęska biedy, a jego serce dręczyły silne wyrzuty sumienia i węże rozpaczy? Ten tutaj, mój drogi, wart jest mej litości; nie powiem niczym głupcy... **to jego błąd,** czy też ludzie o lodowatych sercach, którzy chcą usprawiedliwić swą zatwardziałość, **on jest winny.** Och! cóż mi szkodzi to, co przekroczył, czym wzgardził, co uczynił! Jest człowiekiem, i musiał być słaby.., jest zbrodniarzem, nieszczęśnikiem, żałuję go... Mów, Falkeneim, mów, płonę z ciekawości.

I mój uprzejmy przyjaciel zaczął tymi słowy:

„W pierwszych latach naszego wieku, pewien szlachcic wyznania rzymskiego i narodowości niemieckiej, z powodu sprawy, która daleka była od okrycia go hańbą, zmuszony został do opuszczenia ojczyzny. Wiedząc że chociaż wyrzekliśmy się błędów papizmu, są one jednak tolerowane w naszych prowincjach, przybył do Sztokholmu. Młody i dobrze wychowany, lubiący wojaczkę, pełen chęci zdobycia sławy, spodobał się Karolowi XII i miał zaszczyt towarzyszyć mu na wielu wyprawach; był przy nieszczęsnej sprawie w Połtawie, towarzyszył królowi w odwrocie spod Bender, dzielił z nim uwięzienie przez Turków, i powrócił z nim do Szwecji. W 1718 roku, gdy państwo utraciło tego bohatera pod murami Frederikshall, w Norwegii, Sanders (było to nazwisko szlachcica, o którym mowa) otrzymał patent pułkownika, i w tym charakterze udał się do Nordkoping, miasta handlowego, usytuowanego piętnaście mil od Sztokholmu, nad kanałem łączącym jezioro Veter nad Morzem Bałtyckim, w prowincji Ostrogocji. Sanders ożenił się i miał syna, którego Fryderyk I i Adolf-Fryderyk przyjęli tak samo. Awansował dzięki własnym zasługom, otrzymał stopień równy ojcu, i, choć jeszcze młody, powrócił do Nordkoping, miejsca narodzin, gdzie, tak jak ojciec, poślubił córkę dość bogatego kupca, która zmarła w dwanaście lat po wydaniu na świat Ernestyny, bohaterki tej opowieści. Po trzech latach, gdy Sanders mógł mieć około czterdziestu dwóch lat, jego córka miała szesnaście i uchodziła słusznie za jedno z najpiękniejszych stworzeń, jakie widziano w Szwecji. Była wysoka, stworzona do malowania; postawę miała dumną i szlachetną, najpiękniejsze czarne, żywe oczy, bardzo długie włosy tego samego koloru, rzecz rzadka w naszym klimacie; a mimo to jej skóra była najpiękniejsza i najbielsza; znajdowano w niej pewne podobieństwo do pięknej księżnej de Sparre, sławnej przyjaciółki mądrej Krystyny, i było to prawdą.

Serce młodej panny Sanders, nim jeszcze osiągnęła wiek, o jakim mowa, dokonało już wyboru; ale jako, że słyszała często od matki jak okrutne dla młodej kobiety, która uwielbia swego męża, są częste rozłąki z powodu obowiązków wobec państwa, która wiąże to w tym, to w innym mieście, Ernestyna, za aprobatą ojca, wybrała młodego Hermana, wyznającego tę samą co ona religię, który poświęcił się handlowi, przygotowując się do tego stanu w kantorach jegomościa nazwiskiem Scholtz, najsławniejszego kupca w Nordkoping i jednego z najbogatszych w Szwecji.

Herman pochodził z rodziny tegoż samego stanu, ale w młodości utracił rodziców i jego ojciec umierając polecił go Scholtzowi, swemu dawnemu wspolnikowi. Młodzieniec zamieszkał więc w jego domu i, zyskawszy zaufanie dzięki swej mądrości i pilności, choć miał dopiero dwadzieścia dwa lata, prowadził interesy i księgi handlowe, gdy szef zmarł bezdzietnie. Młody Herman stał się odtąd zależny od wdowy, kobiety zarozumiałej, wyniosłej, która, mimo wszelkich rekomendacji małżonka odnoszących się do Hermana, była zdecydowana pozbyć się młodego człowieka, jeśliby nie odpowiadał widokom, jakie miała co do niego. Herman, całkowicie oddany Ernestynie, mężczyzna co najmniej równie piękny jak ona, mógł niewątpliwie wzbudzić uczucia wdowy Scholtz, kobiety czterdziestoletniej a wciąż jeszcze świeżej; mając jednak serce zajęte, nie reagował na zapędy swej chlebodawczyni i, choć domyślał się jakim uczuciem go darzyła, udawał roztropnie, iż niczego nie dostrzega.

Jednakże namiętność ta zatrważała Ernestynę Sanders. Znała panią Scholtz jako kobietę zuchwałą, przedsiębiorczą, zazdrosną i porywczą; taka rywalka nadzwyczaj ją zaniepokoiła. Brakowało zresztą wiele, aby była dla Hermana równie dobrą partią jak pani Scholtz: nic ze strony pułkownika Sandersa i choć, co prawda, cokolwiek ze strony matki, to czyż jednak mogła się równać ze wspaniałą fortuną, jaką Scholtz mogła ofiarować młodemu kasjerowi?

Sanders pochwalał wybór córki. Jako iż była jego jedynym dzieckiem, uwielbiał ją, a wiedząc, że Herman posiadał cnoty, inteligencję, pochodzenie i, co więcej, także serce Ernestyny, daleki był od stawiania przeszkód równie stosownemu układowi. Lecz los nie zawsze pragnie tego, co dobre. Wydaje się, że sprawia mu przyjemność gmatwanie najmądrzejszych zamiarów człowieka, aby wyciągnął on z tej niekonsekwencji naukę, że nie można na nic liczyć w świecie, którego najpewniejszymi prawami są niestałość i chaos.

— Hermanie — mówi pewnego dnia wdowa Scholtz do młodego ukochanego Ernestyny — jesteś już wystarczająco obeznany z handlem, by powziąć postanowienie; zasoby, jakie pozostawili ci rodzice, dzięki staraniom mego małżonka i moim, wzrosły bardziej niż potrzeba, byś się urządził; kup dom, mój drogi, chcę byś mnie wnet opuścił, niebawem załatwimy nasze rachunki.

— Jak sobie życzysz, pani — mówi Herman — znasz, pani, mą uczciwość i bezinteresowność, jestem równie spokojny o me kapitały, które posiadasz, jak sama winnaś być o te, którymi zarządzam.

— Czy nie masz jednak, Hermanie, jakiegoś projektu urządzenia się?

— Jestem, pani, jeszcze zbyt młody.

— Najwyższy już czas, abyś przypadł do gustu jakiejś rozsądnej kobiecie; jestem pewna, że zyskałbyś szczęście.

— Chciałbym posiadać jeszcze wspanialszą fortunę nim to uczynię.

— Żona pomogłaby ci ją zdobyć.

— Gdy się ożenię, chcę fortunę już posiadać, aby zajmować się tylko małżonką i dziećmi.

— Czy to znaczy, że nie ma jeszcze kobiety, którą wyróżniałbyś spośród innych?

— Jest na świecie jedna, którą kocham czule jak matkę, a me usługi będę jej oferował tak długo, jak długo zechce je przyjmować.

— Nie mówię wcale o takich uczuciach, mój drogi, jestem za nie wdzięczna, ale nie takich uczuć potrzeba w małżeństwie. Hermanie, pytam cię, czy nie masz na widoku jakiejś osoby, z którą pragnąłbyś związać swój los?

— Nie, pani.

— Dlaczego zatem bywasz wciąż u Sandersów? Co robisz ciągle w domu tego człowieka? On jest żołnierzem, ty kupcem; spotykaj się z ludźmi twego stanu i pozostaw w spokoju tych, którzy doń nie należą.

— Wiesz, pani, że jestem katolikiem, pułkownik także, spotykamy się, by się modlić..., by chodzić razem do przeznaczonej nam kaplicy.

— Nigdy nie ganiłam twej religii, chociaż jej nie wyznaję i jestem całkowicie przekonana o bezużyteczności tych wszystkich bzdur, jakiegokolwiek by nie były rodzaju. Wiesz, Hermanie, że zawsze pozostawiałam ci swobodę w tym względzie.

— Tak!, pani, religia..., oto dlaczego chodzę niekiedy do pułkownika.

— Hermanie, przyczyna tych częstych wizyt jest inna i ukrywasz ją przede mną, kochasz Ernestynę.., tę młodą dziewczynę, która, według mnie, nie ma ani figury, ani polotu, chociaż całe miasto mówi o niej jako o jednej z najpiękniejszych w Szwecji... Tak, Hermanie, kochasz ją..., kochasz ją, mówię ci, wiem o tym.

— Panna Ernestyna Sanders, jak sądzę, dobrze o mnie myśli, pani... jej urodzenie..., jej stan... Wiesz, pani, że jej przodek, pułkownik Sanders, przyjaciel Karola XII, był znakomitym szlachcicem z Westfalii.

— Wiem o tym.

— Zatem, pani, czyż partia ta mogłaby mi nie odpowiadać?

— Zapewniam cię, Hermanie, że jest zupełnie niestosowna; potrzeba ci kobiety dojrzałej, kobiety, która myśli o twej fortunie i ma o nią staranie; jednym słowem, kobiety w moim wieku i mego stanu.

Herman zarumienił się, odwrócił... Jako że w tym momencie przyniesiono herbatę, rozmowa została przerwana i Herman, po śniadaniu, zajął się swymi obowiązkami.

— Och! droga Ernestyno — mówi nazajutrz do młodej panny Sanders — to prawda, że ta okrutna kobieta ma widoki na mnie, nie mogę już o tym wątpić; znasz jej usposobienie, wiesz jak jest zazdrosna, jakie ma wpływy w mieście; Ernestyno, obawiam się wszystkiego.

I gdy wszedł pułkownik, dwoje kochanków podzieliło się z nim obawami.

Sanders był starym żołnierzem, człowiekiem bardzo rozsądnym, który nie martwiąc się, iż wywoła w mieście intrygi i wiedząc dobrze, że protekcja, jakiej udzielił Hermanowi ściągnie przeciw niemu panią Scholtz i wszystkich przyjaciół tej kobiety, poradził młodym ludziom zdać się na okoliczności; dał do zrozumienia Hermanowi, że wdowa, od której ten był zależny, była w istocie znacznie lepszą partią niż Ernestyna, i że w jego wieku winno się szanować znacznie bardziej bogactwo niż figurę. To nie znaczy, mój drogi, kontynuował pułkownik, że odmawiam ci swej córki..., znam cię.., szanuję, posiadasz serce tej, którą sam uwielbiasz, zgadzam się zatem bez żadnych wątpliwości na wszystko, ale byłbym zrozpaczony wyrządzając ci przykrości; oboje jesteście młodzi, w waszym wieku widzi się tylko miłość; wyobrażamy sobie, że może ona nas utrzymać przy życiu; mylimy się, miłość usycha bez bogactwa, i wyborowi, którym sama kierowała, towarzyszą wkrótce zgryzoty.

— Ojcze — mówi Ernestyna, rzucając się do stóp Sandersa — czcigodny ojcze, nie odbieraj mi nadziei pozostania z mym drogim Hermanem, przyrzekłeś mi to już w dzieciństwie..., ta myśl stanowiła całą mą radość, nie odbierzesz mi jej nie powodując mej śmierci; oddałam się całkiem temu przywiązaniu, jest ono tym słodsze, że widzę, iż ojciec pochwala te uczucia; Herman, w miłości, jaką mnie darzy znalazł całą siłę konieczną, by oprzeć się urokom pani Scholtz.. Ich! ojcze, nie pozostawiaj nas.

— Wstań, córko — mówi pułkownik — kocham cię..., uwielbiam..., skoro Herman jest twym szczęściem, i skoro oboje się zgadzacie, uspokój się, droga córko, nie będziesz miała nigdy innego męża... A w gruncie rzeczy nic się tej kobiecie nie należy; uczciwość..., gorliwość Hermana wyrównują wdzięczność, nie jest on zobowiązany poświęcać się, aby się jej przypodobać... Ale należałoby starać się nie poróżnić z nikim.

— Panie — mówi Herman ściskając pułkownika w ramionach — czyż za obietnice płynące z serca nie muszę być wdzięczny tobie właśnie, który pozwoliłeś mi nazywać cię ojcem?... Tak, zasłużę na to, co czynisz dla mnie; bezustannie zajęty tobą i twą córką, najsłodsze chwile mego życia poświęcę, by pocieszyć twą starość... Ojczę, nie obawiaj się, nie przysporzymy sobie żadnych wrogów, nie poczyniłem żadnych zobowiązań wobec pani Scholtz; cóż będzie mogła rzec, gdy oddam jej rachunki w najlepszym porządku i zażądam zwrotu własnych?

Przekład:
BOGDAN BANASIAK

C.D.N.

Cudu nad Wisłą nie będzie

Niekiedy się słyszy... cała nadzieja w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Jest wszak prawie pewne, że Polska doń wejdzie. Nareszcie. Doczekaliśmy się. Nadchodzą lepsze czasy. Światowe banki zadbają już o to, by rynek nad Wisłą się ustabilizował. Dołożą już starań, żeby złotówka z pieniądza małpiego przekształciła się w pieniądz twardy, zrównoważony, być może, zgoła wymienialny...

Czy istotnie Fundusz stanie się cudowną deską ratunku?

Prawda, kiedyś był pomyślany jako rodzaj potężnego holownika. Miał powyciągać z kłopotów kraje opóźnione w gospodarczym rozwoju i doprowadzić je bezpiecznie na szczęśliwy brzeg względnej zamożności. Dziś wiatry nie te. Rola MFW sprowadza się niejako do pośrednictwa między bogatą Północą a zubożałym i po uszy zadłużonym Południem. Otóż na barkach ludności Ameryki Łacińskiej, Afryki, no i pewnych rejonów Azji ciąży aktualnie dług sięgający 950 miliardów dolarów.

Szkopuł cały w tym, że dłużnicy nie mają z czego oddać. Robią bokami. Ledwo już zipią. Na domiar wszystkiego ten okręt nabiera wciąż więcej i więcej wody, obrastając nie spłaconymi procentami. Jakie więc wyjście? Ekonomiczny przymus, stwierdzili bankowi eksperci. Nie masz? W porządku, ogranicz swe potrzeby, wtedy będziesz miał. Nikt przecież nikogo nie będzie wiecznie trzymał na garnuszku. Oddaj, co wziąłeś, za darmo umarło. Inaczej naciśniemy z tej i tamtej strony, tak przyłożymy, że padniesz na kolana.

Międzynarodowy Fundusz Walutowy już bata pokazał.

Zagroził opornym sankcjami. Albo kraje zadłużone ściśle zastosują się do zaleceń bankierów, albo ostre nastąpią cięcia w nowych ewentualnie kredytach. Rób, co ci każą, inaczej marsz do kąta. Jakie to zalecenia? Raczej dosyć proste. Masz długi? Zejdź przeto dwa stopnie niżej. Trzeba konsumpcję ograniczyć. Aby było jaśniej i bez osłonek, czas wielki obniżyć poziom życia, bo żyłeś sobie, kochasiu, ponad stan.

Skąd jednak w bankach te miliardy na pożyczki?

Nade wszystko z krajów petrodolarowych. W pierwszych latach siedemdziesiątych ceny na ropę podskoczyły niebotycznie. Wzrosły czterokrotnie. Szczególnie emiraty arabskie nie bardzo mogły sobie poradzić z narastającym strumieniem żywej gotówki. Powierzyły tedy, bajeczne dosłownie krocie, renomowanym bankom o światowym zasięgu. Proszę, obracajcie, byle z dobrym procentowym zyskiem. No i banki zaoferowały nie tylko krajom Trzeciego Świata krótkoterminowe głównie kredyty.

Las rąk wyciągnął się po forsę. Dlaczego nie brać, skoro dają? A co będzie jutro? O jutro niech się inni martwią. No i same tylko państwa Ameryki Łacińskiej wpadły w zadłużenie, przekraczające już 350 miliardów dolarów.

Tymczasem to i owo się w świecie zmieniło. Ceny ropy gwałtownie spadły. I nadal lecą na łeb. W krajach w gospodarce przodujących rysuje się recesja. Bezrobocie bije rekordy. Tym samym rynek wewnętrzny się kurczy. To znów pociąga za sobą zmniejszenie importu z Trzeciego Świata. Choć nie tylko. A więc dłużnik ma mniejsze wpływy. Więc czym się uiścić z potęgującego się zadłużenia, skoro kasy puste? Błędne doprawdy koło.

Pierwszy ostrzegawczy sygnał wyszedł z Meksyku już w 1982 roku. Meksyk, zadłużony na 78 miliardów dolarów, oświadczył, że rocznej spłaty w wysokości 8 miliardów nie ureguluje. Lekcja w las nie poszła. Ruszyła lawina.

W 1984 r. aż 38 państw poszło w ślad za Meksykiem. Pokazano figę bankierom. Spłat nie będzie. Biegli w finansach szefowie MFW z miejsca poszli po rozum do głowy. Tej linki zbyt naciągać też nie wolno. Gotowa trzasnąć. Bankrutom dano zastrzyk. Na wzmocnienie. Poszły na to nowe miliardy. Do ut des, stara to zasada, rzymska o fenickich korzeniach, daj, żeby ci potem dali. Bo grosza nie zobaczysz. Więc bankierzy dali, ale warunek, od dzisiaj dyscyplina, rygor i surowy reżim oszczędnościowy.

Pierwszy podporządkował się Meksyk. Rząd obciął drastycznie subwencje. Poścignął dotacje. Podniósł ceny na żywność, benzynę, prąd i te inne rzeczy. Ulica zaszumiała. Powiało grozą. Lecz wkrótce ucichło. No i zdewaluowano peso. Pomogło?

Ugięła się też dumna skądinąd Argentyna. Zgodnie z sugestią MFW w Buenos Aires wymieniono pieniądz. Zamrożono płace i ceny. Dostosowano rozmiary emisji banknotów do rozmiarów produkcji rynkowej. Bywa i tak wszakże, iż rady i polecenia speców z MFW trafiają na mur nie do przebicia. Żąda się dla przykładu, żeby Sri Lanka, dawny Ceylon, ograniczyła w tym roku import o połowę. Sęk w tym, że kraj sprowadza przede wszystkim żywność. Jakże, naród ma głodować?

Rentier żyje z kuponów, adwokat z paragrafów, bankier żyje z procentów. Więc główkuje. To człowiek konferencyjnego stołu i miłego uśmiechu. Lecz ten uśmiech bywa też złowieszczy. Uścisk dłoni bywa zabójczy. Pieniądz jest bezlitosny. Ma dekalog gdzieś. Rządzi się własnymi prawami. Bankier węszy i niucha.

Dyrektorem Międzynarodowego Funduszu Walutowego jest Francuz, Jacques de Larosiere. Miesięcznik „Selection" doniósł niedawno, że de Larosiere jest zwolennikiem selektywnego podejścia do dłużników. Nie wszystkich do jednego worka. Traktowanie musi być zróżnicowane. Dał do zrozumienia, że w pewnych wypadkach dalsze kredytowe wsparcie jest po prostu niezbędne i nieuniknione.

Henry Kissinger jest natomiast pesymistą. Twierdzi, że dalsze kredyty śmiertelnie chorych i tak nie postawią na nogi. Pacjenta można będzie jakiś czas utrzymać przy życiu, ale katastrofa i tak nastąpi. Najlepiej by było położyć krzyżyk na długach. Tych pieniędzy nikt już nigdy nie zobaczy. Długi poskreślać? Bankierzy nigdy na to nie pójdą. Dowodzą, że już następnego dnia na giełdach zapanowałby nieopisany chaos. Krach by nastąpił porównywalny z wielkim kryzysem lat trzydziestych.

Poważni ekonomiści przychylają się do opinii, że przydałoby się porozumienie w stylu Bretton Woods z 1944 r. Sens tego porozumienia miałby się sprowadzić do nowego ładu finansowego. To znaczy, bogate państwa Północy powinny co rychlej podzielić się dobrobytem z ubogim wciąż Południem. Miłe to brzmi dla ucha. Prawdziwe chrześcijaństwo, res sacra miser, masz dużo, podziel się z ubogim. Więc jakże, nowe datki, wsparcia, nowa fala poniżającej przecież jałmużny? Ależ nie, niechaj Północ obniży taryfy celne, niech zniesie importowe restrykcje, niech więcej kupuje na Południu. O liberalizację by chodziło, o zniesienie dotkliwych barier w międzynarodowym handlu. O taki ład idzie.

Czy ten projekt przejdzie? Wątpliwe, co kraj to inny pogląd na te kwestie. Zgody nie ma, zdania są podzielone. Północ jednością nie jest. Każdy zgarnia pod siebie.

Przystąpienie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego jakimś kredytem pewnie dla nas sypnie. Nakręci to prawdopodobnie eksport i ułatwi spłacanie bieżących choćby rat od 30-miliardowego już zadłużenia. Ale warunki też będą. Kto daje, wymaga. W finansach obowiązują twarde reguły gry. Cóż, nie ma róży bez kolców, a każdy medal ma istotnie dwie strony.

Wtajemniczeni utrzymują, że już dziś można by krajowej inflacji położyć kres i łeb jej urwać jednym pociągnięciem. Trzeba by bez podnoszenia płac natychmiast podnieść ceny na wszystkie bez wyjątku towary i usługi o 25 procent. I rynek momentalnie by się ustabilizował. Takiej decyzji nikt w Warszawie nie podejmie ani dziś, ani jutro. Nie pozwalają względy zarówno społeczne, jak i polityczne.

Pozostają drobne przeto kroczki. Toteż na rozpalone głowy radziłbym kubeł zimnej wody. Manna do przejedzenia nam nie spadnie. Będzie pewna pomoc, jasne, ale cudu nad Wisłą nie będzie.

JAN BĄBIŃSKI

1 Opowieści wschodnie

Sezon w Polsce

Zwrócili się do mnie moi przyjaciele z Perszeronii, konkretnie z redakcji stołecznego „Ryku porannego" o korespondencję z Polski. Spełniłem ich prośbę i sądzę, że po wprowadzeniu niezbędnych skrótów, korespondencja ta zainteresuje również czytelnika Polaka. Pozwoli mianowicie spojrzeć innym okiem na wydarzenia w kraju a jednocześnie przybliży nieco mentalność moich przyjaciół Perszerończyków. Korespondencja nosi tytuł taki właśnie jak tytuł niniejszej opowieści i brzmi następująco:

Okres lata (w Polsce trwa ono strasznie krótko, mniej więcej trzy miesiące) Polacy zwykli traktować jako okres wypoczynku. A wypoczywają w sposób wielce osobliwy, o czym w odrębnej korespondencji. Nie znaczy to jednak, że zamiera tam wszelkie życie. Przeciwnie, niektóre dziedziny rozkwitają. Od lat ulubioną rozrywką Polaków są festiwale piosenki. Właśnie w lecie odbywa ich się co najmniej kilkadziesiąt, a cztery mają charakter prestiżowy, niemalże są one uroczystościami państwowymi — biorą w nich udział notable, luminarze świata kultury itp. Taki festiwal trwa od trzech dni do tygodnia i polega na tym, że parę tysięcy ludzi zbiera się pod gołym niebem, w amfiteatrze, i kiwa się rytmicznie w lewo i w prawo. Na estradzie z reguły gra orkiestra oraz występują artyści, ale wyłącznie jednego żanru — mianowicie piosenkarze. Jeden po drugim wkracza na estradę i coś śpiewa przez około pięć minut, schodzi z estrady, wchodzi następny i też śpiewa, tyle że coś innego. Polacy klaszczą w dłonie i kiwają się. Uwielbiają to!

Charakterystyczne jest przy tym, że występujący artyści nie prezentują żadnej awangardy, żadnych nowości, żadnego postępu! Miejscowa telewizja nie tylko transmituje to na cały kraj, ale jeszcze wielokrotnie powtarza, w programach pod roboczym tytułem „Antyczny świat Krzysztofa Krawczyka".

Kiedy jedna część narodu wypoczywa — ciekawe — koniecznie poza domem! — druga pracuje w pocie czoła. Są to tzw. rolnicy, czyli ludzie, którzy zamiast po prostu zjadać to co rodzi ziemia, wykonują różne zabiegi aby rodziła więcej. W sytuacji Polaków jest to, niestety, niezbędne. Więc właśnie ci rolnicy w tym czasie zbierają z łąk to, co im tam wyrosło, konserwują to i przetwarzają. Zbiory w Polsce były w tym roku nadzwyczajne, myślę jednak, że na import pasz do Perszeronii nie ma co liczyć. Ci barbarzyńcy bowiem najchętniej jedzą mięso zwierzęce (koni nie jadają z reguły — sympatyczny naród), więc najpierw muszą swoją paszą karmić zwierzęta a dopiero potem, kiedy takie zwierzę zje tyle, że dla dwóch ludzi starczyłoby — zabijają je i zjadają. Stale mają tych zwierząt za mało i w kraju toczy się od lat dyskusja nad tym jak zwiększyć pogłowie, jak dzielić niedostateczne zapasy itd. Jest to problem na tyle poważny, że co kilka lat powoduje poważne kryzysy polityczne, zmiany gabinetów itp.

Wiele ciekawych rzeczy zdarzyło się ostatnio w dziedzinie życia religijnego Polaków. Otóż utrzymuje się tam zupełnie nieracjonalne przekonanie, że ziemia, po której stąpają Polacy, jest jednym wielkim zbiornikiem ropy naftowej. Polacy wierzą święcie, że któregoś ranka tryśnie z tej ziemi tak kolosalna ilość tejże ropy, że przestaną pracować i będą żyć jak nie przymierzając regenci Perszeronii. Co kilka lat rzeczywiście ropa tryska, cały kraj przeżywa dreszcz nadziei, potem się okazuje, że ropy było tyle co kot napłakał. W tym roku było podobnie.

Innym zjawiskiem, równie irracjonalnym jak owo oczekiwanie na cudowny wytrysk Wielkiej Ropy, jest tego lata nieoczekiwane pojawienie się wizerunków osób, które Polacy uznają za szczególnie czcigodne i którym oddają cześć, w miejscach najróżniejszych, głównie w koronach i na pniach drzew. Tego lata odnotowano tych zjawisk wiele, ale jedno zasługuje na szczególną uwagę.

Otóż miejscem, które Polacy odwiedzają bardzo chętnie, ale które mimo to nie cieszy się estymą i szacunkiem społecznym jest tzw. restauracja. Spożywają tam niekiedy posiłki ale głównie zbierają się tam aby zbiorowo pić płyn — nie znany na szczęście w Perszeronii — który powoduje coś w rodzaju zaćmienia umysłu, wywołuje wesołość niczym nie usprawiedliwioną i inne dziwaczne objawy.

Proszę sobie wyobrazić że w jednym z polskich miast pojawił się wizerunek osoby otoczonej kultem właśnie na szybie restauracji! Ani miejscowe władze, ani duchowieństwo nie wiedzą co z tym zrobić. Restauracja jest chwilowo zamknięta, ale co będzie po jej otwarciu?

Ostatnio wprowadzono w Polsce reformę arytmetyki. Otóż oficjalne zupełnie czynniki ogłosiły w oficjalnej prasie i TV, że jeśli cena czegoś rośnie z 2 do 5 albo z 18 do 36 to cena ta wzrosła o 35 proc. Prawdopodobnie związane jest to z reformą szkolnictwa w Polsce.

Na tym kończę. Wasza Wysokość i wy drodzy czytelnicy.

BEN GRUNDIK nk

PS. Czytelnikowi polskiemu należy się wyjaśnienie: formuła, której użyłem na końcu jest w prasie perszerońskiej obowiązkowa, słowa „Wasza Wysokość" odnoszą się, oczywiście, do regenta, literki „nk" przy nazwisku oznaczają „nie koń" — czyli obywatel niższej kategorii.

2 Jak zapewnić sobie święty spokój?

W minionych czasach, gdy szczytem odwagi było krytykowanie kelnerów, wyśmiewano się z powiedzenia: — Kolega! Zagadywany kelner najczęściej odpowiadał bowiem właśnie w ten sposób: — Kolega! — że to niby nie on obsługuje ten rewir, a właśnie jego kolega, którego chwilowo nie ma. A że chwila trwała godzinami, to już inna sprawa. Dziś zdarza się wprawdzie krócej czekać na kelnera w restauracji, ale też i ostrze satyry nie ogranicza się tylko do tej grupy zawodowej. Zmieniły się czasy, zmieniły obyczaje, pozostała jedynie niechęć do ponoszenia odpowiedzialności.

Można jednak zauważyć wyższą formę owego kelnerskiego zawołania: — Kolega! W jednym ze sklepów Wielunia, a sklep to raczej reprezentacyjny, dostrzegłem ciekawy napis. Informował on, że sklep zaopatruje się w pieczywo i wyroby cukiernicze w piekarni przy ul. Głowackiego, a za jakość chleba odpowiada — powiedzmy — Jerzy A., za jakość bułek Jan B., a za ciastka — Józef C. Podano też numery, pod którymi można owych panów znaleźć i zgłosić pod ich adresem krytyczne uwagi odnoszące się do jakości ich wyrobów. Sklep „Społem" w Wieluniu w tym wypadku umył ręce i odrzucił od siebie wszelką odpowiedzialność. Oni tylko sprzedają, pośredniczą między piekarnią przy ul. Głowackiego a klientem. Nie ponoszą żadnej odpowiedzialności.

Najpierw zastanowiło mnie, o jakiego to Głowackiego może chodzić? Był Bartosz Głowacki i zapewne ojcowie miasta Wielunia postanowili utrwalić pamięć jego bohaterskich czynów. Ale był też Aleksander Głowacki, znany powszechnie jako Bolesław Prus, może więc światli ojcowie miasta Wielunia jego pamięć postanowili uczcić nadając jego imię ulicy? Ale być może w dziejach Wielunia był bliżej mi nie znany Głowacki, który też miał swoje imię. W Polsce rozplenił się fatalny zwyczaj pisania najpierw nazwiska a później imienia, co może urzędnikom ułatwia życie, ale też imieniu odbiera jego zasadnicze znaczenie. Imię po prostu gdzieś ginie. Staramy się nadawać imiona dzieciom w sposób uroczysty i to zarówno w kościele, jak i w urzędzie stanu cywilnego, aby później nie przywiązywać do niego żadnej wagi. To tak na marginesie.

Wracając do sklepu „Społem" w Wieluniu, nie skorzystałem z podanego numeru telefonu i nie dzwoniłem do Jerzego A., Jana B., Józefa C., nie pytałem ich o przyczyny dobrej czy złej jakości ich wyrobów. Kupione w tym sklepie ciasto smakowało mi, nie było więc powodu do krytyki. Ale rozmawiałem kiedyś z piekarzami o przyczynach złego smaku chleba naszego powszedniego. Powiedzieli mi, że to zależy od mąki. Wyobraźmy sobie zatem, że piekarnia wieluńska piecze niesmaczny chleb, czego ani jej, ani mieszkańcom Wielunia nie życzę. Dzwonię więc do Jerzego A. i mówię, że chleb jest podły. A on mi na to, że owszem, fatalny, ale to nie jego wina, tylko młyna numer — powiedzmy — 10, którego kierownikiem jest Grzegorz D. i podaje mi numer telefonu do Grzegorza D. Przy okazji informuje też o tym, że i jakość wody nie jest najlepsza, więc podaje mi numer telefonu dyrektora wodociągów — Zenona E.

W młynie powiedziano mi, że oni owszem nieba by wszystkim przychylili, daliby ludziom smaczniejszą mąkę, ale to zależy nie tylko od nich, ale od rolników, którzy sieją złe zboże, a poza tym brakuje części do młynarskich maszyn, a oni z pustego nie naleją, bo tego nie potrafił nawet Salomon. W wodociągach też mi powiedzą, że oni mają dobre chęci, ale czegoś tam do filtrów nie ma, a poza tym deszcze były i — wiecie, rozumiecie... Wiem, rozumiem.

Kto zatem i za co jest odpowiedzialny? Odpowiedzieć na to pytanie można prosto: — każdy w swojej części. Rzecz wszakże w tym, że każdy tę swoją część chętnie zrzuca na kolegę. Przy postępującym podziale pracy i specjalizacji sprawa to nie jest trudna, ale nie ulega wątpliwości, że jest szkodliwa. Co zatem robić?

Myślę, że przede wszystkim zdjąć wywieszkę. W najgorszym wypadku inaczej ją sformułować. Informować klienta, kto jest dostawcą, ale odpowiedzialność za to, co się sprzedaje wziąć na siebie. Jeśli jest złej jakości — nie przyjmować. Tak niegdyś postępowano, ale to dawne czasy, gdy handel był handlem, a nie handlową formą urzędowania. Można też zmienić dostawcę, jeśli się nie poprawi i jeśli jest taka możliwość. Najczęściej jej nie ma, bo buduje się u nas piekarnie giganty, które monopolizują dostawy i nie gwarantują dobrej jakości. Po co skoro i tak tylko oni są na rynku. Klient musi zatem kupować. Innego wyjścia nie ma.

Inne wyjście jest. Nauczyć się od nowa odpowiedzialności za to, co się robi. I za pieczenie i za sprzedawanie. Odnosi się to — niestety — nie tylko do handlu i piekarń.

ZENON POROWATY

3 Spojrzenie znad szachownicy

Plan P.P.

Mimo iż podejmując mieszkaniowy temat wspomnieliśmy zaszczytnie Laurence J. Petera, który tak pięknie wprowadził w obieg społeczny pojęcie progu niekompetencji, Plan P.P. czyli Plan Poprawy Położenia nie ma niestety nic wspólnego z pracami tego znakomitego autora. Wszystko, co powiemy niżej, powiemy na własny rachunek, powołując się na wyniesioną z dzieciństwa pamięć o grze w komórki do wynajęcia, wiedzę, iż woda może wprawdzie płynąć pod górę, lecz woli czynić to pod ciśnieniem, a nie ot tak sobie, wreszcie wykorzystując doświadczenia szachowe, które wskazują niezbicie, że dopiero połączenie różnorodnych gróźb i zachęt wpływa decydująco na strategię partnera.

2.

Świadomość, że w Łodzi na jedną statystyczną izbę przypada mniej niż jeden statystyczny mieszkaniec (w roku 1985 — 0,96 mieszkańca), choć są izby, w których ludzie wciąż się tłoczą, i takie, które latami stoją praktycznie puste, nie jest świadomością przyjemną. Należałoby koniecznie zmienić ten stan rzeczy i to bez uciekania się do ostateczności, iżby jednego dnia ewakuować na przykład miasto, a drugiego spróbować zasiedlić je od nowa.

Oczywiście nasze statystyczne izby są różnej jakości, z centralnym ogrzewaniem lub z piecami kaflowymi, na I piętrze nowego bloku lub w sypiącej się oficynie, niekiedy zaś całe mieszkanie nie ma nawet wody, a ubikacja znajduje się na podwórku. Jednocześnie niemal każdy — chyba że akurat dysponuje willą — pragnąłby mieszkać lepiej niż dotąd, szczęśliwie owo „lepiej" nie zawsze oznacza dokładnie to samo i w tym należałoby upatrywać szansy.

Nadwyżką metrażu — zwykle kwaterunkowego, w starym budownictwie — dysponują zazwyczaj ludzie równie jak ich mieszkania starzy, często bezradni wobec wszelkich papierkowych formalności, nie posiadający zasobów gotówki, wpędzeni w swoistą pułapkę, z której nie widzą wyjścia.

Dlatego wielu emerytów, sam znam przynajmniej paru takich, chętnie oddałoby swoje M-ileś za małe mieszkanko w blokach, bądź wręcz za pokój w spółdzielczym czy komunalnym Domu Złotej Jesieni zapewniającym pensjonariuszom minimum opieki. Jednak aby złożyć podobną propozycję przedtem trzeba podobne mieszkania mieć.

3.

I tu, obawiam się, moje sugestie zaczną w przykry sposób rozchodzić się z demokracją oraz z częstym żądaniem, iżby w pierwszej kolejności zaspokajać potrzeby tych, którzy są w sytuacji najtrudniejszej. Jeżeli bowiem zdobędziemy się na wysiłek i zbudujemy dwa, trzy czy cztery komunalne bloki, po dokonaniu rozdziału mieszkań lista oczekujących skurczy się tylko nieznacznie, a sama sprawa — pozostanie.

Inaczej — choć wymagałoby to przebudowy istniejących przepisów — rozwinie się sytuacja, jeżeli pożądane bloki z ciepłą wodą, gazem i wszystkimi wygodami zaoferujemy tym emerytom, którzy przekażą kwaterunkowi duże mieszkania.

Uzyskane mieszkania — sprzedajemy. Za gotówkę, jeżeli bank będzie służył zainteresowanym odpowiednio wysokimi kredytami, bądź przy rozłożeniu spłaty na lat wiele. Od ceny sprzedaży należałoby najprawdopodobniej odliczyć wartość zdanego mieszkania — mniejszego, czy po prostu gorzej wyposażonego — w przeciwnym wypadku chętnych nie znajdzie się zbyt wielu. Proszę sprawdzić ile osób wykupuje obecnie mieszkania, zwłaszcza po niezbyt fortunnej próbie zróżnicowania czynszu i zablokowaniu na lat wiele możliwości sprzedaży — nikt prawie.

4.

Po wykonaniu proponowanych ruchów sytuacja na mieszkaniowej szachownicy jawi się już troszeczkę inaczej. Pewną ilość emerytów przeprowadziliśmy do bloków. Do bardzo niekiedy przyzwoitych, lecz trudnych do utrzymania i wymagających nakładów mieszkań trafiły rodziny dynamiczne, zdolne własną pracą zamienić zapuszczone salony na istne cacuszka. Pozostały już wprawdzie tylko lokale najgorsze, z których każdy rad by się wyniósł, ale te przekształcimy na mieszkania rotacyjne, też przecież potrzebne.

Gdyby tak to rozegrać, każde wybudowane mieszkanie komunalne pozwoliłoby na poprawę warunków bytowania nie jednej, ale trzech przynajmniej rodzin, a przy okazji udałoby się też zapewne uratować wiele mieszkań dziś powolutku przekształcających się w ruinę.

Od strony prawnej — mam tę świadomość — wszystko to pozostaje co prawda zupełną mrzonką, gdyby znalazł się jednak ekspert zdolny wkomponować przedstawiony plan w tajemniczy świat przepisów, należałoby mu się coś więcej niż nagroda, bo pomnik.

JERZY P.

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(20)

— Jeeezu! — nadała Dwieście Siedemdziesiąta Dziewiąta Stacja Przekaźnikowa (Betsy Fleischer, której dach rozbitego kiosku z hot dogami złamał obie nogi).

— Jeeezu! — podjęła ten krzyk Dwieście Siedemdziesiąta Ósma Stacja Przekaźnikowa (czternastoletni Ivo Eavard leżący plackiem na skwerku, wśród tlących krzewów i dymiącej trawy, i zasłuchany w kanonadę puszek sprayu z pobliskiego sklepu) i przesłała go w kierunku Dwieście Siedemdziesiątej Siódmej Stacji Przekaźnikowej (pan Forrester, emerytowany kasjer, na spacerze z pieskiem, który zerwał się ze smyczy i dał drapaka skowycząc przeraźliwie).

I tak krzyk ten...

— Jeeezu!

...emitowany różnymi głosami, o różnym tembrze, o różnej intonacji i z różnym natężeniem...

— Jeeezu!

...ale niosący identyczne wezwanie...

— Jeeezu!

...biegł od jednej stacji przekaźnikowej do drugiej...

— Jeeezu!

...pokonując kilometr za kilometrem...

— Jeeezu!

...aż dotarł do Powella, który skulony klęczał na murawie, z głową otoczoną ramionami.

— Jeeezu! — W tym krzyku rozdzierająco powtórzonym przez Florence ukrytą w zaroślach pod kępą drzew, usłyszał on krzyk swojej przybranej matki. I Powell ostrożnie podniósł wzrok. Zza białych i różowych płatów rzęsiście fruwniących mu przed oczyma zobaczył, że słońce błyskawicznie pnie się po niebosklonie, że wcale nie wybuchło, chociaż jest teraz cudacznie rozdęte i niekształtne, że nie świeci już tak jaskrawo, z żółtego zrobiło się pomarańczowe, jakby stygło, i że to w ogóle nie jest prawdziwe słońce, bo prawdziwe słońce wisi tam wysoko. Zupełnie — pomyślał — jak na takim jednym filmie o bombie wodorowej. Rany koguta, a mama pojechała właśnie t a m.

— Jeeezu — szepnął

Tylko szepnął. Ale szept ten zabrzmiał donośniej niż krzyk. Tak donośnie, że pochwyciło go eteryczne ucho duszy pana Leinstera łomoczącej do Bramy Niebieskiej.

— No tak — powiedziała do siebie ta dusza. — Zawsze tak jest. Człowiek zawsze o czymś zapomni, choćby sto razy się rodził i sto razy umierał, zawsze zapomni cholernego hasła, które trzeba podać, żeby otworzyli przed nim tę Bramę. Dziękuję ci, Stephensonie Baden Powellu! — I:

— Jeeezu! — zawołała ta dusza.

Trochę jednak musiało poczekać, zanim po tamtej stronie rozległy się Kroki i zgrzytnął Klucz przekręcany w Zamku, co skłoniło ją do wymamrotania paru uwag na temat pracy Służby Odźwiernej — grzesznych, bo krytycznych.

— Jestem Neville Leinster — oświadczyła na widok Świetlistej Postaci stojącej w otwartej Bramie Niebieskiej. — Diabelnie długo to trwało, święty. Święty...

— Witaj, duszo zbłąkana — powiedziała głosem przepojonym słodyczą Świetlista Postać. — Wejdź, proszę.

— Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się zabłąkać — odparła z urazą dusza pana Leinstera — Wy tutaj powinniście wiedzieć o tym najlepiej. Ale wejść mogę.

I weszła. Świetlista Postać podążyła przodem nie przestając mówić głosem przepojonym słodyczą:

— Przepraszam za tę zwłokę w otwarciu Bramy, rzeczywiście karygodną. Nic mnie nie tłumaczy, pragnę ci jednak wyjaśnić, że w Królestwie Bożym przeżywamy obecnie trudne chwile. Jesteśmy wprost oblegani przez dusze, które przybywają do nas nieustannie, dziesiątkami tysięcy. A przecież każdą z nich trzeba wprowadzić osobnym wejściem, dla każdej przysposobić osobną celę pokutną. Co gorsza, jak to wykazali nasi obserwatorzy, w ciągu najbliższych trzech godzin będziemy musieli powiększyć Czyściec o przeszło miliard miejsc.

— No — powiedziała z werwą dusza pana Leinstera — ja jestem gotów, jeśli o to chodzi. Nie potrzebujecie wy tutaj, święci, jakiegoś sprawnego organizatora?

SENNE REMINISCENCJE

Po raz pierwszy od czasu, kiedy władze lokalne ogłosiły komunikat o zamknięciu terenów położonych przy wschodniej granicy Parku Narodowego Everglades, ceny nieruchomości sąsiadujących z „Trójkątem Florydzkim" przestały spadać — ale nie tylko. Także po raz pierwszy od tego czasu zmalał ruch na drogach i autostradach prowadzących do Tampa, Winter Haven i Melbourne oraz dalej — w kierunku na Montgomery, Macon i Savannah. Stało się to raptownie, wzorem ruchu na drogach i autostradach, który panuje w każdy piątek lub w każdą niedzielę, aczkolwiek ten bez mała miesięczny okres paniki na Florydzie z całą pewnością nie miał nic wspólnego z okresem masowych wyjazdów ludności z miast na łono przyrody dla odpoczynku.

Ruch w kierunku przeciwnym wszakże był nadal wzmożony, tyle że przeniósł się na wymienione z uciekinierów drogi i autostrady przecinające półwysep. Zniechęceni początkowymi niepowodzeniami, po krótkotrwałej rezygnacji, członkowie ekip filmowych, dziennikarze i reporterzy znów podążali na południe, znów pełni nowych nadziei, usiłując dotrzeć jak najbliżej „Trójkąta Florydzkiego". Wyciek paliwa z rakiety nośnej i promieniotwórcze skażenie terenu — nie jest to temat roku, oczywiście, ale jeśli do tego się doda Eliasa, który porwany proroczym uniesieniem, z gniewem w sercu, z klątwą na ustach i z nożycami do cięcia drutu w garści postanowił, jak sam powiada, „zdeptać zasieki, stawiać czoła siepaczom w wojskowych mundurach i złożywszy swoje życie w ofierze wstrząsnąć sumieniem ludzi", to niewykluczone, że z dosyć już nudnawej tej historyjki można jeszcze będzie wycisnąć kupę hucpy na trzy wydania gazety i ociekający krwią telewizyjny program.

Elias przybył do Miami wczoraj w południe. Zjadł tam lunch i przed upływem godziny wyruszył w kierunku zachodnim, by po przejechaniu około dziesięciu mil razem ze swoją świtą rozkwaterować się w pensjonacie „Patriarchat", podczas gdy jego słuchacze, adepci i wyznawcy zajęli pokoje w pobliskich motelach, których nazwy powinny zaniepokoić patrole strzegące nienaruszalności granic „Trójkąta Florydzkiego". Nazwy te brzmiały: „Auntie Providence", „Victor" i „Little Conqueror".

Taką wiadomość podały stacje telewizyjne i agencje prasowe tego samego dnia wieczorem. A nazajutrz rano w Evansville Nichol telegraficznie zarezerwował dwuosobowy apartament w „Muszli Pacyfiku" i dopłacił kierowcy Greyhounda za bilet do Coral Gables dla Iry Buell, ponieważ odtąd mieli jechać razem do końca, mimo że każde z nich w innym celu, którego zresztą przed sobą nie taili.

Z Nicholem sprawa była prosta: jako taniego aktora z off off Broadway wynajął go do śmierdzącej roboty facet o nazwisku Bliss, niejaki Brian B. Bliss trudniący się handlem nieruchomościami. Za cztery stówy dziennie plus zwrot kosztów własnych miał on dla tego faceta odstawiać hippisa. Nie na scenie, tylko w miejscach publicznych, tam, gdzie mu ten facet wskaże. Miał się włóczyć po ulicach, nagabywać nieznajomych o datek, wszczynać awantury albo po prostu leżeć przed cudzym domem udając, że jest nacpany jak wór z herą. Wpadka żadna mu nie grozi, zapewnił facet, będzie działać w dzielnicy, gdzie nie ma prywatnej ochrony, no, a gliny, od kiedy zaczęła się ta heca z latającymi talerzami, nie pilnują niczego, oprócz osobistych interesów.

— Nalegałeś — zakończył Nichol, jakby chciał znaleźć usprawiedliwienie dla swoich zwierzeń — żebym ci opowiedział coś o sobie.

— Tak — przyznała Ira. — Dzięki, Nichol.

Podziękowała mu, bo te jego zwierzenia wpłynęły na nią jak bourbon, który piła, by po sennych koszmarach jakoś się pozbierać i przyjść do siebie. Wtedy, wczoraj, zanim dojechali do Oakley, drzemała na siedzeniu i też nękały ją te koszmary. Ale potem autobus ruszył dalej, Nichol zaczął mówić o swojej pracy i poczęstował ją szkocką. Później było miasto Salina, obiad we dwoje i znowu długa rozmowa w trakcie jazdy. I kolacja wieczorem, nie opodal Kansas City (tam usłyszeli wiadomość o przeprowadzce Eliasa z Griffin do Miami). A jeszcze później wspólnie czytali „Ewangeliarz", wspólnie żartowali i wspólnie wypili butelkę „White Horse".

— Wiesz — mówił Nichol — on powinien napisać raczej poradnik na wypadek ataku atomowego. Taki w formie pytań i odpowiedzi. Pytanie: „Co masz zrobić, jeśli na horyzoncie zobaczysz kulę ognistą?". Odpowiedź: „Szybki rachunek sumienia". Albo pytanie: „Co masz zrobić, jeśli nad sobą zobaczysz kulę ognistą?" Odpowiedź: „Nic. Już jesteś tam na górze".

— Mnie się podoba tak jak jest — oświadczyła Ira. — Ale na jego miejscu wprowadziłabym do „Ewangeliarza" więcej osób. Tysiąc. Dziesięć tysięcy. I rozstawiłabym je po całym mieście, w małych odstępach jedna od drugiej. Byłby to „Przewodnik po polu bitwy". Można by w nim było sprawdzić, co się stanie z babką, która... na przykład leży w łóżku ze swoim mężem, dwadzieścia trzy i pół mili od punktu „0". Wiesz, co się z nią stanie?

— Obejmie mocniej męża i zacznie jęczeć: „Och-ach-och, jesteś aniołem, mój słodki!".

Ira zachichotała z podchmieloną swobodą.

— Albo — spytał z kolei Nichol — co się stanie z żołnierzem, który przez lornetkę obserwuje ten wybuch z odległości dwóch i jednej trzeciej mili?

— Nie wiem.

— Będzie miał obcasy podkute soczewkami.

Roześmieli się razem. I nagle ze zdziwieniem spostrzegli, że część pasażerów śpi i za oknami autobusu jest już ciemno. Nastała noc — pierwsza, którą mieli spędzić siedząc tak blisko siebie, jakby dzielili łoże.

Gdyby powiedzieć, że Ira kiedyś tam (dość wcześnie, w młodości, w dzieciństwie) wyzbyła się złudzeń co do mężczyzn, byłoby to stwierdzenie literackie, wyświechtane, poza tym fałszywe. Żeby czegoś się wyzbyć, trzeba najpierw to mieć, a ona złudzeń co do mężczyzn nie miała nigdy. Gdyby powiedzieć, że Ira traktuje swoje ciało jak towar, byłoby to również stwierdzenie literackie, wyświechtane, poza tym również fałszywe. Bo nie jest przecież aż tak cyniczna, nie leci na każdego, nie lubi zbyt często zmieniać partnerów i łatwo przywiązuje się do stałych klientów. Nawet czerpie pewną satysfakcję z tych kontaktów handlowych. Naturalnie, zarobkując w ten sposób, musi mieć świadomość własnej konkretnej wartości rynkowej, musi mieć świadomość, że jej ciało j e d n a k j e s t towarem, na który są setki amatorów i który należy strzec przed złodziejami. Nie tak znów rzadko bywało, że jakiś cwaniaczek próbował ją wykiwać, dobierał się do niej, nim sięgnął po portfel lub chciał dostać więcej niż za to zapłacił. Kiedyś jeden dziadek o wyglądzie nauczyciela na emeryturze, który mówił o sobie, że jest etnografem, przez pół godziny w knajpie trul jej o wyczynach i praktykach religijno-seksualnych dzikiego plemienia w Ameryce Południowej. Wyjął plik zdjęć, horrendalną pornografię, i komentował je siedząc z lewą ręką pod stolikiem, jakby trzymał tam psa i drapał go za uszami. Była wtedy jeszcze mało doświadczona, oglądała te świńskie zdjęcia z rosnącym zakłopotaniem i wstydem, gorączkowo zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi, tymczasem dziadek poczerwieniał na twarzy, gibał się w fotelu i stękał, oczy mu wyszły z orbit, a uszy psa pod stołem zaczęły kłapać jak wściekłe. Obleśny stary skurwiel! Miał swoją przyjemność, dokładnie taką, na jakiej mu zależało — dzięki niej, no, nie? Posłużył się nią, korzystając z jej naiwności i nie zapłacił ani centa. Czy to nie była bezczelna kradzież? A barman z „Bolero", z którym lepiej jest mieć dobre układy? Wystarczy mu, że potrze brzuchem o jej pośladki, przyciskając ją do siebie łapami od przodu i macając ją przez sukienkę. Wystarczy mu dosłownie pięć sekund. On też jej nic nie płaci, też ją okrada. Och, doprawdy, na ten towar są setki amatorów i należy go dobrze strzec przed złodziejami. Dlatego z obawą myślała o tej nocy, którą miała spędzić obok Nichola w autobusie. I fakt, że był to autobus pełen ludzi, a nie pokój w hotelu, wcale nie zmniejszał jej obawy. No, bo dla niektórych lęk przed skandalem stanowi dodatkową podnietę. Łagodny Henry, na przykład, godził się na podwójną zapłatę, byleby mógł to robić w wagonie kolei podziemnej, w godzinach szczytu. Szli tam, gdzie panował tłok i stawali naprzeciwko siebie niczym dwie obce osoby z tłumu. On, wpatrzony obojętnie w przestrzeń, trzymał się uchwytu, ona trzymała go za t o. Wagon kołysał nimi rytmicznie i mniej więcej przed trzecią stacją Łagodny Henry rozdymał nozdrza, przymykał powieki i zaczynał cichutko gulgotać, a ona, czując jak t o ożywa w jej dłoni, prędko zasłaniała się plastykową torbą. Ale on był w porządku, płacił podwójnie i nigdy jej nie oszukał, czego by nie zniosła. Mogła pójść z mężczyzną do łóżka, żądając w zamian jedynie czułości, pod warunkiem, że byłby to akt jej dobrej woli. Wpadała w pasję, jeśli ktoś próbował ją wykiwać, wykorzystać podstępnie, okraść. Nichol — myślała nieufnie — przez cały dzień starał się być miły, uczynny i opiekuńczy, nie wiadomo jednak, co może mu odbić teraz w nocy, kiedy ta jego... przyzwoitość? rycerskość? powściągliwość?... zostanie wystawiona na cięższą próbę.

No i co? Obudziła się rano, leżąc skulona w poprzek siedzenia, okryta pledem, z głową na kolanach Nichola, który patrzył na nią zamyślony. Nie mógł zasnąć — tak powiedział. A ona zasnęła, nawet nie wie kiedy i spała jak susel Nie mógł zasnąć, więc przez całą noc czuwał... przy niej? Usiadła i doprowadzając się do porządku, poprawiając fryzurę zerknęła na jego twarz z ukosa. Szukała w niej tego wyrazu, który zawsze daje się rozpoznać nieomylnie, mimo że niepodobna określić go jednoznacznie, ponieważ składa się on z mnóstwa źle skrywanych uczuć: samozadowolenia, wzgardy, skruchy i niepewności. Ale jego twarz okrywał wyraz znużenia i wewnętrznego spokoju.

Rano zatrzymali się w Evansville, skąd Nichol telegraficznie zarezerwował apartament w hotelu „Muszla Pacyfiku". Apartament dwuosobowy — dla niej i dla siebie. I to ostatecznie rozwiało jej nieufność, bo świadczyło, że ten chłopak zwyczajnie się do niej przystawia. Wprawdzie po wstępnych zagraniach w stylu staroświeckiego podrywacza ruszył ostro do przodu i nadając ten telegram wykazał, że jest aż nadto przedsiębiorczy i pewny siebie, ale to tylko może się kobiecie podobać. Przynajmniej postawił sprawę jasno, określił swoje zamiary i w formie mimo wszystko przyzwoitej złożył jej propozycję wynikającą z naturalnej kolei rzeczy. Naturalnej między dwojgiem ludzi płci przeciwnej, którzy zdążyli już się poznać i polubić, wolnych, podróżujących razem i mających wspólnie spędzić najbliższe dni. I on chyba nadal nie ma pojęcia, że ona jest knajpianą tuftą. Z tuftą przecież się nie mieszka (w a p a r t a m e n c i e!), tuftę bierze się do hotelu na kwadrans.

Tym razem ona jemu użyczyła kolan, skłoniwszy go do odespania nocy. Potem, siedząc w niezmiennej pozycji, przyglądała mu się długo i uważnie. Jej wzrok z badawczym zainteresowaniem lustrował jego zarośnięte policzki, nos zwichrowany zadzierzyście, szerokie usta, łuki brwiowe jak wykute w kamieniu, czoło z zarysem zmarszczek i pokryty rudawym puchem płatek ucha. Wielu już w swoim życiu widziała mężczyzn leżących podobnie jak on — bezbronnych, zdanych na jej łaskę, całkowicie od niej zależnych, ale byli to tylko klienci, którzy płacąc żądali, by zrobiła z nich bezbronnych, całkowicie od niej zależnych niewolników; widok żadnego z tych mężczyzn nigdy tak jej nie... rozczulił? chwycił za serce? wzruszył?... Och, co za bredni! — ze złością odrzuciła te myśli. Coś, o istnieniu czego dotąd nie wiedziała, zaczęło jednak już w niej tajać, roztapiać się w jej piersi, napływać do rąk i nóg, do samych koniuszków palców. Jakby pod wpływem tych fluidów Nichol drgnął i otworzył oczy. Dojeżdżali do Nashville.

Potem znowu był lunch we dwoje, znowu zakupy przed dalszą podróżą (następny postój dopiero w Atlancie) i znowu butelka „White Horse", z której zdjęli zakrętkę jeszcze na ulicy.

— Mówiłeś przez sen — powiedziała Ira, kiedy wsiedli do autobusu. — Wiesz?

— Naprawdę?

— Wzywałeś Terry.

— Terry — powtórzył Nichol i uśmiechnął się leciutko pod zwichrowanym nosem.

— Jakaś dziewczyna?

— Moja najmłodsza siostra. Dwa dni temu przystąpiła do konfirmacji. Mieszka z rodzicami w Fallon w Nevadzie. Wracam stamtąd.

— Rozumiem. Senne reminiscencje. Mój psychoanalityk tak to nazywa.

Nichol wzruszył ramionami.

— Może. Ale raczej za dużo myślałem o tamtym niedawnym trzęsieniu ziemi na północ od Jeziora Walkera.

— Och! Czy to tam, gdzie mieszkają twoi rodzice?

— Niedaleko. Na szczęście oni tego prawie nie odczuli.

— Spałeś bardzo niespokojnie. Mówiłeś, żeby była ostrożna.

— Ona często mi się śni. Przeważnie wtedy, jeśli w domu są kłopoty. To dziwne, że właśnie ona, a nie ktoś inny z rodziny. Niewiele miałem z nią kontaktów. Jestem od niej o dwanaście lat starszy i... czasem wydaje mi się, że musi między nami istnieć jakiś szczególny związek, jakieś pokrewieństwo duchowe.

Ira ścisnęła w dłoni plastykowy kubek z whisky, trzymany na udzie. Odwróciła głowę do okna i patrząc na odległe budynki mijanej farmy odezwała się cicho:

— Nichol?

— Tak?

— Chcę cię o coś zapytać. O coś, co jest dla mnie ogromnie ważne. Mogę?

— Pytaj.

Nadal patrzyła w okno.

— Wierzysz w sny?

Usłyszała jego przeciągłe westchnienie i szmer, kiedy się poruszył podnosząc swój kubek z whisky do ust w tym obrządku, który pozwala na chwilę zastanowienia.

— Nie wiem, co ci odpowiedzieć, Ira.

— To znaczy... czy wierzysz, że podczas snu człowiek może porozumiewać się z duszami innych osób, żywych i zmarłych?

— Miałaś doświadczenia tego rodzaju?

— Tak. Miewam je stale.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia".

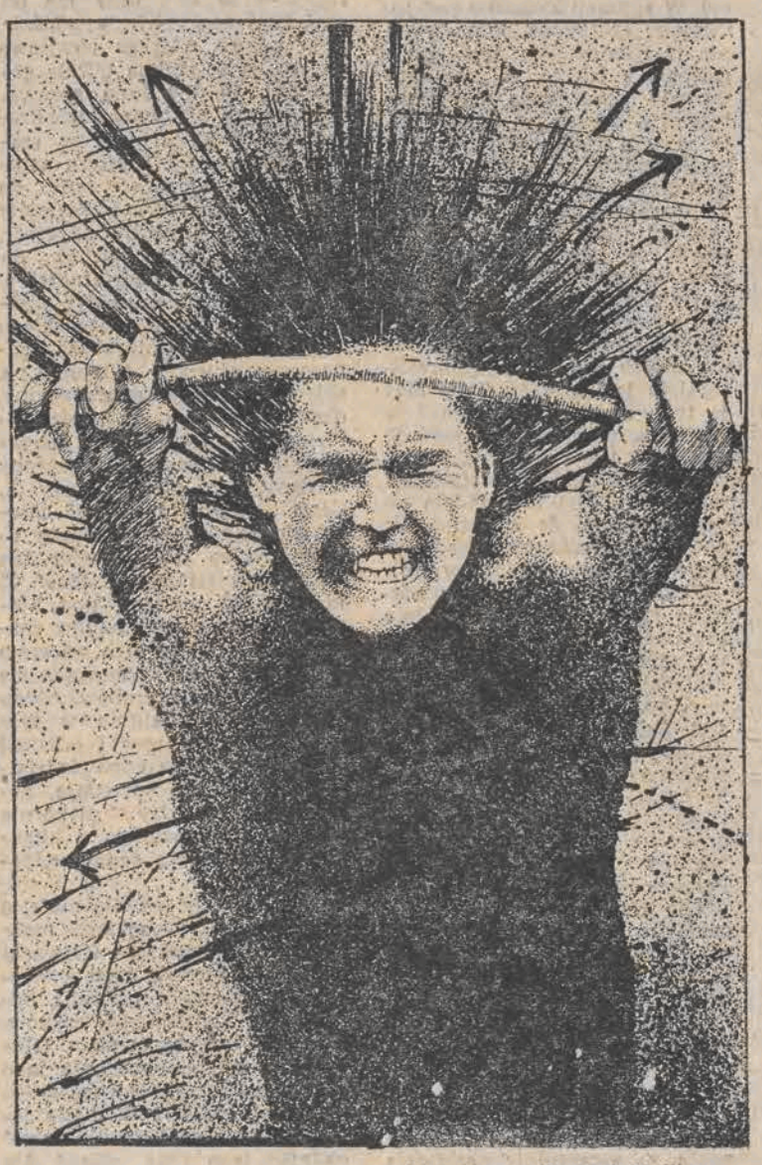

Rys. Janusz Szymański-Glanc